

Skoczeń:
Sloty zostają

Górski:
Zasłużyć na elitarność

Grzesik:
Czy można wzmocnić polską naukę?

FORUM

AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 4/2023

PL ISSN 1233-0930 20 zł (VAT 8%)

Czy A+ wciąż jest elitarna?

Str. 11-24

Zembaty, Lewiński:
Ocena ekspercka

Ostoja Lniski:
O kształceniu artystów

Płużyczka:
Ranga tłumacza



Ogród Botaniczny Uniwersytetu Jagiellońskiego wiosną

na fotografiach
Bogusława Binkiewicza



INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Rekordowe patenty	6
Czy walczymy w przegranej bitwie? – Arkadiusz Jasiński	7
Po indeks i medale – Mariusz Karwowski	8
Wyroki	10
Niekomfortowa punktacja – Maciej J. Nowak	27
Nowi profesorowie	41

KRAJOBRAZ PO EWALUACJI

Krajobraz bez cieni – ewaluacja 2022/23 – Piotr Kieraciński	11
Wszyscy wygraliśmy, wszyscy przegraliśmy – Izabela Święcicka	13
Ewaluacja to nie wyścig – Arkadiusz Wójs	16
Sztuka poszukiwana – Dorota Sankowska	18
Ewaluacja w nowych rękach	19

ROZMOWA FORUM

Środowisko naukowe broni slotów – rozmowa z prof. Błażem Skoczeniem, przewodniczącym KEN w latach 2019-2023	20
Trzeba się uczyć od najlepszych – rozmowa z prof. Krzysztofem Górskim, astronomem, sekretarzem generalnym Akademii Kopernikańskiej	25

ŻYCIE NAUKOWE

Czy wzmocnienie pozycji polskiej nauki jest realne? – Wit Grzesik	28
O parametrycznej i eksperckiej ocenie pracy naukowej – Zbigniew Zembaty, Tomasz Lewiński	32
„Wszystko jest najlepsze w tym najlepszym ze światów” – Wojciech Czakon, Ewa Bogacz-Wojtanowska	36
Samokrytycyzm w nauce – Zbigniew Drozdowicz	39

Z archiwum nieuczciwości naukowej (197)

Plagiatowe wykopalisko w Toruniu – Marek Wroński	42
---	----

ŻYCIE AKADEMICKIE

Absolwencki ranking uczelni KRASP – Marek Rocki	46
„A” jak akademia – rozmowa z Błażem Ostoją Lniskim, rektorem ASP w Warszawie	50

Czytelnia czasopism – Aneta Zawadzka	53
---	----

Publikuj lub giń

Nie każdemu, nie wszystko, nie zawsze – Marek Misiak	54
---	----

Z LABORATORIÓW

O architekturze Pomorza Zachodniego w średniowieczu – Jarosław Jarzewicz	57
Wojna na Ukrainie – Grzegorz Tokarz	63
Uchem i okiem – rozmowa z dr hab. Moniką Płużyczką, prof. UW z Instytutu Komunikacji Specjalistycznej i Interkulturowej UW	67

W STRONĘ HISTORII

Portrety nauki polskiej	
Noblista z Wilna – Marcelina Smużewska	71
Pro publico bono (7)	
Wśród ludzi systemu – Piotr Hübner	74

OKOLICE NAUKI

Książki	
Senat ufa swojej młodzieży – Zofia Jakóbczak	77
Profesor jest, Nie-Profesora nie ma – Stanisław Gałkowski	77
Totalitaryzm i jego genealogia – Jadwiga Michalczuk	78
Czytać filmy i o filmach – Marek Misiak	78
Norblin o wiele bliższy – Juliusz Gałkowski	79
Media z dostawą na miejsce – Aneta Zawadzka	79

FELIETONY

Szkiełko w oku	
No fault – co to takiego i po co – Piotr Müldner-Nieckowski	76

Na marginesach nauki

Neandertalcyk – Leszek Szaruga	80
Projekt okładki – Sławomir Makal	

Zmarł rektor Politechniki Krakowskiej

KRAKÓW 12 maja zostanie wybrany nowy rektor Politechniki Krakowskiej. Zaplanowane na ten dzień wybory uzupełniająco wyłonią następcę zmarłego 22 marca prof. Andrzeja Białkiewicza. Z uczelnią, którą kierował od 2020 r., był związany przez blisko pół wieku. W latach 2012–2020 pełnił funkcję prorektora do spraw ogólnych, odpowiedzialnego m.in. za inwestycje, rozwój infrastruktury badawczej i dydaktycznej oraz współpracę z otoczeniem samorządowym i gospodarczym. W tym samym okresie kierował Zakładem Rysunku, Malarstwa i Rzeźby, w którym rozpoczął pracę tuż po studiach. Główne obszary jego zaintereso-

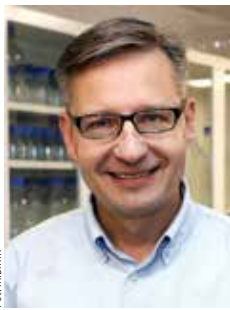


Fot. PK

wań dotyczyły teorii architektury współczesnej, a zwłaszcza architektury modernistycznej, roli rysunku w działalności architektów, zachowania dziedzictwa architektonicznego, procesów nadawania zabytkom architektury współczesnej funkcji, w tym zjawiska desakralizacji obiektów zabytkowych. Do czasu wyboru nowego rektora jego obowiązki pełni najstarszy członek Senatu PK – dr inż. arch. Bogdan Siedlecki, prof. PK.

ERC Advanced Grants dla 2 Polaków

BRUKSELA/WARSZAWA Prawie 544 mln euro trafi do 218 uczonych wyłonionych w ostatnim konkursie ERC Advanced Grants. O finansowanie swoich badań ubiegało się 1650 doświadczonych naukowców.



Fot. MIBMIK



Fot. FRIP

W gronie laureatów jest 2 Polaków. Prof. Andrzej Dziembowski z Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie został pierwszym Polakiem z AdG w dziedzinie nauk o życiu. Celem projektu ViveRNA jest poznanie mechanizmów procesowania mRNA w komórkach i w całym organizmie, co umożliwi opracowywanie nowej generacji terapii opartych na mRNA. To jego drugi grant ERC – w 2012 r. otrzymał StG, który realizował w Instytucie Biochemii i Biofizyki PAN. Z kolei prof. Daniel T. Gryko z Instytutu Chemii Organicznej PAN jest pierwszym polskim chemikiem z AdG. Projekt ARCHIMEDES dotyczy uzyskania fluoroforów o charakterze rodnikowym emitujących światło w zakresie bliskiej podczerwieni. Na realizację 5-letnich badań obaj naukowcy dostali po 2,5 mln euro. Do Polski trafiło już 69 grantów ERC, w tym

41 Starting Grants, 14 Consolidator Grants, 9 Advanced Grants, 4 Proof of Concept Grants i 1 Synergy Grant.

Środki dla humanistów

WARSZAWA Ponad 90 mln zł przyznano w ubiegłym roku laureatom ośmiu konkursów Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki. Środki te trafiły do 44 beneficjentów, w tym do 17 uczelni publicznych, 2 niepublicznych, 2 kościelnych, 4 fundacji, 8 instytutów Polskiej Akademii Nauk i 8 towarzystw naukowych. Dofinansowano także projekty z Polskiej Akademii Umiejętności, Zakładu Narodowego im. Ossolińskich i Książnicy Cieszyńskiej. Jak wynika z zestawienia MEiN, największą pulę otrzymały Uniwersytet Warszawski (10,8 mln zł) i Uniwersytet Jagielloński (7,9 mln zł) oraz Instytut Badań Literackich PAN (6,6 mln zł). W dalszej kolejności: Instytut Sztuki PAN (6,4 mln zł), Instytut Historii im. Tadeusza Manteuffla PAN (6 mln zł), Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II (4,9 mln zł), Uniwersytet Wrocławski (4,5 mln zł), Uniwersytet Łódzki (3,4 mln zł).

Fizyk w Radzie NCN

WARSZAWA Fizyk prof. Tomasz Dietl został powołany do składu Rady Narodowego Centrum Nauki. Zastąpił w tym gremium prof. Adama Zajacę, który złożył rezygnację. Nowy członek Rady związany jest z Instytutem Fizyki PAN (wcześniej także z Wydziałem Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego), gdzie kieruje Międzynarodowym Centrum Sprzężenia Magnetyzmu i Nadprzewodnictwa z Materią Topologiczną (MagTop). To specjalista w dziedzinie fizyki półprzewodników, fizyki niskich temperatur, fizyki magnetyków, spintroniki oraz nanotechnologii. Uznanie zdobył dzięki pionierskim badaniom półprzewodników ferromagnetycznych oraz za rozwój metod kontroli uporządkowania magnetycznego i kwantowej lokalizacji nośników. Otworzyło to drogę do powstania nowej dziedziny nauki: spintroniki półprzewodnikowej. Prof. Dietl jest laureatem ERC Advanced Grant. Reprezentował też nasz kraj w Radzie ERC. Przypomnijmy, że Polskie Towarzystwo Fizyczne pod koniec ub.r. domagało się zapewnienia obecności w Radzie NCN reprezentanta nauk fizycznych. Obradom gremium przewodniczy obecnie prof. Robert Hasterok.



Fot. NCN

Medioznawczyni na czele RTN

WARSZAWA/LUBLIN Prof. Iwona Hofman została powołana na drugą kadencję na przewodniczącą Rady Towarzystw Naukowych przy Prezydium PAN. Jest pierwszą kobietą i pierwszym naukowcem z Lublina



Fot. Archiwum

na tym stanowisku w ponad 60-letniej historii RTN. Od 2019 r. pełni funkcję dyrektora Instytutu Nauk o Komunikacji Społecznej i Mediach UMCS. Kieruje Pracownią Badań nad Instytutem Literackim w Paryżu. Obecnie stoi na czele Polskiego Towarzystwa Komunikacji Społecznej. Jej główne zainteresowania badawcze to: historia emigracji powojennej, myśl i publicystyka polityczna, historia mediów, teorie komunikacji społecznej, studia nad dziennikarstwem. RTN została utworzona w 1963 r. Jest społecznym, ogólnopolskim organem przedstawicielskim ponad 370 towarzystw i stowarzyszeń naukowo-technicznych w Polsce. Liczy 35 członków. W tej kadencji zajmą się projektem nowelizacji Ustawy o stowarzyszeniach, mającym na celu wzmocnienie statusu towarzystw jako podmiotów nauki oraz określenie możliwości finansowania ich działalności z budżetu państwa.

Więcej pieniędzy dla artystów

WARSZAWA O ponad 200 mln zł, czyli o ponad jedną czwartą w stosunku do roku ubiegłego, został zwiększony budżet Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego przeznaczony na wyższe szkolnictwo artystyczne. Oznacza to, że nakłady na te uczelnie przekroczą miliard złotych. Dodatkowe środki pozwolą na zwiększenie wysokości wynagrodzeń o ponad 12% (ok. 78 mln zł), sfinansowanie podwyżek płacy minimalnej oraz pokrycie rosnących kosztów utrzymania (49 mln zł). Ponadto na dalszy rozwój infrastruktury szkolnictwa artystycznego trafi prawie 153 mln zł, tj. o blisko połowę więcej niż przed rokiem. Obecnie trwa m.in. budowa nowego kampusu Akademii Muzycznej w Bydgoszczy, powstają nowe obiekty Akademii Muzycznej w Katowicach, realizowany jest projekt podnoszący bezpieczeństwo przeciwpożarowe w warszawskiej Akademii Teatralnej. W ostatnich latach ukończono 11 projektów europejskich, wśród których znalazł się m.in. remont Pałacu Czapskich, należący do Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Łącznie w latach 2016–2023 wzrost środków budżetowych przeznaczonych na działalność uczelni artystycznych wyniósł ok. 65%.

Na czele sieci szkół teatralnych

WARSZAWA Beata Szczucińska, kanclerka Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie, została wybrana na przewodniczącą Europejskiej Sieci Szkół Teatralnych E:UTSA. To jej druga kadencja na



Fot. Arch. prywatne

tym stanowisku. Europe: Union of Theatre Schools and Academies utworzono w 2011 r. Głównym jej zadaniem jest umożliwianie studentom twórczych kontaktów na rzecz budowania zawodowej kariery. Skupia obecnie 17 szkół i akademii teatralnych m.in. z Austrii, Szwecji, Włoch, Niemiec, Francji i Szwajcarii. Akademia Teatralna w Warszawie jest w tym gronie jedyną uczelnią z Polski. W ramach współpracy europejskie

szkoły teatralne prowadzą wspólne badania, programy szkoleniowe i ewaluacyjne, a także projekty obejmujące obszar szeroko rozumianej etyki w procesie kształcenia oraz praktyce teatralnej (w tym wrażliwości na problematykę mniejszości, niepełnosprawności, różnorodności, równości, ekologii oraz przeciwdziałaniu praktykom przemocowym i dyskryminacyjnym).

Uczelnia dla pograniczników

WARSZAWA W przyszłym roku pierwsi studenci rozpoczną kształcenie w Wyższej Szkole Straży Granicznej. List intencyjny w sprawie jej powołania podpisali ministrowie edukacji i nauki oraz spraw wewnętrznych i administracji. Obecny system szkolenia i doskonalenia zawodowego funkcjonariuszy SG opiera się na 3 ośrodkach szkoleniowych, tj.: Centralnym Ośrodku Szkolenia Straży Granicznej w Koszalinie, Centrum Szkolenia Straży Granicznej w Kętrzynie i Ośrodku Szkoleń Specjalistycznych Straży Granicznej w Lubaniu. Nowa uczelnia powstanie na bazie funkcjonującego do tej pory zaplecza logistycznego COS SG. Planowane jest uruchomienie studiów I stopnia na kierunku bezpieczeństwo granicy państwowej. Wyższa Szkoła Straży Granicznej pozwoli na prowadzenie studiów sprofilowanych kierunkowo do potrzeb SG. Zajęcia poprowadzą praktycy z bogatym doświadczeniem zawodowym.

Skarb narodowy Ukrainy na UW

WROCŁAW Metropolita perejaślawski i wiszniewski Ołeksandr Drabyńko przekazał Uniwersytetowi Wrocławskiemu faksymile słynnego Ewangeliarza peresopnickiego – XVI-wiecznego rękopisu uznawanego za skarb narodowy Ukrainy. To symboliczne podziękowanie za zaangażowanie uczelnianej wspólnoty w pomoc uchodźcom wojennym. Podarowany



Fot. Paweł Piotrowski

egzemplarz jest jednym z tysiąca wydanych w 2008 r. z wykorzystaniem płatków 24-karatowego złota. Zawiera na 482 pergaminowych kartach najstarszy zachowany przekład czterech Ewangelii z języka staro-cerkiewnosłowiańskiego na staroruski. Manuskrypt powstał w latach 1556–1561. Przechowywany był w prawosławnym monasterze w Perešopnicy, a następnie przekazany przez hetmana Iwana Mazepę soborowi katedralnemu w Perejaślawiu. Od 1948 r. stanowi część zbiorów specjalnych Ukraińskiej Biblioteki Narodowej im. Wiernadskiego w Kijowie.

W wykorzystując Ewangeliarz prezydenci Ukrainy dokonują zaprzysiężenia po wyborze na urząd.

WUM wyszkoli ukraińskich ratowników

IWANO-FRANKIWSK Władze Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego podpisały porozumienie o współpracy dotyczące wsparcia w zakresie szkoleń z medycyny pola walki. Umowa zakłada utworzenie ośrodka szkoleniowego w Klinicznym Centrum Medycyny Ratunkowej i Katastrof



Fot. WUM

w Iwano-Frankiwsku. Polska strona zapewni też wsparcie sprzętowe. Współpraca obu ośrodków trwa już od roku. Specjaliści z WUM zorganizowali w Ukrainie cykl szkoleń z zaawansowanych technik ratowania życia, w tym medycyny pola walki. Delegacja z Warszawy zawiozła także sprzęt o wartości ponad 200 tys. zł, m.in. trenażery do nauki tamowania krwotoków. Przekazano także apteczki i sprzęt do wykorzystania od zaraz przez ukraińskich ratowników. Dodatkowo dostarczone transport leków dla szpitala obwodowego w Iwano-Frankiwsku.

Otwarto Centrum Badań Mózgu

KRAKÓW Międzywydziałowa jednostka skupia neurologów, inżynierów biomedycznych, psychiatrów, kognitywistów, informatyków i filozofów z Uniwersytetu Jagiellońskiego i Szpitala Uniwersyteckiego. Ser-



Fot. Adam Koprowski

cem pracowni jest stanowisko rezonansu magnetycznego, w którym zainstalowano najnowszy skaner przeznaczony do badań naukowych ośrodkowego układu nerwowego. Zakupiony za kwotę ponad 10 mln zł aparat stosowany jest w najlepszych centrach naukowych na świecie. Pozwoli na bardzo dokładnie obrazowanie funkcjonowania mózgu. Centrum wyposażono również w elektroencefalograf, który umożliwi badanie mózgu w rezonansie w zdecydowanie lepszej rozdzielczości czasowej. Częścią aparatury jest także przezczaszkowy stymulator magnetyczny – za pomocą cewki przesyła impuls elektromagnetyczny, który pozwala precyzyjnie wpłynąć na określoną część mózgu, np. korę ruchową. W jednostce będą rozwijane projekty, które obejmują m.in. badania rytmów okołodobowych, badania dotyczące świadomości czy wpływu smogu na funkcjonowanie mózgu.

Strzelanie na niby

PŁOCK Wirtualna strzelnica powstała w Akademii Mazowieckiej w Płocku. Multimedialny system szkoleniowo-treningowy „Pojedynek” został opracowany na potrzeby rynku cywilnego. Pozwala na doskonałe umiętnienie bezpiecznego posługiwania się bronią. W nowo otwartej pracowni studenci będą wykorzystywać kilka rodzajów broni treningowej i na różnych wirtualnych odległościach oraz z różnych postaw strzeleckich mierzyć do celów ruchomych przy zmiennych warunkach oświetleniowych i ograniczonej widoczności. Strzelnica umożliwiła równoczesne szkolenie od 1 do 4 osób. Ćwiczenia nacechowane są stopniowaniem trudności od prostych strzelań statycznych po dynamiczne. System działa w oparciu o obserwację ekranu przez kamerę i detekcję miejsca odbicia światła lasera wyemitowanego z modułu zamontowanego



Fot. Akademia Mazowiecka

na broni treningowej. Wyposażenie strzelnicy kosztowało 150 tys. zł. Na kierunku bezpieczeństwo wewnętrzne i bezpieczeństwo wewnętrzne z administracją publiczną studiuje obecnie prawie 200 studentów.

Symulacje endoskopowe

GDAŃSK W Gdańskim Uniwersytecie Medycznym powstało Centrum Symulacji Endoskopowej, którego działalność ukierunkowana jest na szkolenie podyplomowe kadry lekarskiej w zakresie umiejętności posługiwania się technikami endoskopowymi w diagnostyce i terapii. Jednostka ma charakter multidyscyplinarny i zabezpiecza szkolenie z zakresu technik bronchoskopowych, ultrasonografii płuc, technik małoinwazyjnych w ginekologii oraz położnictwie. Pracownię wyposażono w 8 wirtualnych symulatorów oraz 4 zestawy do symulacji pracy na fantomach, m.in. aparat symulujący pracę na bloku operacyjnym, urządzenie symulujące zabiegi histeroskopii czy symulator do nauki wykonywania badań ultrasonograficznych. Jeszcze w tym półroczu pracownia przeszkoli około 50 lekarzy rezydentów.



Fot. Adam Tuszyński

Ambasadorowie śląskiej nauki

KATOWICE Podczas gali inauguracyjnej VI Śląski Festiwal Nauki uhonorowano badaczy i twórców, którzy w znaczący sposób przyczyniają się do rozwoju nauki oraz mają wybitne osiągnięcia artystyczne, jak również promują śląską naukę w kraju i za granicą. Nominowano 40 osób, spośród których kapituła wybrała ośmiu laureatów: dr. Jana P. Matuszyńskiego (Uniwersytet Śląski), dr. hab. inż. Sebastiana Studenta (Politechnika Śląska), prof. Grzegorza Helbiga (Śląski Uniwersytet Medyczny), prof. Yuriya Povstienkę (Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy im.



Fot. SRN

Jana Długosza w Częstochowie), prof. Leszka Rutkowskiego (Politechnika Częstochowska), dr hab. Katarzynę Czernek-Marszałek (Uniwersytet Ekonomiczny w Katowicach), dr. hab. Arkadiusza Stanulę (AWF w Katowicach), prof. Jana Szmatłocha (Akademia Sztuk Pięknych w Katowicach). Wszyscy otrzymali nagrody finansowe w wysokości 12 tys. zł. Nagrodę ufundowaną przez Górnośląsko-Zagłębiowską Metropolię dla doktorantów (6 tys. zł) otrzymała mgr inż. Justyna Mika (PŚ), a Nagroda Specjalna Prezydenta Miasta Katowice (6 tys. zł) trafiła do dr. hab. inż. Grzegorza Sierpińskiego (PŚ).

Będą czytać krajobraz

SOSNOWIEC Pierwszą w kraju Stację Czytania Krajobrazu uruchomiono na Wydziale Nauk Przyrodniczych Uniwersytetu Śląskiego. Projektując inwestycję, wykorzystano walory architektoniczne budynku (blisko 100 m wysokości względnej i doskonale otwarcia widokowe na



Fot. Urszula Męga-Piątek

cztery strony świata). Panoramiczne plansze opisują strukturę i fizjonomię krajobrazu widocznego z dachu wydziałowej „Żyły”. Zamontowano barwne szklane tafle, na których przedstawiono zróżnicowane metody obserwacyjne i interpretacyjne krajobrazu. Stacja ma także część laboratoryjną. W jednej z sal mieści się wyspecjalizowana pracownia do analiz krajobrazu, przeznaczona dla osób studiujących geografię na specjalności monitoring zmian krajobrazu, ale służąca także szerokiemu gronu studentów, doskonalących swe kompetencje w zakresie nowoczesnej kartografii i Geograficznych Systemów Informacyjnych (GIS). Stacja docelowo zostanie wyposażona w kamery sferyczne. W planach jest utworzenie pierwszego w kraju Obserwatorium Krajobrazowego oraz włączenie sosnowieckiej Stacji do Europejskiej Sieci Obserwatoriów.

Aktywni akademicy

LUBLANA/WARSZAWA Akademicki Związek Sportowy był w ubiegłym roku najbardziej aktywną i odnoszącą najwięcej sukcesów federacją w Europie. Ten sukces nie może dziwić, wszak AZS współorganizował Europejskie Igrzyska Akademickie w Łodzi. W imprezie udział wzięło 5 tys. sportowców-studentów z 383 uczelni. Rywalizacja toczyła się w 20 dyscyplinach. Polacy triumfowali w klasyfikacji medalowej, sięgając po 83 krążki. Jednym z organizatorów imprezy była Politechnika Łódzka

i ona też zajęła 3 miejsce w rocznym zestawieniu najbardziej aktywnych uczelni. W „trzydziestce” znalazły się jeszcze: Uniwersytet Warszawski (23) i Akademia Wychowania Fizycznego Józefa Piłsudskiego w Warszawie (24). W gronie najlepszych sportowo szkół wyższych na wysokiej 5 pozycji sklasyfikowano Akademię Leona Koźmińskiego. W czołówce także AWF w Warszawie (12) i Politechnika Łódzka (17).

Doktorat h.c. – prof. Wojciech Czakon

WROCŁAW Prof. Wojciech Czakon, regularnie publikujący na łamach FA, został doktorem honoris causa Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu. Tworzył Katedrę Zarządzania Strategicznego na Wydziale Zarządzania i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego, którą obecnie kieruje. Wcześniej był związany z Uniwersytetem Ekonomicznym w Katowicach, gdzie z kolei powołał Katedrę Teorii Zarządzania. Przez wiele lat był wykładowcą MBA Wyższej Szkoły Bankowej w Chorzowie. Interesuje się zjawiskami międzyorganizacyjnymi, strukturami i strategiami firm wobec ważnych aktorów otoczenia. Zgłębiając behawioralne uwarunkowania strategii (m.in. preferencje, interpretacje, zaufanie), otwiera drogę do skuteczniejszych zachowań strategicznych firm. W orbicie jego zainteresowań znajdują się też: kooperacja, współpraca strategiczna, konkurowanie, procesy i struktury sieci międzyorganizacyjnych, a także metodologia badań. Jest autorem ponad 200 publikacji.



Fot. UJEW

Wrocławiu. Tytuł przyznano w uznaniu wybitnego dorobku artystycznego w dziedzinie muzyki jazzowej, honorując jego twórczy wkład i szczególne zasługi dla rozwoju kultury muzycznej i życia artystycznego oraz dla promocji polskiej muzyki jazzowej za granicą. Doceniono także wieloletnie działania „Ptaszyna” na rzecz krzewienia wiedzy o muzyce jazzowej. Wróblewski zadebiutował na scenie w 1956 r. podczas Festiwalu Jazzowego w Sopocie, występując z sekstem Krzysztofa Komedy. Prowadził własne zespoły: Kwintet Poznański, Jazz Outsiders, Polish Jazz Quartet, Studio Jazzowe Polskiego Radia, Grand Standard Orchestrę. W 1973 r. wspólnie z Wojciechem Karolakiem utworzył zespół Mainstream, a następnie Kwartet. Jest autorem muzyki filmowej, kilkuset kompozycji, w tym koncertów klasycznych, nagrał ponad 40 płyt.

Doktorat h.c. dla „Ptaszyna”

WROCŁAW Jan „Ptaszyn” Wróblewski, muzyk jazzowy, kompozytor, aranżer i dyrygent, został doktorem honoris causa Akademii Muzycznej im. Karola Lipińskiego we Wrocławiu. Tytuł przyznano w uznaniu wybitnego dorobku artystycznego w dziedzinie muzyki jazzowej, honorując jego twórczy wkład i szczególne zasługi dla rozwoju kultury muzycznej i życia artystycznego oraz dla promocji polskiej muzyki jazzowej za granicą. Doceniono także wieloletnie działania „Ptaszyna” na rzecz krzewienia wiedzy o muzyce jazzowej. Wróblewski zadebiutował na scenie w 1956 r. podczas Festiwalu Jazzowego w Sopocie, występując z sekstem Krzysztofa Komedy. Prowadził własne zespoły: Kwintet Poznański, Jazz Outsiders, Polish Jazz Quartet, Studio Jazzowe Polskiego Radia, Grand Standard Orchestrę. W 1973 r. wspólnie z Wojciechem Karolakiem utworzył zespół Mainstream, a następnie Kwartet. Jest autorem muzyki filmowej, kilkuset kompozycji, w tym koncertów klasycznych, nagrał ponad 40 płyt.



Fot. Paweł Piotrowski

Wrocławiu. Tytuł przyznano w uznaniu wybitnego dorobku artystycznego w dziedzinie muzyki jazzowej, honorując jego twórczy wkład i szczególne zasługi dla rozwoju kultury muzycznej i życia artystycznego oraz dla promocji polskiej muzyki jazzowej za granicą. Doceniono także wieloletnie działania „Ptaszyna” na rzecz krzewienia wiedzy o muzyce jazzowej. Wróblewski zadebiutował na scenie w 1956 r. podczas Festiwalu Jazzowego w Sopocie, występując z sekstem Krzysztofa Komedy. Prowadził własne zespoły: Kwintet Poznański, Jazz Outsiders, Polish Jazz Quartet, Studio Jazzowe Polskiego Radia, Grand Standard Orchestrę. W 1973 r. wspólnie z Wojciechem Karolakiem utworzył zespół Mainstream, a następnie Kwartet. Jest autorem muzyki filmowej, kilkuset kompozycji, w tym koncertów klasycznych, nagrał ponad 40 płyt.

Półwiecze CYFRONETU

KRAKÓW Minęło pół wieku od powstania Akademickiego Centrum Komputerowego CYFRONET AGH. Jednostka zapewnia środowisku akademickiemu dostęp do najszybszych w Polsce komputerów. W momencie założenia (23 marca 1973 r.), wówczas jeszcze jako Środowiskowe Centrum Obliczeniowe CYFRONET – KRAKÓW, było samodzielną jednostką budżetową Ministerstwa Edukacji Narodowej. Od 24 lat stanowi jednostkę organizacyjną AGH. Jest operatorem najszybszego obecnie



Fot. Paweł Piotrowski

superkomputera w Polsce (Athena) o teoretycznej mocy obliczeniowej 7,7 PFlops. Działają tu także superkomputery Ares (ponad 3,5 PFlops) i Prometheus

(niemal 2,7 PFlops). Są wykorzystywane m.in. na potrzeby fizyki wysokich energii, astrofizyki, nauk o Ziemi, europejskiego źródła spalacyjnego, biologii oraz nauk humanistycznych i społecznych. Centrum zarządza systemami składowania danych o pojemności ponad 70 PB, a także udostępnia usługi chmurowe i pakiety oprogramowania naukowego. Zasoby Cyfronetu są dostępne poprzez Portal PLGrid. Użytkownicy – przedstawiciele polskich jednostek naukowych i badawczych – mogą z nich korzystać nieodpłatnie.

Dane dla środowiska

WARSZAWA Projekt mający na celu rozwój współpracy społeczności akademickiej i przedsiębiorstw w obszarze monitoringu i wymiany danych dotyczących parametrów pracy odnawialnych źródeł energii oraz magazynów energii zwyciężył w konkursie o Nagrodę Siemens i Politechniki Warszawskiej. Zwycięzcy z Politechniki Wrocławskiej otrzymali 25 tys. zł. W ramach „mostu” zaplanowali rozszerzenie dostępu i wykorzystania długoterminowych danych pochodzących z Badawczego Systemu Fotowoltaicznego i Baterijnego Magazynu zainstalowanych na uczelnianym kampusie. Utworzona infrastruktura i rozwiązania będą dostępne dla studentów i doktorantów, a także zespołów badawczych. Tegoroczny konkurs przebiegał pod hasłem „Dane dla środowiska”. Zgłaszane projekty miały uwzględniać wykorzystanie danych oraz zagadnienia zrównoważonego rozwoju i społecznej odpowiedzialności.

Mistrzowie promocji

WARSZAWA Po raz 11 rozdano statuetki Genius Universitatis za najlepsze działania reklamowe polskich uczelni. Akademię Górniczo-Hutniczą nagrodzono za kanał popularnonaukowy Bunkier Nauki oraz za film Istotny błąd, ukazujący uczelnię jako miejsce, w którym powinno się eksperymentować, poznawać i doświadczać. Politechnikę Wrocławską doceniono za Ulopolis – projekt pozwalający podglądać przez całą dobę życie pszczoł na kampusie uczelni. Politechnika Świętokrzyska otrzymała statuetkę za konkurs Zbuduj łazika z recyklingu. Uniwersytet Jagielloński



Fot. Perspektywy

dostał nagrodę za grę planszową Gaudeamus! Zbuduj średniowieczny uniwersytet. Najlepszy serwis rekrutacyjny stworzył Instytut Psychologii UJ. Z kolei najlepszą kampanię w mediach społecznościowych (Kleszcze są złowieszcze) przeprowadził Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu. Konkurs organizuje magazyn edukacyjny „Perspektywy”.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Adrianna Catus-Polak, Olga Dereń-Stefaniuk, Katarzyna Górniczo-Mańkiewicz, Jarosław Kulczycki, Jolanta Nowacka, Małgorzata Poszwa, Katarzyna Skatecka, Małgorzata Syrda-Sliwa, Krzysztof Szymański, Joanna Sliwińska, Łukasz Wspianiały, Anna Żmuda-Muszyńska

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej www.forumakademickie.pl oraz na naszych profilach na Facebooku i na Twitterze



Rekordowe patenty

Po rocznej przerwie Uniwersytet Jagielloński powrócił na pozycję lidera wśród polskich zgłoszeniodawców do Europejskiego Urzędu Patentowego (EPO). Naukowcy z najstarszej polskiej uczelni wysłali w ubiegłym roku aż 20 wniosków o ochronę patentową. To rekord – w ostatnich latach rzadko której instytucji z Polski udawało się osiągnąć dwucyfrowy wynik, a jeśli nawet, to nie tak imponujący (Politechnika Śląska w 2021 r. – 11, UJ w 2018 r. – 12). Tym razem na krajowym podium znalazły się oprócz UJ także ubiegłoroczny lider Politechnika Śląska i Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie (po 18 zgłoszeń). Pozostali też nie próżnowali: Uniwersytet Warszawski wysłał 13 aplikacji, a Instytut Wysokich Ciśnień PAN – 10. Okazała dla środowiska akademickiego wygląda zestawienie czołówki najaktywniejszych podmiotów: wśród dziesięciu aż dziewięć to uczelnie bądź instytuty badawcze. Oprócz już wymienionych są jeszcze: Instytut Wysokich Ciśnień PAN (10), Sieć Badawcza Łukasiewicz – Instytut Lotnictwa (9), Uniwersytet Gdański (9), Politechnika Gdańska (8) i Politechnika Częstochowska (7). To pokazuje przede wszystkim coraz większą chęć i potrzebę ze strony samych naukowców do szerszej niż tylko polska ochrony swoich wynalazków, ale także nieocenioną pracę, jaką wykonują akademickie centra transferu technologii. Jediną firmą w tym rankingu jest Polpharma (11 zgłoszeń).

W sumie polskie podmioty dokonały 615 zgłoszeń (rok wcześniej 522), co oznacza wzrost aż o 17,8% i lokuje nas na 25 miejscu w rankingu państw zgłaszających swoje wynalazki do EPO („oczko” wyżej niż

Dr inż. Gabriela Konopka-Cupiał, dyrektor Centrum Transferu Technologii CITTRU UJ:

Wzrost liczby wynalazków, dla których staramy się o ochronę międzynarodową, to rezultat światowej polityki uniwersytetu. Przede wszystkim wynika z potrzeb naszych licencjodawców, ale także my sami decydujemy się na zgłoszenie do EPO i uzyskanie europejskiego patentu, żeby uprawdopodobnić znalezienie klienta. Większość z naszych innowacji to technologie, dla których trudno o odbiorcę w Polsce. Chcąc mieć możliwość rozmawiania z potencjalnymi kupcami z zagranicy, musimy zatem zabezpieczyć kwestie patentowe na tamtym rynku. Nie byłobyśmy w stanie zrobić licencji dotyczących nowych leków, urządzeń medycznych czy rozwiązań biotechnologicznych, gdybyśmy nie mieli ochrony międzynarodowej. W takich branżach ona jest kluczowa, żeby w ogóle przystąpić do rozmów z partnerami. Warto zaznaczyć, że rekordowa liczba zgłoszeń to również efekt intensywnej pracy naukowców UJ. Dwa lata temu powstało sporo nowatorskich rozwiązań, z którymi zgłaszali się do nas, chcąc wyjść z nimi poza Polskę. Są tam też zgłoszenia dotyczące patentów informatycznych, a trzeba wiedzieć, że dopiero niedawno otworzyła się furtka dla ich dokonywania. Z uwagi na istotę tych wynalazków, zabiegamy od razu o ochronę w EPO, zdecydowanie w szerszym zakresie niż tylko polska.



Not. MK

Wśród patentów zgłoszonych przez UJ są technologie biotyżacji do ekologicznej produkcji owoców jagodowych. Biotyżacja jest nowym biotechnologicznym podejściem do uprawy roślin. Polega na inokulacji roślin pożytecznymi mikroorganizmami, takimi jak grzyby czy bakterie, w celu zwiększenia ich wzrostu i tolerancji na stres biotyczny i abiotyczny. W skład szczepionek, opracowanych przez prof. Katarzynę Turnau z Wydziału Biologii UJ oraz dr. hab. Piotra Rozpądkę i dr. Rafała Ważnego z Małopolskiego Centrum Biotechnologii UJ, wchodziły wyselekcjonowane w trakcie wieloetapowych badań szczepy mikroorganizmów. Stworzono również podłoża do hodowli najbardziej efektywnych szczepów, podłoża dla roślin inokulowanych oraz proponowany sposób aplikacji szczepionki. Technologia ma za zadanie zwiększyć efektywność produkcji i podnieść walory zdrowotne owoców jagodowych. Ogranicza również potrzebę stosowania nawozów i chemicznych środków ochrony roślin, co z kolei pozwala zredukować koszty prowadzonej uprawy i zmniejszyć negatywne oddziaływanie na środowisko. Została przetestowana w warunkach hodowli in vitro oraz hodowli doniczkowych. Trwają próby jej przeskalowania.

poprzednio). Warto dodać, że europejski system jest otwarty dla wszystkich krajów świata, stąd przed nami są m.in. USA, Japonia, Kanada, Chiny czy Australia. Rosnąca tendencja w naszym przypadku utrzymuje się już trzeci rok z rzędu (3,2% w 2020 r., 9,2% w 2021). Pod względem tempa wzrostu uplasowaliśmy się w ub.r. na drugiej pozycji wśród wszystkich członków EPO – wyprzedziła nas tylko Malta (28,6%), przy czym liczby wymierne nie są tam aż tak pokaźne jak u nas (wzrost z 56 do 72 zgłoszeń). Dużo gorzej wygląda sytuacja, jeśli chodzi o patenty udzielone, zaliczyliśmy bowiem poważny spadek o 21,7%. W 2022 r. polskim podmiotom udzielono 188 patentów europejskich przy 240 rok wcześniej.

Wiodącą dziedziną w polskich zgłoszeniach nadal są technologie medyczne (55), mimo odnotowanego spadku o 12,7% r/r. Dalej są: produkty farmaceutyczne (40; +8,1%) oraz transport (w tym przemysł samochodowy), gdzie złożono 39 aplikacji, tj. 11,4% więcej. Gigantyczną dynamikę wzrostu zanotowała z kolei biotechnologia (37 zgłoszeń; +362,5%) – to chyba najlepiej obrazuje kierunek, w którym podążą w najbliższych latach nasi wynalazcy.

Łącznie do EPO wpłynęło 193 460 zgłoszeń, co oznacza wzrost o 2,5% w stosunku do poprzedniego roku i nowy rekord. Jeśli liczbę tę weźmiemy za wczesny wskaźnik inwestowania przez firmy w badania i rozwój, to otrzymamy niezbyt dowód, że pomimo światowego kryzysu innowacje utrzymują się na solidnym poziomie. Najwięcej wniosków dotyczyło komunikacji cyfrowej, technologii medycznych oraz komputerowych. Dzięki wynalazkom związanym z czystą energią najszybciej rozwijała się technologia produkcji baterii (+48%). Wysoki wzrost odnotowała także dziedzina związana z półprzewodnikami (+19,9%) oraz biotechnologia (+11%).

Wśród pięciu krajów, z których do EPO wpłynęło najwięcej zgłoszeń, znalazły się Stany Zjednoczone (1/4 wszystkich aplikacji), Niemcy, Japonia, Chiny i Francja. Za wzrost odpowiadały głównie Chiny (+15,1% w porównaniu do 2021 r.), a w mniejszym zakresie także USA (+2,9%) oraz Republika Korei (+10%). O ile liczba zgłoszeń patentowych z Niemiec, europejskiego lidera w tej dziedzinie, spadła o 4,7%, o tyle w większości pozostałych krajów kontynentu z największą liczbą zgłoszeń (powyżej 1000) zanotowano wzrost, m.in. Irlandia (+12,3%), Szwajcaria (+5,9%), Belgia (+5%) i Holandia (+3,5%).

MK

Czy walczymy w przegranej bitwie? Work-life balance po polsku

Dr Arkadiusz Jasiński, członek Rady Młodych Naukowców, adiunkt w Instytucie Psychologii Uniwersytetu Opolskiego, zastanawia się, czy akademia we właściwy sposób odpowiada na potrzeby swoich członków w zakresie zapewnienia, zwłaszcza młodym badaczom, możliwości zachowania równowagi między pracą zawodową i życiem rodzinnym.

Rynek wymaga od zatrudnionych wysokiego poziomu zaangażowania w pracę. Efektywne realizowanie obowiązków zawodowych w połączeniu z rodzinnymi jest dużym wyzwaniem, szczególnie dla młodych naukowców.

Równowaga między pracą i życiem prywatnym zachodzi wtedy, gdy radzimy sobie z pełnieniem tych odmiennych ról jednocześnie. Odróżnia się konflikt rodzina-praca (wymagania w rodzinie utrudniają pełnienie obowiązków zawodowych) od konfliktu praca-rodzina (praca utrudnia funkcjonowanie w rodzinie). W tym tekście odnoszę się do ogólnie ujętego balansowania między pracą i domem. Z perspektywy psychologa pracy i organizacji mogę stwierdzić, że proces awansu naukowego – zdobywanie kolejnych stopni naukowych – okupiony jest wysokimi kosztami psychospołecznymi. Dostępne wyniki badań sugerują, że najbardziej na obciążenie pracą skarżą się osoby na początku kariery akademickiej (Kotini-Shah i in., 2022). Jednym z istotnych predyktorów efektywności pracy dydaktycznej lub badawczej jest umiejętne adaptowanie się do wymogów otoczenia w pracy i w życiu osobistym. Funkcjonowanie w pracy jest w istotnym związku z dobrostanem psychicznym, który został uznany za jeden z kluczowych czynników efektywnej edukacji, aktywnego uczestnictwa w życiu społecznym i wydajności gospodarki (Rada UE, 2011).

Polacy są jednym z najbardziej zapracowanych narodów Unii Europejskiej. Średnio spędzamy w pracy 40,3 godziny w tygodniu, co istotnie odbiega od średniej europejskiej (37,2). Pomocą w równoważeniu obowiązków zawodowych z rodzinnymi ma być tzw. dyrektywa work-life balance (dyrektywa Parlamentu Europejskiego i Rady Unii Europejskiej 2019/1158 z dnia 20 czerwca 2019 r.). Celem dokumentu jest umożliwienie pracownikom mającym dzieci godzenia obowiązków rodzinnych i pracowniczych. Zgodnie z nowym prawem m.in. wydłużeniu uległ okres urlopu rodzicielskiego (z 32 do 41 tyg. w przypadku urodzenia jednego dziecka; z 34 do 43 tyg. w przypadku porodu przy ciąży bliźniaczej). Dyskusyjny jest zapis dyrektywy o obowiązkowym urlopie w wymiarze 9 tyg., którego nie można przenieść na drugiego rodzica. Wcześniejsze przepisy (krajowe) dawały wybór w zakresie podziału urlopu rodzicielskiego między rodzicami. Jest wysoce prawdopodobne, że w praktyce nowy wymóg spowoduje skrócenie urlopu rodzicielskiego jednego z rodziców. Nowe przepisy ustalają również wymiar urlopu opiekuńczego na 5 dni. Unijna dyrektywa nie określa, czy urlop opiekuńczy ma być płatny, czy nie. Polski ustawodawca zdecydował się na rozwiązanie bezpłatne. Warto podkreślić, że przepisy nowelizujące m.in. kodeks pracy zostały wprowadzone ze znacznym opóźnieniem. Państwa członkowskie miały czas do 2 sierpnia 2022 r., a Sejm RP uchwalił implementację rozwiązań unijnych 8 lutego 2023 r. Rozwiązaniem wspierającym naukowców-rodziców jest także opublikowana 6 lutego 2023 r. w „Dzienniku Ustaw” nowelizacja kodeksu pracy w zakresie pracy zdalnej. Pracodawca powinien pozytywnie rozpatrzyć wniosek o pracę zdalną, złożony m.in. przez pracownika wychowującego dziecko do 4 roku życia.

Jak widać, na poziomie krajowym ustawodawstwo usiłuje nadążyć za potrzebami pracowników. Jako nauczyciel akademicki chcę zwrócić uwagę na drugiego decydenta w zakresie wspierania rozwoju młodych naukowców: uczelnie i instytuty badawcze. Powodem, dla któ-

rego wywołują władze akademii w Polsce do odpowiedzi w sprawie work-life balance, jest autonomia, którą podkreślają, gdy tylko nadarzy się okazja. Parafrazując Arystotelesa i św. Augustyna, można powiedzieć: „Wolność to możliwość czynienia dobra”. A jak wolność akademicką definiują senaty uczelni i rady instytutów? Uważam, że warto na poziomie instytutów naukowych i szkół wyższych wdrożyć swoiste „zarządzenia ws. work-life balance”. Czasem odnoszę wrażenie, że głos najczęściej i pod niemal każdym względem ocenianych pracowników dydaktycznych i badawczych jest słabo słyszalny. Uważam, że uczelnie, korzystając z autonomii, mogą wyprzedzić ustawodawcę, opracowując dobre praktyki samodzielnie. Standardem powinno być badanie zadowolenia z pracy na uczelni lub w instytucie. Informacja od pracowników na temat subiektywnej oceny warunków pracy to szansa dla władz na podniesienie sobie poprzeczki. Być może KEN i PKA powinny w ocenie działalności naukowej i dydaktycznej uwzględnić kryteria związane z jakością zarządzania zasobami ludzkimi. Dlaczego, choć wiele osób to dostrzega, tak niewielu mówi otwarcie o błędach w zarządzaniu uczelniami wynikających z niskiej kultury organizacyjnej? Zapewnienie równowagi między pracą zawodową a życiem rodzinnym naukowców powinno być jednym z priorytetów właściwego ministra, instytutów badawczych i szkół wyższych, ponieważ jest to ważny czynnik zaspokojenia niedoborów kadrowych w nauce i szkolnictwie wyższym.

Dodatkowym wątkiem rozważań na temat godzenia obowiązków rodzica i naukowca jest problem dzietności w Polsce. Ujemny przyrost naturalny powinien skłaniać do refleksji. Praktyka pokazuje, że wybór między rolą rodzica a pozbawioną apanaży rolą młodego naukowca dla wielu (mimo wszystko) kończy się decyzją o „odroczonej rodzicielstwie” lub „bezdzietności z wyboru”. Z drugiej strony, odejście z nauki do lepiej płatnej pracy nie zwiększa wskaźnika dzietności. Borykamy się zatem z dwoma problemami: brakiem kadry akademickiej i depopulacją. Rozwiązanie pierwszego z problemów jest w zasięgu państwa i sektora naukowego. Wsparcie młodych naukowców w godzeniu obowiązków zawodowych z rodzinnymi przyniesie korzyści pracownikom i pracodawcom. Dostępne wyniki badań sugerują ujemny związek między efektywnym godzeniem konfliktu praca-rodzina a natężeniem wypalenia zawodowego (Mulyani i in., 2021). Prewencja wypalenia zawodowego jest ważna, ponieważ może ono być istotną zmienną w podjęciu decyzji o porzuceniu zawodu. Z drugiej strony, osoby lepiej radzące sobie z jednoczesnym byciem pracownikiem i rodzicem charakteryzują się wyższym zadowoleniem z pracy, wyższym zaangażowaniem w pracę i deklarują lepszy stan własnego zdrowia (Zalewska, 2020). Bycie naukowcem może utrudniać życie rodzinne, ale z pewnością go nie wyklucza. Życie zawodowe jest tylko jednym z obszarów działalności człowieka. Warto jednak stworzyć otoczenie sprzyjające odegraniu dwóch (często równie ważnych) ról naukowca i rodzica.

Rada Młodych Naukowców, dostrzegając wagę wsparcia młodych uczonych w radzeniu sobie z godzeniem obowiązków zawodowych z życiem rodzinnym, zorganizowała w marcu webinar nt. „Konflikt praca-rodzina a zdrowie – ochronne funkcje dobrostanu i zasobów”.

Po indeks i medale

Swoją sportową przygodę Natalia Krześlak rozpoczęła od panczenów, a później zapałała miłością do roweru. Uprawia zarówno szosową, jak i torową wersję kolarstwa. Ma już na koncie tytuł mistrzyni Polski ze startu wspólnego, ale marzy o występie na igrzyskach olimpijskich. Aby osiągnąć swój cel i zdobyć kwalifikację, przygotowuje się w pocie czoła. Kilkogodzinny trening na rowerze potrafi dać w kość, a nie mniejszym wyzwaniem jest połączenie go z nauką. Zawodniczka Toruńskiego Klubu Kolarskiego Pacific półtora roku temu rozpoczęła studia licencjackie na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika. Kształci się na kierunku komunikacja i psychologia w biznesie. Idzie jej znakomicie: po pierwszym roku miała średnią 4,3, a na koniec kolejnego semestru jeszcze ją poprawiła, uzyskując 4,82.

– Te studia bardzo mi pomagają, bo – nie ukrywajmy – sport to dzisiaj także biznes i zarówno komunikacja, jak i psychologia znajdują w nim zastosowanie. Żeby myśleć poważnie o zawodowej karierze, potrzebna jest wiedza z obu tych obszarów – tłumaczy Natalia Krześlak.

Możliwość jednoczesnego rozwoju na płaszczyźnie sportowej i edukacyjnej jest dla niej niezwykle istotna, dlatego nieprzypadkowo wybrała właśnie UMK. Od pięciu lat uczelnia realizuje program kariery dwutorowej. Zapewnia on warunki do łączenia sportowej aktywności na najwyższym poziomie ze studiowaniem. Każdy jego uczestnik może dzięki temu myśleć o swojej przyszłości również w dziedzinach pozasportowych.

– Od początku stawiamy na nowy typ kandydata na studia. Program adresujemy do młodzieży świadomej roli sportu i edukacji w ich życiu. Chcemy przyciągnąć osoby zdeterminowane na wynik w obu tych sferach – podkreśla Tomasz Górzyński, zastępca dyrektora Uniwersyteckiego Centrum Sportowego UMK.

Program stworzono na bazie m.in. podobnych inicjatyw za granicą, w tym we Francji i USA, a także wskazówek samych sportowców, których zapytano, jakiego wsparcia ze strony uczelni oczekują. Zapoznane z diagnozą, władze rektorskie dały „zielone światło” na wdrożenie inicjatywy. W efekcie do regulaminu studiów wprowadzono określenie „student-sportowiec”, definicję kariery dwutorowej

oraz prawa i obowiązki wynikające z uczestnictwa w programie. To pionierskie przedsięwzięcie nie tylko w skali ogólnopolskiej. Łącznie przewinęło się przez niego już ponad 300 osób. Obecnie objętych jest nim 70 studentów sportowców.

Mają możliwość studiowania w trybie indywidualnym. Trafiają pod opiekę dydaktyczno-naukową tutora na wydziale prowadzącym dany kierunek oraz tutora sportowego w UCS. Wspólnie ustalają oni z wykładowcami formę udziału w zajęciach, a także daty zaliczeń i egzaminów, aby nie kolidowały z kalendarzem treningów.

– Nie dajemy im od razu ryby, próbujemy nauczyć ich samych wędkować w uniwersyteckim środowisku. Oczywiście, kiedy dochodzi do sytuacji podbramkowej, włączamy się do kontaktu z opiekunem czy profesorami, żeby sportowcy mogli efektywnie zarządzać swoją edukacją i korzystać z tego, co oferuje uczelnia – tłumaczy Górzyński.

Jego słowa potwierdza inna uczestniczka programu, Julia Walczak, brązowa medalistka mistrzostw Europy w kanadyjskiej dwójce.

– Przez te trzy lata, odkąd jestem w programie, bardzo mocno rozwinęłam się komunikacyjnie, nauczyłam się rozmawiać z wykładowcami, przedstawiać im swoje propozycje rozwiązania danej kwestii. Sprawdza się to też poza uczelnią. Ostatnio, gdy na lotnisku trzeba było załatwić formalności dla całej 50-osobowej grupy, to mnie wydelegowano – śmieje się utalentowana kajakarka.

Jednym z kluczowych elementów programu jest urlop sportowy. Jeśli ktoś ma w planach zawody lub zgrupowanie treningowe, które kolidują z obowiązkami studenckimi, wówczas może sobie wziąć wolne. Nie muszą to być od razu igrzyska olimpijskie czy mistrzostwa świata, niektórzy chcą w spokoju przygotowywać się także do rozgrywek niższej rangi. Taki odpoczynek od nauki może trwać jeden lub dwa semestry, przy czym nie ma ograniczeń co do liczby kolejno następujących po sobie wniosków urlopowych. Dla najwybitniejszych przewidziano również stypendia rektorskie oraz sportowe za osiągnięte wyniki. Jak słyszę w UCS UMK, to jedynie dodatki, bo głównym zamierzeniem jest stworzenie optymalnych warunków do studiowania osobom, które w innym przypadku musiałyby zrezygnować

ze swojej pasji. A tak mogą łączyć przyjemne z pożytecznym. Potwierdzają to sami zawodnicy, doceniając wzorową komunikację na linii klub–uczelnia–sportowiec. Według nich to klucz do sukcesów zarówno w sporcie, jak i poza nim.

– Wykładowcy, mając świadomość tego, że priorytetem w tym momencie jest dla mnie sport, w niekonwencjonalny sposób potrafią przekazać mi wiedzę. Ale nie mam żadnej taryfy ulgowej, jak to czasem bywa na uczelniach prywatnych. Poprzeczka jest wysoko zawieszona. To dobrze, bo lubię takie wyzwania – zapewnia Julia Walczak.

Z kolei Natalia Krześlak wspomina, że na początku nie było łatwo.

– Ale dzięki płynnej wymianie informacji, zgraniu moich wyjazdów z terminami zaliczeń, uzyskałam dużo spokoju i pewności, że sobie poradzę. Motywację wzmacniają dodatkowo zrozumienie i empatia ze strony wykładowców. To są niby błahostki, ale wsparcie z każdej strony buduje człowieka, wiarę w siebie.



Julia Walczak



Natalia Krześlak

Program funkcjonuje już prawie 5 lat i ciągle podlega ewaluacji. Zmiany podyktowane są potrzebami samych uczestników. Pojawiają się więc nowe elementy, inne wymagają poprawy. Tak było np. z urlopami, których pula była początkowo ograniczona. Okazało się to niewystarczające, ale po korektach działa bez zarzutu. Warto podkreślić, że benefity przewidziano już na etapie rekrutacji. Sportowcy posiadający klasę mistrzowską międzynarodową, klasę mistrzowską lub pierwszą klasę sportową w dyscyplinach olimpijskich i nieolimpijskich w postępowaniu kwalifikacyjnym otrzymują maksymalną liczbę punktów. Mogą wybierać spośród bogatej, liczącej kilkadziesiąt kierunków, oferty studiów stacjonarnych i niestacjonarnych. We współpracy z dziekanami stworzono nawet specjalną listę preferowanych dla studentów-sportowców.

– Chcemy w ten sposób uniknąć pułapki, w której na danym kierunku tryb prowadzonych zajęć, np. laboratoryjnych, będzie utrudniał lub wręcz uniemożliwiał integrację nauki i kariery sportowej – tłumaczy T. Górzyński.

Największa grupa wybiera fizjoterapię, ale wśród sportowców nie brak studentów prawa, psychologii, informatyki, fizyki czy biologii sądowej. Julia Walczak zdecydowała się na turystykę i rekreację. Licencjat już za nią, teraz kończy pierwszy rok studiów magisterskich.

– Jestem w programie już od 3,5 roku i z tej perspektywy jeszcze lepiej widzę, ile mi dał. Gdyby nie to wsparcie, prawdopodobnie nie zaliczyłabym nawet pierwszego semestru. Z uwagi na kalendarz startów i zgrupowań trudno byłoby mi pojawiać się na zajęciach, a dzięki indywidualnym zaliczeniom mogę iść do przodu – przekonuje.

W ostatnim rozdaniu ministerialnych stypendiów za znaczące osiągnięcia wśród ponad czterystu studentów i studentek z całej Polski (w tym 28 z UMK) znalazły się trzy uczestniczki programu kariery dwutorowej: Alicja Śliwicka (szachy), Barbara Streng (wioślarstwo) i właśnie Julia Walczak. Ta ostatnia jest jedną z zaledwie kilku osób, która na toruńskiej uczelni bierze udział jednocześnie w programie kariery dwutorowej i Narodowej Reprezentacji Akademickiej. To możliwe, bo obie inicjatywy – i UMK, i AZS – nie wchodzą ze sobą w kolizję, a wręcz przeciwnie.

– One się wzajemnie dopełniają i z punktu widzenia sportowca jest to bardzo korzystne – nie ma wątpliwości J. Walczak.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, przyszły rok będzie dla niej przełomowy: igrzyska w Paryżu, na które ma nadzieję pojechać, zbiegną się z zakończeniem studiów i uzyskaniem tytułu magistra. Może więc być podwójna okazja do świętowania.

Mariusz Karwowski

Studia i sport w UŁ

Program kariery dwutorowej zainaugurował w marcu także Uniwersytet Łódzki. Objęci nim zawodnicy mogą liczyć na przyznanie indywidualnej organizacji studiów, urlop, bezpłatne miejsce w domu studenckim czy wsparcie finansowe w postaci stypendiów i zapomóg. Z programu mogą skorzystać sportowcy – studenci i doktoranci UŁ, niezależnie od formy i poziomu studiów, legitymujący się odpowiednią klasą sportową lub określonym wynikiem sportowym. Na zakwalifikowanie mogą liczyć ci, którzy spełniają co najmniej jedno z następujących kryteriów: posiadają pierwszą lub mistrzowską krajową klasę sportową w dyscyplinach olimpijskich lub klasę mistrzowską międzynarodową w dyscyplinach olimpijskich i nieolimpijskich; brali udział w igrzyskach olimpijskich, uniwersjadzie, mistrzostwach świata lub mistrzostwach Europy, w tym również akademickich; zdobyli medal mistrzostw Polski. Uczestnictwo w programie trwa przez cały okres studiów. Obecnie bierze w nim udział 27 osób, które reprezentują 9 dyscyplin sportu, w tym aż 10 koszykarzy i koszykarek oraz 9 lekkoatletów i lekkoatletek, a także przedstawiciele futsalu, hokeja na trawie, judo, kickboxingu, kolarstwa, narciarstwa alpejskiego i piłki nożnej. Program jest realizowany we współpracy z Akademickim Związkiem Sportowym – AZS Łódź i KU AZS Uniwersytetu Łódzkiego.

MK

Wyroki

Na podstawie wyroku z dnia 15 czerwca 2022 r. Sądu Rejonowego Poznań-Grunwald i Jeżyce Wydział VIII Karny oraz wyroku z dnia 2 stycznia 2023 r. Sądu Okręgowego w Poznaniu IV Wydział Karny - Odwoławczy publikujemy obydwa wyroki.

(red.)

IV Ka 1019/22



WYROK

W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Dnia 2 stycznia 2023 r.

Sąd Okręgowy w Poznaniu IV Wydział Karny-Odwoławczy w składzie:

Przewodniczący: sędzia Hanna Bartkowiak

Protokolant: staż. Dominika Orlowska

po rozpoznaniu w dniu 19 grudnia 2022 r.

sprawy **Tadeusza Żuchowskiego**

oskarżonego z art. 212 § 1 kk

na skutek apelacji wniesionej przez obrońcę oskarżonego

od wyroku Sądu Rejonowego Poznań – Grunwald i Jeżyce w Poznaniu

z dnia 15 czerwca 2022 r., sygn. VII K 378/21

1. Zmienia zaskarżony wyrok w punkcie I w ten sposób, że uznając, iż oskarżony Tadeusz Żuchowski popełnił przestępstwo z art. 212 § 1 kk w sposób tam opisany na podstawie art. 59 kk odstępuje od wymierzenia mu kary.
2. W pozostałym zakresie zaskarżony wyrok utrzymuje w mocy.
3. Kosztami procesu za postępowanie odwoławcze obciąża oskarżonego i z tego tytułu zasądza od oskarżonego na rzecz oskarżycielki prywatnej Ingi Iwasiów kwotę 840 zł tytułem zwrotu kosztów zastępstwa procesowego za instancję odwoławczą oraz wymierza oskarżonemu na rzecz Skarbu Państwa opłatę za obie instancje w kwocie 30 zł.

Hanna Bartkowiak

Zgodność odpisu z oryginałem
Poświadczam
Poznań, dnia 21.02.2023r.
st. sek.sąd. Monika Czyżewska

Sygn. akt VIII K 378/21



WYROK
W IMIENIU
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Dnia 15 czerwca 2022 r.

Sąd Rejonowy Poznań – Grunwald i Jeżyce w Poznaniu Wydział VIII Karny w składzie:

Przewodniczący: sędzia Karolina Świderska

Protokolant: p.o. prot. sąd. Alina Kowalska

przy udziale oskarżycielki prywatnej Ingi Iwasiów

po rozpoznaniu w dniach: 7 marca 2022 r., 14 kwietnia 2022 r. i 9 czerwca 2022 r. na rozprawie sprawy **Tadeusza Żuchowskiego**, syna Romana i Stanisławy, ur. dnia 14 listopada 1958 r. w Laszczynie

oskarżonego o to, że:

w dniu 5 listopada 2020 r., w nieustalonym miejscu, w trakcie posiedzenia Rady Doskonałości Naukowej, działając z góry powziętym zamiarem, publicznie pomówił Inge Iwasiów o takie postępowanie i właściwości, które mogły poniżyć pokrzywdzoną w opinii publicznej oraz narazić ją na utratę zaufania potrzebnego do wykonywania zawodu nauczyciela akademickiego oraz pełnienia funkcji członka Rady Doskonałości Naukowej poprzez sugerowanie choroby psychicznej, „koprolali”, „chamstwa” oraz braku wychowania, tj. o przestępstwo z art. 212 § 1 kk

- I. oskarżonego Tadeusza Żuchowskiego uznaje za winnego tego, że w dniu 5 listopada 2020 r. w Poznaniu, w trakcie posiedzenia Rady Doskonałości Naukowej, działając z góry powziętym zamiarem, publicznie pomówił Inge Iwasiów o takie postępowanie i właściwości, które mogły poniżyć pokrzywdzoną w opinii publicznej oraz narazić ją na utratę zaufania potrzebnego do wykonywania zawodu nauczyciela akademickiego oraz pełnienia funkcji członka Rady Doskonałości Naukowej poprzez sugerowanie choroby psychicznej, „koprolali”, zaburzeń chorobowych oraz braku wychowania, tj. przestępstwa z art. 212 § 1 kk, i za przestępstwo to – na podstawie art. 212 § 1 kk – wymierza mu karę grzywny w wysokości 100 (stu) stawek dziennych, ustalając wysokość jednej stawki dziennej na kwotę 50,00 (pięćdziesięciu i 00/100) zł,
- II. na podstawie art. 215 kk orzeka podanie wyroku do publicznej wiadomości poprzez:

Sygn. akt VIII K 378/21

- jego jedynokrotną publikację na łamach ogólnopolskiego miesięcznika Forum Akademickie,
 - jego wywieszenie na tablicach ogłoszeń Instytutu Historii Sztuki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz Instytutu Literatury i Nowych Mediów Uniwersytetu Szczecińskiego na okres 30 (trzydziestu) dni,
- III. na podstawie art. 212 § 3 kk zasądza od oskarżonego na rzecz Stowarzyszenia Regionalny Kongres Kobiet w Szczecinie nawiązkę w kwocie 2.000,00 (dwóch tysięcy i 00/100) zł,
 - IV. na podstawie art. 628 pkt 1 kpk zasądza od oskarżonego na rzecz oskarżycielki prywatnej Ingi Iwasiów poniesione przez nią koszty procesu, pozostawiając ustalenie ich dokładnej wysokości na dalszym etapie niniejszego postępowania,
 - V. na podstawie art. 628 pkt 2 kpk zasądza od oskarżonego na rzecz Skarbu Państwa koszty sądowe w łącznej kwocie 550,00 (pięciuset pięćdziesięciu i 00/100) zł, w tym – na podstawie art. 1 i art. 3 ust. 1 ustawy z dnia 23 czerwca 1973 r. o opłatach w sprawach karnych (Dz. U. z 1983 r., nr 49 poz. 223 ze zm.) – wymierza mu opłatę w kwocie 500,00 (pięciuset i 00/100) zł.

Sędzia Karolina Świderska



Na oryginalne właściwe podpisy

Odpiszenie jest prawomocne z dniem: 2.01.2023r.

I podlega wykonaniu

Zgodność odpisu z oryginałem poświadczam

Poznań, dnia 21.02.2023r.

Z up. Kierownika sekretariatu

Stażystka Sekretariatu sądowego

Monika Czyżewska

Krajobraz bez cieni – ewaluacja 2022/23

Zakończyła się ewaluacja działalności naukowej w latach 2017-2021. Po raz pierwszy oceniano dyscypliny w uczelniach, a nie jednostki naukowe. Zadanie zrealizowała Komisja Ewaluacji Nauki, czyli 31 osób (pod koniec ewaluacji 29 – prof. Edward Nencka został rektorem Europejskiej Szkoły Wyższej im. Józefa Tischnera, z zadaniem włączenia jej w struktury Uniwersytetu SWPS, a prof. Aleksander Welfe objął funkcję wiceprezesa Polskiej Akademii Nauk) pod kierunkiem prof. Błażeja Skoczenia z Politechniki Krakowskiej. Posługiwano się inaczej niż poprzednio skonstruowaną listą czasopism i wydawnictw, a przyznane przez ministra edukacji i nauki kategorie naukowe mają zupełnie inne – znacznie większe – niż dotychczas znaczenie. Decydują nie tylko o drobnej części algorytmu podziału subwencji dla instytucji naukowych, ale także o uprawnieniach akademickich ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Za pośrednictwem opracowanego przez Ośrodek Przetwarzania Informacji – PIB Systemu Ewaluacji Dorobku Naukowego 283 podmioty zgłosiły do ewaluacji 1145 dyscyplin nauki. W dziedzinie nauk humanistycznych ewaluowano 159 dyscyplin w jednostkach naukowych, w naukach inżynieryjno-technicznych 244, w naukach medycznych i naukach o zdrowiu 106, w naukach rolniczych 62, w społecznych 324, w ścisłych i przyrodniczych 185, w teologicznych 12, a dziedzinie sztuki 53 dyscypliny w jednostkach.

Wg informacji przedstawionej przez prof. Skoczenia podczas seminarium ewaluacyjnego KRASP, które odbyło się niedawno na Uniwersytecie Łódzkim, pod uwagę brany był dorobek 117 854 osób. Były to 707 862 publikacje, 12 138 praw ochronnych, 53 903 osiągnięcia artystyczne, 27 556 projektów badawczych, 16 002 komercjalizacje wyników badań naukowych i 155 867 usług badawczych, czyli niemal milion osiągnięć, zwanych niegdyś zdarzeniami ewaluacyjnymi (to określenie ukuł Komitet Ewaluacji Jednostek Naukowych). W tym samym wystąpieniu ówczesny szef KEN zwrócił uwagę na pracę ekspertów. Do oceny dyscyplin w I etapie ewaluacji powołano 858 ekspertów, w tym 46 zagranicznych, a do oceny odwołań 314 ekspertów, w tym 11 zagranicznych. Prof. Skoczeń mówił w tym kontekście o budowie „korpusu ekspertów ewaluacyjnych”. Praca ekspertów, czyli ocena trzeciego kryterium oraz wskazania do kategorii A+, była najczęściej kwestionowana we wnioskach o ponowne rozpatrzenie sprawy.

Pierwszy etap ewaluacji zakończył się w połowie czerwca 2022, gdy wyniki swojej pracy Komisja przekazała ministrowi edukacji i nauki. Ten na podstawie jej sugestii i innych czynników do końca lipca 2022 r. podjął decyzje o przyznaniu kategorii naukowych. Kategorię A+ otrzymało 65 dyscyplin (5,68%), kategorię A – 323 (28,21%), B+ – 582 (50,83%), B – 139 (12,14%), a C – 36 dyscyplin (3,14%).

Po otrzymaniu decyzji podmioty miały miesiąc na złożenie wniosków o ponowne rozpatrzenie sprawy, czyli tzw. odwołań (czyt. wypowiedź prof. Zbigniewa Kmiecika w FA 12/2022). Zrobiło to 188 instytucji w 583 dyscyplinach, co oznacza, że z prawa do zakwestionowania decyzji ministra nauki skorzystało 51% ewaluowanych dyscyplin. To nieco więcej niż w poprzednich ewaluacjach, gdy robiło to ok. 40% jednostek lub nieznacznie więcej. Minister nauki pozytywnie rozpatrzył 293 wnioski, czyli 50,26%, podnosząc dyscyplinom kategorię naukową. Warto zauważyć, że sama KEN zdecydowała o zmianie kategorii jedynie 100 dyscyplinom, czyli 17,15% (więcej w rozmowie z prof. B. Skoczeniem na str. 20).

Ostateczne wyniki ewaluacji działalności naukowej w latach 2017-2021, czyli decyzje ministra nauki po rozpatrzeniu odwołań, poznaliśmy niedawno. Po ponownym rozpatrzeniu spraw, minister nauki przyznał kategorię A+ kolejnym 51 dyscyplinom, kategorię A – 101 dyscyplinom. W wyniku odwołań ubyło 51 dyscyplin z kategorią B+,

89 z kategorią B i 12 z kategorią C. Ostatecznie zatem **kategorię A+ otrzymało 116 dyscyplin (10,13%), kategorię A – 424 dyscypliny (37,03%), B+ – 531 (46,37%), B – 50 (4,37%), a C – 24 dyscypliny (2,19%)**. Mówiąc krótko: „biorące” kategorie B+, A i A+ otrzymało 1071 dyscyplin, czyli 93,54% poddanych ocenie. Tylko 74 dyscypliny, czyli 6,46%, dostały kategorie, które nie dają korzyści. Pejzaż nauki polskiej wyłaniający się z ewaluacji nie ma wyraźnych blasków – liczebność kategorii A+ odejmuje jej walor wyjątkowości i osłabia prestiż – ale też nie widać w nim ciemnych miejsc, bo te kilka procent najsłabszych kategorii nie pokazuje cieni w pejzażu polskiej nauki.

W dziedzinie **nauk humanistycznych** na 159 ocenianych dyscyplin 14 (8,8%) otrzymało kategorię A+, 71 (44,64%) – A, 66 – B+ (41,5%), 7 – B (4,4%), a 1 – C (0,62%). W **naukach inżynieryjno-technicznych** na 244 dyscypliny 15 (6,15%) otrzymało kategorię A+, 95 (38,93%) – A, 119 (48,77%) – B+, 10 (4,09%) – B, a 5 (2,05%) – C. W **naukach medycznych i o zdrowiu** ewaluowano 106 dyscyplin, z których kategorię A+ otrzymało 7 (6,6%), kat. A – 50 (47,16%), B+ – 38 (35,84%), B – 6 (5,66%), a C – 5 (4,71%). W **naukach rolniczych** na 62 ewaluowane dyscypliny 10 (16,12%) otrzymało kategorię A+, 27 (43,54%) – A, 23 (37,1%) – B+, 1 (1,61%) – B i 1 (1,61%) – C. W dziedzinie **nauk społecznych** na 324 oceniane dyscypliny 20 (6,17%) dostało kategorię A+, 89 (27,47%) – A, 188 (58,02%) – B+, 19 (5,86%) – B i 8 (2,47%) – C. Na 185 dyscyplin z **dziedziny nauk ścisłych i przyrodniczych**, kategorię A+ otrzymały 34 dyscypliny (18,38%), a kat. A – 58 (31,35%). Oznacza to, że niemal połowa, bo 92 dyscypliny (49,73%), mają najwyższe kategorie, co potwierdza wysoki poziom nauk z tej grupy i jest zgodne z ich wysoką pozycją międzynarodową. Kategorię B+ uzyskały 83 dyscypliny (44,86%) ścisłe i przyrodnicze, B – 6 (3,24%), a C – 4 (2,16%). W dziedzinie **nauk teologicznych** na 12 dyscyplin 4 (33,33%) dostały kat. A+, 7 (58,33%) – A i 1 (8,33%) – B+. W dziedzinie **sztuki** ewaluowano 53 dyscypliny, z których 12 (22,64%) otrzymało kategorię A+, 27 (50,94%) – A, 13 (24,53%) – B+, a 1 (1,89%) – B.

Te wyniki oznaczają, że obecnie uprawnienia do nadawania stopni naukowych ma 1071 dyscyplin, czyli teoretycznie mamy 2142 uprawnienia akademickie, czyli ponad dwukrotnie więcej niż przed ewaluacją. W przypadku uprawnień habilitacyjnych wzrost jest większy, bo w zasadzie trzykrotny. Napisałem „teoretycznie”, bowiem wiadomo, że nie wszystkie jednostki, których dyscypliny zdobyły kategorie A+, A i B+, zechcą skorzystać z tych uprawnień, będą w stanie otworzyć szkoły doktorskie czy też powołać komisje habilitacyjne. Są też sytuacje, kiedy tracą uprawnienia środowiska uważane za znakomite pod względem naukowym. Dotyczy to np. Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, który nawet w wyniku ponownego rozpatrzenia sprawy nie uzyskał kategorii B+ w dyscyplinie filozofia. Także „najmłodsze dziecko” PAN – Międzynarodowy Instytut Mechanizmów i Maszyn Molekularnych – uzyskał kategorię C, czyli nie tylko nie ma uprawnień akademickich, ale także wkrótce straci subwencję (na szczęście ma sporo znakomitych, wysoko finansowanych grantów).

Przyjrzyjmy się najwyższej kategorii A+, bo w niej zdarzyły się rzeczy dotychczas niewidziane. W żadnej wcześniejszej ewaluacji najwyższej kategorii nie uzyskało aż tyle podmiotów, zarówno pod względem liczby (116), jak i odsetka ocenianych dyscyplin (10,13%). Czy tak wysoki procent dyscyplin najwyższej kategorii informuje jeszcze o ekskluzywności grona jej posiadaczy? Czy to wciąż jeszcze prestiż? Jaka jest granica ekskluzywności i prestiżu w nauce? Powyżej – znacznie – średniej odsetek kategorii A+ miały dziedziny nauk teologicznych, sztuki, nauk ścisłych i przyrodniczych oraz nauk rolniczych. Czy to oznacza, że właśnie one są najlepsze (np. w kontekście międzynarodowym)? Poniżej – też znacznie – średniej cztery pozostałe

dziedziny, przy czym humanistyka była jej najbliższą. Tu pytanie: czy to oznacza kryzys humanistyki?

Kategoria A+ zdarzyła się w 35 dyscyplinach. Oprócz dyscyplin rekordzistek, jak nauki chemiczne z 16 A+ (13,79% wszystkich A+), nauki o bezpieczeństwie z 8 A+ (!) oraz sztuki plastyczne i konserwacja dzieł sztuki – 6 (5,17%) A+, a także po 5 A+ w naukach fizycznych i sztukach muzycznych, było aż 13 dyscyplin, w których nie przyznano ani jednej najwyższej kategorii. We wspomnianej chemii aż 45,71% wszystkich jednostek dostało kategorię A+. To są mistrzowie Polski i świata, bo zapewne nigdzie indziej nie ma tylu najlepszych w jednej branży. Można pokusić się o konkluzję, że w polskiej chemii kategoria A+ nie jest ani ekskluzywna, ani prestiżowa, skoro uzyskuje ją niemal połowa instytucji poddających ocenie tę dyscyplinę.

A teraz mistrzowie instytucjonalni, czyli ranking „olimpijski”. Najwięcej, aż 8, kategorii A+ uzyskał Uniwersytet Warszawski. Za nim z 6 A+ jest Politechnika Gdańska, 5 A+ ma Uniwersytet Jagielloński, a po 4 A+ zdobyły: Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu oraz Politechnika Wrocławska. Po 3 A+ mają: Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II, Uniwersytet Śląski i Uniwersytet Wrocławski. Warto jeszcze zwrócić uwagę na instytuty Polskiej Akademii Nauk, z których 23 uzyskały łącznie 25 kategorii A+. To 21,55% wszystkich kategorii A+, podczas gdy dyscypliny ewaluowane przez jednostki PAN stanowią tylko 8,3% wszystkich poddanych ocenie. Gdybyśmy zatem potraktowali je łącznie, jako jednostki jednego podmiotu (Polskiej Akademii Nauk – robił tak prof. Jerzy Duszyński, gdy chciał pokazać potencjał i siłę naukową PAN), byłyby zwycięzcami rankingu „olimpijskiego” obecnej ewaluacji lub też Akademia byłaby zwyciężczynią kategoryzacji. Podwójne A+ zdobyły Instytut Dendrologii PAN w Kórniku (prywatnie mój ulubiony ze względu na przedmiot badań) w dyscyplinach nauki leśnej i nauki biologiczne oraz Instytut Chemii Bioorganicznej PAN w dyscyplinach nauki biologiczne i nauki chemiczne.

Ponieważ sukces instytutów PAN widać wyraźnie na podstawie kategorii A+, przyjrzyjmy się im wszystkim. W ewaluacji uczestniczyło 69 jednostek, które przedstawiły do oceny 95 dyscyplin. Mimo że większość z tych podmiotów (49) to instytucje jednodyscyplinarne, to jeden instytut zgłosił 4 dyscypliny, 4 po 3 i 15 po 2. Jednostki PAN uzyskały 25 kategorii A+ (to 26,32%), 43 A (45,26%), 22 B+ (23,16%), 2 B (2,1%) i 3 C (3,2%). Mają więc ponad dwuipółkrotnie większy od przeciętnej odsetek kategorii A+, znacznie wyższy procent kategorii A, a mniejszy B+ i B. C nieznacznie wyższy od przeciętnej, ale to tylko 3 instytuty, w tym jeden młodzieżowy (jedyne jego problem to brak uprawnień do doktoryzowania przez najbliższe trzy lata). Dwie najwyższe kategorie zdobyło aż 68 dyscyplin uprawianych w jednostkach PAN, czyli 71,58% ewaluowanych. Młodzież by pewnie powiedziała: PAN rządzi.

Dwadzieścia uczelni zostało kilka lat temu wyróżnionych (na podstawie uzyskanych kategorii naukowych w ewaluacji z 2017 roku) dopuszczeniem do udziału w konkursie Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza. Połowa została laureatami i uzyskała stosowne benefity finansowe (ale i obowiązki), drugą wyróżniono podniesieniem kwoty subwencji o 2%. Uznaje się je, zwłaszcza dziesiątkę laureatów, za flagowe polskie uczelnie. Owe 10 uczelni (3,5% ewaluowanych) zgłosiło do ewaluacji 190 dyscyplin (16,59%). Najwięcej dyscyplin zgłosił Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu (29), a najmniej Gdański Uniwersytet Medyczny (3). W liczbie ewaluowanych dyscyplin przoduje 5 klasycznych uniwersytetów, które poddały ocenie od 23 do 29 dyscyplin, 4 politechniki poddały ocenie od 12 do 17 dyscyplin, a Gdański Uniwersytet Medyczny – 3.

Kategorię A+ zdobyło 35 dyscyplin (30,17% wszystkich A+) w 9 uczelniach IDUB (3,18%). Kategorię A – 92 dyscypliny, a kategorię B+ 63 dyscypliny w 10 uczelniach. To znaczy, że uczelnie badawcze

miały (w swoich 190 dyscyplinach) 18,42% kategorii A+, 48,42% kat. A i 33,16 kat. B+. Po I etapie w tej grupie kategorię A+ miało 21 dyscyplin w 7 uczelniach, kat. A i B+ odpowiednio 73 i 94 dyscypliny. Wówczas 2 dyscypliny otrzymały kat. B, oznaczającą utratę uprawnień (czyt. w FA 12/2022). Oznacza to, że sporą część najwyższych kategorii (14 A+ i 19 A) zawdzięczały pozytywnym wynikom odwołań; ich rezultatem jest też brak kat. B na końcu kategoryzacji. Z tej grupy tylko GUMed nie uzyskał ani jednej kategorii A+; ma 1 A i 2 B+.

Pozostałe dziesięć uczelni, które uczestniczyły w konkursie IDUB, zgłosiło do ewaluacji 131 dyscyplin. Uzyskały (po odwołaniach) 13 kat A+ (czyli 9,92% ze 131), 51 A (38,93%), 66 B+ (50,38%) i 1 B (0,76%). Zatem mają nieznacznie tylko mniejszy od przeciętnego udział w najwyższej kategorii. Natomiast udział w dwóch najwyższych nieznacznie wyższy. Udział w kategoriach „biorących” mają wyższy od przeciętnego (ponad 99%) i znacznie niższy udział w kategoriach „przeganych”. Jest w tej grupie Politechnika Wrocławska, która zdobyła 4 kategorie A+ i 9 kategorii A, wypadając zdecydowanie najlepiej wśród uczelni wielowydziałowych. Po 3 A+ zdobyły Politechnika Łódzka i Uniwersytet Śląski w Katowicach. Są też 3 uczelnie medyczne, które zgłosiły po 3 dyscypliny w jednej dziedzinie i uzyskały 1 kat A+ (UMB), 6 kat. A i 2 B+.

Na koniec kilka ewaluacyjnych ciekawostek. W poprzedniej ewaluacji jedyną dużą, wielowydziałową uczelnią, której jednostki uzyskały same kategorie A+ i A był Uniwersytet Jagielloński. W obecnej ewaluacji żadnemu uniwersytetowi nie powiodło się tak dobrze, choć to Uniwersytet Warszawski przoduje w liczbie dyscyplin, które uzyskały najwyższą kategorię – ma ich 8. Wśród dużych uczelni same kategorie A i A+ uzyskały 3 politechniki: Wrocławska (4 A+ i 9 A), Poznańska (2 A+ i 7 A) oraz Krakowska (1 A+ i 7 A). Grupą uczelni, które uzyskały same najwyższe kategorie w dyscyplinie nauki o kulturze fizycznej, a tylko taką ewaluowały, są akademie wychowania fizycznego. Katowicka uzyskała kat. A+, a pozostałe 4 – A. Znakomicie wypadły, także w większości jednodyscyplinarne, uczelnie artystyczne. Wszystkie, które poddały ewaluacji sztuki muzyczne (8), uzyskały kategorie A+ (3) i A (5). Te, które zgłosiły sztuki plastyczne i konserwację dzieł sztuki (8), uzyskały 4 A+, 3 A i 1 B (Łódzka „Filmówka”). Jako jedyna uczelnia spoza grona artystycznych kategorii A+ w dyscyplinie sztuki plastyczne i konserwacja dzieł sztuki zdobył Uniwersytet Rzeszowski.

I wreszcie kilka poważnych perspektyw związanych z uzyskanymi kategoriami naukowymi. Spora grupa uczelni w wyniku ewaluacji zdobyła uprawnienia, które umożliwiają im staranie się o podniesienie formalnego statusu akademickiego. W Parlamencie procedowany jest projekt ustawy o zmianie nazwy Akademii Kaliskiej na Uniwersytet Kaliski (to będzie uniwersytet przymiotnikowy). Poprawki do tej ustawy pozwolą na uzyskanie statusu uniwersytetu klasycznego Uniwersytetowi Humanistyczno-Przyrodniczemu im. Jana Długosza w Częstochowie oraz Akademii Pomorskiej w Słupsku. Minister nauki już wydał uczelniom tworzącym Federację Naukową WSB zgodę na posługiwanie się nazwą uniwersytet – zatem uzyskało takie prawo 5 sferoderowanych uczelni. Zapewne wniosków o podniesienie statusu czy zmianę nazwy w wyniku kategoryzacji pojawi się wkrótce więcej.

Mogą to zrobić np. Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie i Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu. Także Uniwersytet SWPS spełnia kryteria uniwersytetu klasycznego (6 uprawnień akademickich w 3 dziedzinach). Kryteria uniwersyteckości spełniają też Uniwersytet Technologiczno-Humanistyczny w Radomiu, który ma 9 kategorii B+, czyli uprawnień akademickich (w praktyce 18) w 3 dziedzinach i Uniwersytet Przyrodniczo-Humanistyczny w Siedlcach, który ewaluował 14 dyscyplin w 5 dziedzinach, a zdobył 10 uprawnień (B+) w 4 dziedzinach.

Piotr Kieraciński

Wszyscy wygraliśmy, wszyscy przegraliśmy

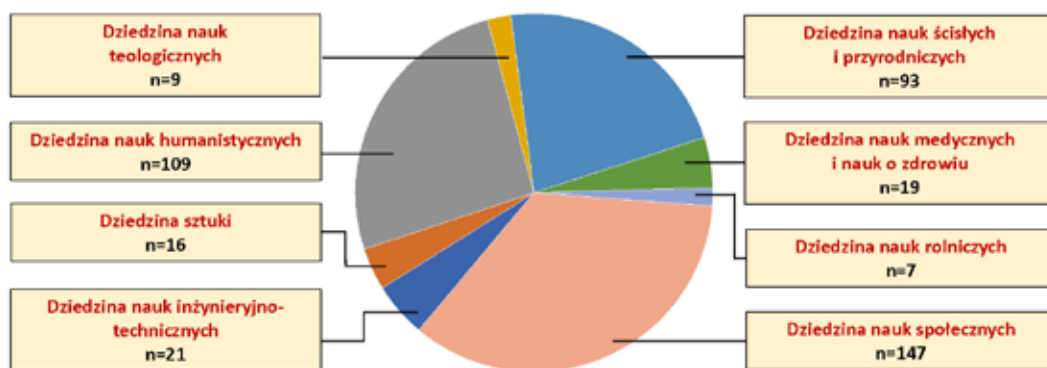
Ewaluacja z perspektywy uniwersytetów klasycznych

W uniwersytetach klasycznych ewaluacji poddano łącznie 421 podmioto-dyscyplin, co stanowi 37% wszystkich podmioto-dyscyplin z 1145 ewaluowanych w 2022 r. Nie jest zaskoczeniem, iż najwięcej dyscyplin zgłoszonych do ewaluowania w uniwersytetach klasycznych obejmowało dziedziny nauk społecznych (147), humanistycznych (109), ścisłych i przyrodniczych (93) oraz teologicznych (9). Dyscypliny tylko z zakresu tych dziedzin ewaluowano w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim Jana Pawła II, Uniwersytecie Gdańskim, Uniwersytecie Łódzkim, Uniwersytecie Papieskim Jana Pawła II w Krakowie, Uniwersytecie w Białymstoku oraz w Uniwersytecie Warszawskim. Niemniej, dziedziny, które w znacznie mniejszym stopniu są kojarzone z uniwersytetami klasycznymi, takie jak nauki inżynierjno-techniczne (21 podmioto-dyscyplin), nauki medyczne i nauki o zdrowiu (19), rolnicze (7), a nawet dziedzina sztuki (16 podmioto-dyscyplin), też zostały zgłoszone do ewaluacji przez uniwersytety klasyczne [Ryc. 1].

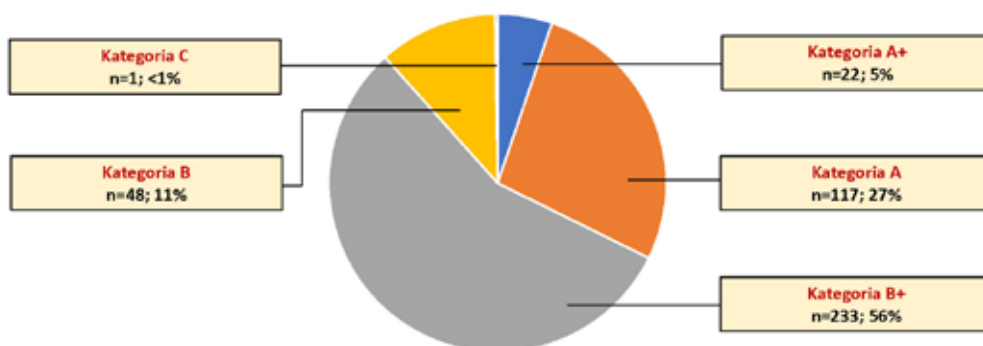
Najczęściej obecność dyscyplin „poza uniwersyteckich” na uniwersytetach klasycznych ma podłoże historyczne, wynikające z utworzenia tych podmiotów poprzez łączenie uczelni o różnorodnym charakterze, np. obecność nauk rolniczych oraz nauk inżynierjno-technicznych w Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie, który powstał w 1999 r. w wyniku integracji Akademii Rolniczo-Technicznej, Wyższej Szkoły Pedagogicznej oraz Warmińskiego Instytutu Teologicznego. Jednak głębsza analiza tego zjawiska pozwala stwierdzić, iż w niektórych przypadkach „tworzono” dyscypliny pod ewaluację. Dobrym przykładem jest informatyka techniczna i telekomunikacja, ewaluowana w sześciu uniwersytetach klasycznych. W przypadku jednej uczelni ewaluowano zarówno informatykę (nauki ścisłe i przyrodnicze) z wynikiem A+ oraz informatykę techniczną i telekomunikację (nauki inżynierjno-techniczne) w wyniku B+. W pięciu pozostałych ewaluowano tylko informatykę techniczną i telekomunikację (z końcową oceną A w przypadku jednego podmiotu oraz B+ w czterech pozostałych). Dyscyplina nauki chemiczne dostarcza kolejnych dowodów na twórcze podejście uniwersytetów do procesu ewaluacji. Jest uważana za bardzo mocną dyscyplinę. Zatem zamiast nauk chemicznych ewaluowano inżynierię materiałową. I tak, w jed-

nym uniwersytecie ewaluowano nauki chemiczne (kat. A) oraz inżynierię materiałową (kat. B+), a w dwu innych ewaluowano jedynie inżynierię materiałową (kat. B+), a zrezygnowano z ewaluacji nauk chemicznych. Takich przykładów można znaleźć więcej. Zatem tzw. matematyka ewaluacyjna to nie tylko obniżanie liczby N, ale też tworzenie dyscyplin będących poza głównym nurtem badań uniwersyteckich. Z drugiej strony liczne uczelnie techniczne poddały ewaluacji dyscypliny naukowe typowe dla uniwersytetów klasycznych. Matematyka, nauki chemiczne, nauki fizyczne w politechnikach w zasadzie nie budzą większego zdziwienia z racji ścisłego powiązania z naukami inżynierjno-technicznymi. Jednak już obecność na Politechnice Warszawskiej nauk prawnych bądź filozofii było dużym zaskoczeniem, tym większym, iż dyscypliny te uzyskały bardzo wysokie oceny, tj. A+ dla nauk prawnych i A dla filozofii, przy stosunkowo niskiej liczbie N w obu dyscyplinach (poniżej 20). Zatem należy odejść od postrzegania uniwersytetów klasycznych jako miejsca realizacji badań tylko z zakresu nauk humanistycznych, społecznych oraz ścisłych i przyrodniczych, a politechnik jako centrów nauk inżynierjno-technicznych.

Pierwsza połowa 2022 r. na wszystkich uczelniach w Polsce to okres oczekiwań na wyniki ewaluacji. Pierwsze decyzje pojawiły się pod koniec lipca [Ryc. 2]. Pomimo, że Komisja Ewaluacji Nauki (KEN) rekomendowała przyznanie 16 kategorii A+ na uniwersytetach klasycznych, to w wyniku decyzji MEiN tę nobilitującą ocenę przyznano 22 podmioto-dyscyplinom. Kategoria A uzyskało 117 podmioto-dyscyplin (przy 114 rekomendowanych przez KEN), a grupa podmioto-dyscyplin z B+ liczyła 241. Natomiast aż 49 podmioto-dyscyplinom MEiN przyznał kategorię B, a jednej C. Dyskusje na temat tzw. wstępnych wyników ewaluacji towarzyszyły wszystkim posiedzeniom gremiów uniwersyteckich, a nawet spotkań towarzyskich. Nie może zatem dziwić, iż w istocie wszystkie uniwersytety z ogromnym zaangażowaniem przystąpiły do składania wniosków o ponowną ocenę (zwaną potocznie odwołaniami od decyzji). Tym z kategorią B i C towarzyszyła obawa przed utratą uprawnień do nadawania stopnia doktora i doktora habilitowanego, a te z wyższą kategorią dla poszczególnych podmioto-dyscyplin, postanowiły zaważać o prestiż. Uniwersytety klasyczne złożyły łącznie 224 wnioski



Ryc. 1. Podmioto-dyscypliny zgłoszone do ewaluacji przez uniwersytety klasyczne z podziałem na dziedziny nauk.

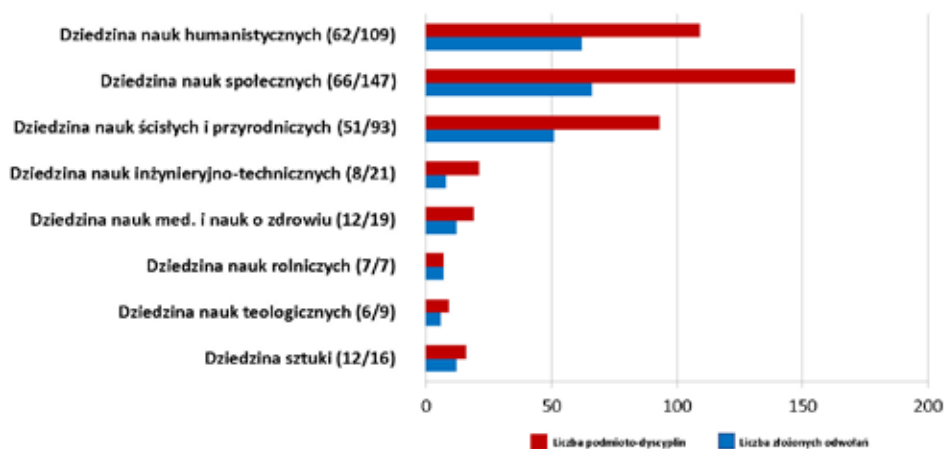


Ryc. 2. Wstępne kategorie naukowe przyznane podmioto-dyscyplinom ewaluowanym w uniwersytetach klasycznych.

o ponowną ocenę, co oznacza, iż aż 53% ewaluowanych podmioto-dyscyplin oczekiwało wyższej kategorii [Ryc. 3].

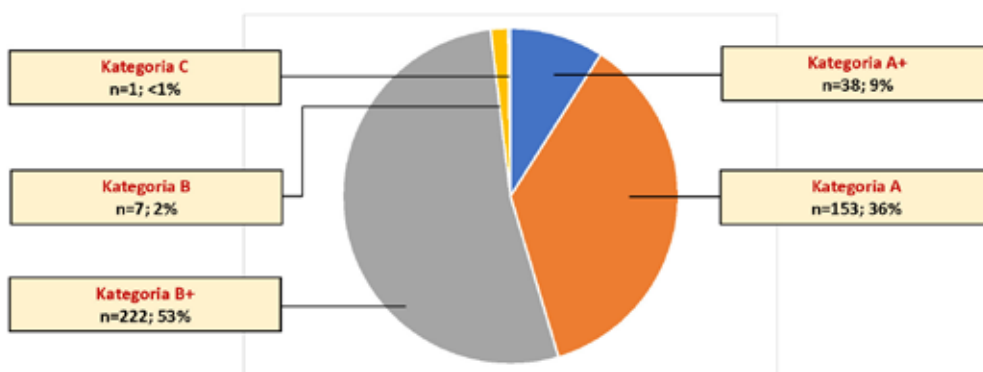
Ponowna ocena przeprowadzona przez KEN oraz późniejsze decyzje ministra edukacji i nauki znacząco zmieniły wynik ewaluacji [Ryc. 4]. Aż 38 (9%) podmioto-dyscyplinom uniwersyteckim przyznano kategorię A+, 153 (36%) uzyskało kategorię A, a 222 (53%) – B+. Jedynie 7 podmioto-dyscyplinom utrzymano kategorię B, a w przypadku jednej (matematyka) utrzymano kategorię C. Interesująco

przedstawiają się końcowe oceny podmioto-dyscyplin w poszczególnych dziedzinach nauk [Ryc. 5]. Najwięcej kategorii A+ i A, bo aż 61 ze 109 (56%), uzyskały dyscypliny z zakresu nauk humanistycznych, podczas gdy wśród nauk społecznych kategorię A+ i A przyznano 57 podmioto-dyscyplinom ze 147 (39%). Wśród nauk ścisłych i przyrodniczych najwyższe kategorie przyznano 40 podmioto-dyscyplinom (43%). Natomiast wśród nauk teologicznych wszystkie uniwersyteckie podmioto-dyscypliny uzyskały kategorię A+ lub A. Pomimo róż-

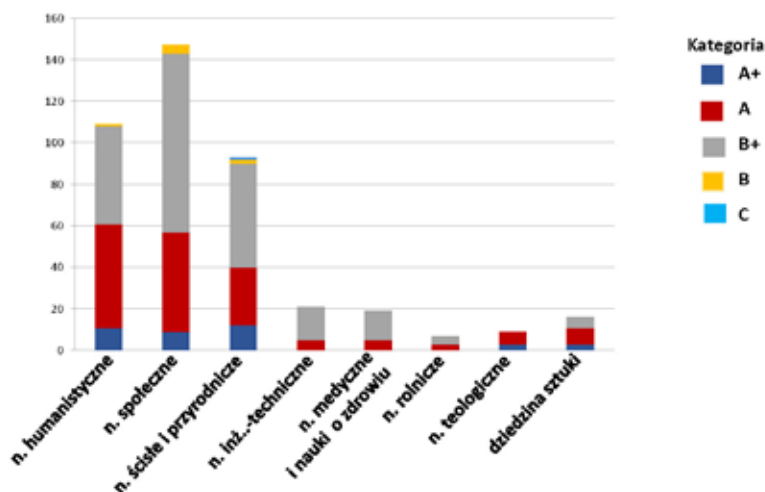


Ryc. 3. Liczba wniosków o ponowną ocenę złożonych przez uniwersytety klasyczne.

W nawiasach podano liczbę wniosków w stosunku do łącznej liczby ewaluowanych podmioto-dyscyplin w dziedzinie.



Ryc. 4. Ostateczne kategorie naukowe przyznane podmioto-dyscyplinom ewaluowanym w uniwersytetach klasycznych.



Ryc. 5. Kategorie naukowe w dziedzinach nauk przyznane podmioto-dyscyplinom ewaluowanym w uniwersytetach klasycznych.

nicowanych kategorii, w istocie wszyscy poczuli się wygranymi: są wysokie kategorie, są uprawnienia do nadawania stopni, a w przyszłości może pojawi się możliwość zwiększenia środków finansowych, gdy ponownie zacznie funkcjonować algorytm podziału subwencji.

Czy rzeczywiście powinniśmy mieć poczucie wygranej? Moim zdaniem NIE. Wszyscy przegraliśmy najważniejszy cel ewaluacji, czyli analizę rzeczywistego poziomu nauki w Polsce. Obraz nauki, jaki jawi się w wyniku ewaluacji, został spłaszczony. Pytanie, czy rzeczywiście aż 97% podmioto-dyscyplin w uniwersytetach klasycznych zasługuje na co najmniej kategorię B+, pozostaje pytaniem retorycznym. A z drugiej strony, czy nie doszło do niedowartościowania niektórych dyscyplin? Dobrym przykładem takiej dyscypliny są nauki biologiczne, w których ewaluacji poddano aż 43 podmioto-dyscypliny, gdzie łączna liczba N wynosiła 3 122,62. Nauki biologiczne ewaluowano na 19 uniwersytetach klasycznych (44,2% n.b.) z sumarycznym N 2 074,21 (66,43% N w n.b.), 5 uniwersytetach przyrodniczych, 2 uniwersytetach przymiotnikowych, 14 instytutach PAN, 1 instytucie badawczym oraz 1 akademii. Przyznano 4 kategorie A+ (3 instytuty PAN oraz Międzynarodowy Instytut Biologii Molekularnej i Komórki w Warszawie), 7 kategorii A (w tym tylko dwa uniwersytety: Jagielloński i Łódzki), 30 kategorii B+ (w tym 12 na uniwersytetach klasycznych) i 2 kategorie C (poza uniwersytetami). Czy aby na pewno nauki biologiczne na uniwersytetach klasycznych są aż tak słabe, że jedynie dwa podmioty mogą pochwalić się kategorią A? Niewątpliwie ocena tej dyscypliny została zniekształcona poprzez wspólne wartości referencyjne dla podmioto-dyscyplin uniwersyteckich oraz instytutów badawczych i PAN-owskich.

Bezsprzecznie na niepełny obraz poziomu naukowego ewaluowanych podmiotów wpłynęły też zmiany punktacji czasopism na tzw. liście ministerialnej w trakcie okresu podlegającego ewaluacji. Takich zmian było kilka, a ostatnia, w grudniu 2021 r., była ogromnym zaskoczeniem. To prawda, że tych zmian dokonało ministerstwo, ale też powinniśmy uczciwie przyznać, iż odbywały się one na wniosek środowiska akademickiego. Skoro mamy aspiracje do uprawiania nauki na poziomie światowym, to dlaczego nie korzystając z rozwiązań światowych w zakresie punktacji czasopism? W międzynarodowych bazach czasopism funkcjonuje przypisywanie czasopism do kwartyli. Takim kwartyłom należałoby jedynie nadać odpowiednią punktację. Jedynie czasopismom polskim spoza światowych baz można byłoby przypisać odpowiednią punktację, wypracowaną na drodze oceny eksperckiej.

Wygraną nie jest też uzyskanie przez liczne podmioty uprawnień do prowadzenia szkół doktorskich oraz do nadawania stopnia doktora i doktora habilitowanego. Perspektywa z jednej strony utraty uprawnień do doktoryzowania a z drugiej stosunkowo łatwego uzyskania uprawnień przez pomioty, które dotychczas ich nie posiadały, sprawiła, iż niezależnie od poziomu doskonałości naukowej zdecydowana większość podmiotów złożyła wniosek o ponowną ocenę i tym samym przyznanie kategorii uprawniającej do nadawania stopnia doktora i doktora habilitowanego. W rezultacie nawet te podmioty, które wcześniej wielokrotnie i bezskutecznie ubiegały się o przyznanie praw do doktoryzowania, w wyniku ewaluacji takie uprawnienia uzyskały. Podczas gdy nad nadawaniem stopnia doktora habilitowanego w pewien sposób czuwa Rada Doskonałości Naukowej, to już nadawanie stopnia doktora jest poza kontrolą. Nie należy zakładać, iż wszystkie doktoraty nadawane w podmiotach, które nabyły uprawnienia w wyniku ewaluacji będą na niskim poziomie. Jednak w tym gronie jest wiele jednostek naukowych bez tradycji doktoryzowania, którym utrzymanie właściwego poziomu może nastęrczać wiele kłopotów. Są też podmioty z nabytymi uprawnieniami do doktoryzowania, ale bez możliwości utworzenia rady naukowej dyscypliny ze względu na niską liczbę tzw. samodzielnych pracowników nauki, czy to profesorów tytularnych, czy też uczelnianych. Na takie potencjalne trudności środowisko akademickie wskazywało już w 2019 r., kiedy ukazało się Rozporządzenie ministra nauki i szkolnictwa nauki w sprawie ewaluacji jakości działalności naukowej. Dyskusja na ten temat powróciła ze zdwojoną siłą już po zakończonej ewaluacji, kiedy okazało się, że w skali kraju wiele uczelni uzyskało nowe uprawnienia do doktoryzowania i habilitowania. Wydaje się, że jest pilną potrzebą wprowadzenie wymogów kadrowych w jednostkach posiadających z samej mocy posiadanej kategorii prawo do nadawani stopni naukowych.

Należy ubolewać, iż zakończona ewaluacja nie pozwala na rzeczywistą ocenę poziomu naukowego dyscyplin w poszczególnych uczelniach. Miejmy jednak nadzieję, iż wnioski płynące z ewaluacji pozwolą na stworzenie lepszych przepisów, które następne ewaluacje działalności naukowej przeniosą na wyższy poziom.

Prof. dr hab. Izabela Świącicka, prorektor ds. nauki i współpracy międzynarodowej Uniwersytetu w Białymstoku, przewodnicząca Uniwersyteckiej Komisji Nauki przy KRUP

Ewaluacja to nie wyścig

Prof. Arkadiusz Wójs, rektor Politechniki Wrocławskiej, która znakomicie wypadła w ewaluacji, mówi co mogło wpłynąć na uzyskane przez jego uczelnię kategorie, podkreślając znaczenie współpracy, a nie rywalizacji.

Politechnika Wroclawska należy do największych uczelni technicznych w Polsce. Cenię sobie w naszej politechnice to, że pokrywamy cały obszar badań inżynierskich, łącznie z architekturą, i ewaluujemy w nich aż 9 dyscyplin. W naukach społecznych mamy jedną dyscyplinę. Mamy też bardzo silne podstawy: matematykę, fizykę i chemię. W tych dyscyplinach zatrudniamy 270 osób – najwięcej naukowców ze wszystkich politechnik – i uzyskaliśmy w nich najwyższe kategorie (3 kat. A+ – red.). Mamy zatem najsilniejsze podstawy, co nas upodabnia np. do Politechniki w Monachium, która jest dla nas swego rodzaju wzorcem.

Idziemy w kierunku pełnego przekroju badań: od nauk podstawowych, przez inżynierskie, społeczne (na razie jeszcze małe), aż po medycynę. Tym się różnimy od innych polskich politechnik. Generalnie nauka w Polsce od czasów powojennych jest poszatkowana: osobno medycyna, osobno rolnictwo, osobno inżynieria. W innych krajach (poza Austrią, która ma podobną do naszej strukturę), uniwersytety i politechniki są komplementarne, pełne. I my idziemy w tym kierunku. Będziemy uczelnią kompletną, której osią i centrum jest inżynieria, ale obudowana innymi dziedzinami.

Zawsze staraliśmy się na Politechnice Wrocławskiej trzymać wysoki poziom badań i kształcenia. Dowodzą tego wyniki poprzednich ewaluacji, a zatem ostatnia nie jest zaskoczeniem. Ale zdobycie tak wysokich kategorii naukowych we wszystkich ewaluowanych dyscyplinach wymagało sporego wysiłku całej naszej społeczności.

Politechnika Wroclawska poddała ewaluacji 13 dyscyplin. Najwięcej ze wszystkich uczelni technicznych, aż 17, ewaluowała AGH. Tymczasem wiele uniwersytetów miało ich ponad 20. Już samo to stanowi wyzwanie, kolejnym jest różnorodność dyscyplin w uniwersytetach.

Problemem obecnej ewaluacji było ukrywanie przez niektóre uczelnie części kadry i dorobku dyscypliny i wystawianie do oceny tylko reprezentacji najsilniejszych graczy. Oczywiście, ustawa dawała możliwość przenoszenia pracowników na etaty dydaktyczne, ale niektórzy wykorzystali ją nadmiarowo. Na Politechnice Wrocławskiej ewaluowaliśmy dorobek ponad 75% wykładowców. Są duże uniwersytety, które poddały ocenie dorobek ponad 80% kadry, inne 70. Ale np. jedna z uczelni badawczych przedstawiła do ewaluacji tylko niewiele ponad połowę wykładowców, inna (mniejsza politechnika) poniżej 40%. To tworzy zupełnie nieprawdziwy obraz dyscypliny na uczelni. I wprowadza w błąd studenta, który sądzi, że będzie mieć do czynienia z kadra, która uzyskała kategorię A+ czy A, a więc najlepszą z możliwych. Tymczasem większość zajęć będzie mieć z wykładowcami, którzy w ogóle nie byli ewaluowani i nie mają żadnego lub słaby dorobek naukowy. Mówiąc delikatnie, to nie jest zgodne z ideą uniwersytetu, by nie powiedzieć, że nie przyzwoite.

Na Politechnice Wrocławskiej, mimo pokazania dorobku bardzo dużej grupy wykładowców, nie mamy żadnej kategorii B+, czyli żadnych słabości. Wszędzie wykazaliśmy wysoki poziom, wyraźnie powyżej mediany. Aż 4 A+: trzy w naukach podstawowych i jedna w technicznych. Nie tylko zachowaliśmy wszystkie uprawnienia, ale zdobyliśmy nowe w zakresie inżynierii materiało-

wej, czym domykamy system uprawnień akademickich w naukach inżynieryjno-technicznych.

Do jakości nauki zaliczamy zarówno same osiągnięcia, co oczywiście, jak i potencjał, czyli siłę środowiska, jego liczebność. Za nią stoją laboratoria, urządzenia badawcze, co gwarantuje zdolność do podejmowania nowych tematów i rozwiązywania określonych problemów, wynikających np. z zapotrzebowania naszego otoczenia gospodarczego i społecznego. A to jest wypadkowa liczby pracowników i ich kompetencji, czyli jakości. Nie wystarczy powiedzieć, że jedna uczelnia ma 6 A+, a inna tylko 1 A+. Trzeba dodać, ilu badaczy uzyskało ten wynik. Gdy w dyscyplinie A+ jest 12 elektroników, to taka jednostka ma niewielki potencjał do rozwiązywania dużych problemów inżynierskich. Natomiast gdy w dyscyplinie o kategorii A jest ich 250, to – choć teoretycznie trochę słabsi – de facto mają oni znacznie większy potencjał, szerszą sieć kontaktów, liczniejsze laboratoria. To oni będą w stanie rozwiązywać istotne problemy gospodarki i społeczeństwa. Zatem ważna jest i jakość, i ilość. Brytyjczycy nazywają to research power. Politechnika Wroclawska w tym kontekście ma największy potencjał w Polsce, niemal ex aequo z AGH i Politechniką Warszawską. Ewaluacja potwierdziła, że to są trzy największe poli-



techniki pod względem potencjału naukowego. Natomiast mamy trzy dyscypliny, które są najsilniejsze w Polsce. Inżynieria chemiczna jest nie tylko największa, z ponad 85 badaczami, ale także uzyskała kategorię A+, a zatem jest najsilniejszym ośrodkiem w tym zakresie w Polsce. Porównajmy to z A+ w inżynierii chemicznej na innej politechnice, która poddała ewaluacji 8 osób, czyli ponad dziesięciokrotnie mniej...

W informatyce technicznej, w której mamy ponad 165 badaczy, jesteśmy najliczniejsi i mamy kategorię A, ale nikt nie dostał w tej dyscyplinie A+. Mamy też największą inżynierię mechaniczną z ponad 250 naukowcami i kategorię A. Kategorie A+ uzyskały w tej dyscyplinie instytucje, które przedstawiły do oceny znacznie mniejszą liczbę naukowców: o połowę, lub nawet jedną czwartą tego, co my. Zatem mimo niższej kategorii naukowej mamy, w mojej ocenie, większy potencjał do rozwiązywania dużych i ważnych problemów.

Za defekt tej ewaluacji uważam to, że w różnych dyscyplinach poprzeczka była na różnej wysokości. Żadnej kategorii A+ nie ma w informatyce technicznej, za to aż 16 – na 35 jednostek ewaluowanych – w naukach chemicznych. Tak jakby niemal co druga chemia była najlepsza w Polsce. Dużo mniejszy procent A+, w granicach kilkunastu, jest w matematyce czy fizyce, które też są wysoko w rankingach międzynarodowych. To chyba nie odzwierciedla stanu faktycznego, wydaje się, że polska chemia nie jest zdecydowanie silniejsza niż matematyka lub fizyka.

Wracając do informatyki technicznej, w której ewaluowało się 39 jednostek i ponad półtora tysiąca osób – to jest ogromna dyscyplina, ważna dla gospodarki i bezpieczeństwa, a jednak nikt nie dostał A+. Aż tak odstaje od innych dyscyplin? Moim zdaniem, mamy w Polsce znaczące osiągnięcia na poziomie światowym w tej dyscyplinie i co najmniej kilka najmocniejszych uczelni

powinno w tej dyscyplinie dostać A+, jako że prowadzi badania na światowym poziomie.

Ewaluacja nie bierze pod uwagę tylko najlepszych, ale także średnich, no i słabszych. I jeden taki bardzo słaby pracownik może w końcowej ocenie zniekształcić czy zniwelować dorobek tych najlepszych. Zatem uczelnia musi mieć całą wspólnotę badawczą w miarę równą, prowadzącą badania na podobnym poziomie i dobrze publikującą. Nie może być dużej grupy odstającej w dół. Musimy tworzyć środowisko, które współpracuje, nawzajem się wspiera, a nie tylko rywalizuje.

Zanim zostałem rektorem, pracowałem kilka lat w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. I pewne rozwiązania zaobserwowane na tamtejszych uniwersytetach staram się wprowadzić u nas, budując na różne sposoby wspólnotę naukową. Staramy się wpoić pracownikom poczucie sprawczości, dumy, wspólnoty, np. wspólnych celów. Tak podeszliśmy do tworzenia kierunku lekarskiego i uniwersytetu europejskiego – nasza sieć nosi nazwę Unite (University Network for Innovation, Technology and Engineering)! Razem tworzymy strategię, wskazując m.in. obszary badawcze, które mają budować nas wszystkich. To są np. klimat i środowisko, sztuczna inteligencja, technologie medyczne. Wybieramy takie cele i sposoby ich realizacji, żeby wszyscy członkowie wspólnoty akademickiej poczuli, że tworzą wspólną uczelnię, gdzie każdy się liczy. Patrzymy, co możemy i potrafimy zrobić dla gospodarki, otoczenia. Mniej interesuje nas, czy wygramy, czy przegramy rywalizację np. z AGH czy PW. Ona nie jest naszym celem. Staramy się myśleć pozytywnie. Chcę, żeby ludzie byli dumni, gdy przychodzą do pracy. Tak czułem się w Cambridge i chcę choć trochę tego klimatu zaszczyć u nas. Identyfikacja z uczelnią może być jednym z czynników sukcesu w ewaluacji.

Moim pełnomocnikiem ds. oceny dorobku naukowego został jeden z najlepszych naukowców na naszej uczelni. Wraz z nim i prorektorem ds. nauki od trzech lat, czyli od początku kadencji, chodzimy po wydziałach i przekonujemy, że ewaluacja to nie wyścig, w którym mamy pokonać inne uczelnie. Mamy w niej pokazać, że jesteśmy silni na tyle, że należą się nam uprawnienia akademickie. Słaba kategoria nie jest problemem z powodów finansowych, bo te możemy jakoś przezwyciężyć, ale utrata uprawnień to byłaby klęska. Brak szkoły doktorskiej to brak młodej kadry. Bez nich nie da się robić badań i wyników naukowych. Tłumaczyliśmy, że trzeba pisać dobre publikacje nie dlatego, że ministerstwo tak sobie życzy, ale że to jest gra o naszą wolność uprawiania nauki. Dzięki tej pracy i budowaniu

świadomości dyscypliny, które były słabsze, miały jakieś braki, podniosły się i wzmocniły. To także duża zasługa szefów rad dyscyplin, którzy motywowali naukowców. Ewaluacja to ocena twórczości za pomocą punktów, czyli coś, co można odbierać jako upokarzające; nie wypada nikomu mówić: musisz napisać artykuł za 140 czy 200 punktów. Jednak razem musimy zebrać taką liczbę punktów, która da dobry wynik dyscyplinie i uczelni.

Kolejna sprawa to szacunek dla sukcesu. Z jednej strony mamy docenienie sukcesu, ale z drugiej – stworzenie warunków do jego uzyskania. Przede wszystkim postawiliśmy na pracę z młodymi badaczami, których trzeba nauczyć nie tylko obsługi aparatury czy stawiania problemów naukowych, ale także kultury publikacyjnej: techniki pisania artykułów czy robienia ilustracji. Trzeba np. świetnie mówić po angielsku, żeby się dobrze zaprezentować na konferencjach, a tam pokazać dobrą pracę, przekonujące slajdy. Trzeba też nauczyć się starania o własne środki na badania, czyli granty. Pisać wnioski, występować na rozmowie kwalifikacyjnej, a potem to realizować i rozliczać. Staramy się uczyć samodzielności, dawać narzędzia, żeby stali się skutecznymi naukowcami, a nie tylko pochwalić za sukces, który się już wydarzył. Obecność wybitnego naukowca nie może też tłamsić pozostałych. Przynależność do grupy z wybitną osobowością raczej powinna być powodem do dumy, inspirować, motywować. Mnie tego wszystkiego nauczono nie tutaj, ale w Kanadzie. Potem w Cambridge trafiłem na grupę, w której standardem było, że gdy ktoś chciał opublikować artykuł w dobrym czasopiśmie, najpierw pokazywał go kolegom. Na Politechnice Wrocławskiej staramy się wprowadzać tego typu rozwiązania. Kluczowy jest dla mnie program „Academia luvenum”, gdzie zebrałiśmy kilkudziesięciu młodych naukowców w wieku do 35 lat, reprezentujących różne dyscypliny. Do tego programu – na zasadzie oceny przez szefów dyscyplin – wszedł mniej więcej co szósty młody naukowiec. Oprócz tego, że mają trochę wyższe pensje i mniej obowiązków dydaktycznych, są też szkoleni: mają sporo kursów przydatnych naukowcom, np. z wystąpień czy pisania grantów itp. Są ambitni, chłonni, głodni sukcesu, szybko osiągają wyniki. Tak to staramy się ustawiać. Mamy też system kilku programów jakościowych, czyli nagrody za dobre wyniki czy wysoko punktowane publikacje. I to działa.

Stworzyliśmy elastyczny system organizacji pracy. Polega to na tym, że ktoś, kto akurat ma grant, może mieć mniej dydaktyki, a z kolei osoba, która aktualnie ma trochę mniej pracy naukowej, dostaje więcej zajęć dydaktycznych. W ten sposób wykorzystujemy potencjał ludzi w obu obszarach ważnych z punktu widzenia uniwersytetu. Nie izolujemy naukowców od studentów, ale także dydaktyków od badań. Każdy na danym etapie kariery robi to, co mu dobrze wychodzi.

Rozdzieliłem zarządzanie od oceniania. To nie rektor lub dziekan decyduje, kto z naukowców zasługuje na nagrodę. My jesteśmy od stwarzania sprawiedliwych zasad, dogodnych warunków do pracy, znajdowania pieniędzy na remonty czy inwestycje. Ale ten, kto rozdziela zasoby, nie powinien oceniać, kto lepiej wykorzystał stworzone możliwości. Od oceniania są u nas rady dyscyplin. To one decydują np. o tym, kto zostanie powołany do „Academii luvenum”, czy zostanie profesorem magnusem (to taka nasza elita profesorska). Dzięki temu można uzyskać pewną przejrzystość i minimalizować nadmierne uzależnienie naukowców od dziekanów czy rektora.

Trudno mi ocenić, które z przedstawionych powyżej elementów naszej uczelnianej polityki naukowej wpłynęły na nasz wynik w ewaluacji mocniej, a które słabiej, ale na pewno wszystkie razem pchnęły Politechnikę Wrocławską do przodu.

Notował Piotr Kieraciński

Wyniki ewaluacyjne Politechniki Wrocławskiej

Dziedzina nauk inżynierjno-technicznych:

architektura i urbanistyka	A
automatyka, elektronika i elektrotechnika	A
informatyka techniczna i telekomunikacja	A
inżynieria biomedyczna	A
inżynieria chemiczna	A+
inżynieria lądowa i transport	A
inżynieria materiałowa	A
inżynieria mechaniczna	A
inżynieria środowiska, górnictwo i energetyka	A

Dziedzina nauk ścisłych i przyrodniczych:

matematyka	A+
nauki chemiczne	A+
nauki fizyczne	A+

Dziedzina nauk społecznych:

nauki o zarządzaniu i jakości	A
-------------------------------	---

Sztuka poszukiwana

Dr hab. Dorota Sankowska, prof. uczelni, dyrektor Instytutu Sztuk Pięknych na Uniwersytecie Rzeszowskim mówi, jak ewaluowano osiągnięcia artystyczne i jak uniwersytet, jako jedyna uczelnia nieartystyczna, uzyskał kategorię A+ w dyscyplinie sztuki plastyczne i konserwacja dzieł sztuki.

Ocena dyscyplin sztuki, a dokładniej osiągnięć artystycznych przebiegała inaczej niż w przypadku dyscyplin nauki. Eksperti nie oceniali jedynie osiągnięć przyporządkowanych kryterium trzeciemu, ale także te w kryterium pierwszym, czyli osiągnięcia artystyczne. Robiło to dwóch ekspertów, którzy mogli danemu osiągnięciu przyznać pewną liczbę punktów, maksymalnie 200 dla osiągnięcia wybitnego.

Byłam odpowiedzialna za przygotowanie naszych osiągnięć do ewaluacji. Na opis każdego osiągnięcia dostaliśmy limit 600 znaków. Mieliśmy dobre podręczniki ewaluacyjne, które świetnie opisywały zasady przygotowania materiałów i ich oceny. Ekspertami, którzy nas oceniali, byli akademicy ze stopniem co najmniej doktora habilitowanego. Oprócz zgodnego z wytycznymi, lakonicznego opisu do każdego osiągnięcia mogliśmy podać link, odnoszący do szerszego kontekstu i dokładniejszego opisu, także ilustracji, dokumentujących nasze osiągnięcie. Zbudowanie danych podlinkowanych do raportu umożliwiło nam repozytorium dorobku pracowników uniwersytetu, które tworzy i udostępniła nam Biblioteka Uniwersytetu Rzeszowskiego.

W Instytucie Sztuk Pięknych mamy 54 pracowników i z tej grupy wyłoniliśmy pracowników badawczo-dydaktycznych, jakby to nie brzmiało w kontekście sztuk plastycznych, którzy wypełniali naszą ewaluacyjną liczbę N (wg danych MEiN, średnia liczba N dla dyscypliny sztuki plastyczne i konserwacja dzieł sztuki na Uniwersytecie Rzeszowskim z całego okresu ewaluacji to 29,33 – red.). Do ewaluacji zgłosiliśmy 88 osiągnięć artystycznych. Najważniejszą kategorią osiągnięć plastycznych jest wystawa indywidualna, która może też mieć charakter retrospektywy, czyli przeglądu całego dotychczasowego dorobku artysty. O jej punktacji decydował prestiż miejsca. Najwyżej punktowane były wystawy w ważnych i znanych galeriach, muzeach, np. tych, które wciąż nazywamy potocznie Biurami Wystaw Artystycznych. Ważne były też patronaty nad wystawami, zatem te pod patronatem honorowym ministra, prezydenta kraju, ambasadora w przypadku wystaw w zagranicznych instytucjach traktowano jako

ważniejsze od tych pod patronatem burmistrza. Odpowiednio można było uzyskać za nie wyższą punktację. Wysoką rangę mają niektóre muzea, przede wszystkim muzea narodowe w Krakowie, Warszawie, Wrocławiu, Gdańsku. Wysoko cenione są też sytuacje, gdy autorzy są zaproszeni na wystawy zbiorowe, tematyczne, problemowe z pewnym zamysłem kuratorskim, organizowane przez poważnych wystawców. Może warto wspomnieć o nagrodach na wystawach, konkursach i festiwalach, zwłaszcza międzynarodowych: otóż one tylko dopełniają pewne osiągnięcia pod względem rangi i prestiżu. Osiągnięciem jest wystawienie prac, czyli przejście selekcji i znalezienie się w grupie np. dwustu prac zakwalifikowanych z trzech tysięcy na prestiżowej wystawie, konkursie czy festiwalu, a potem ich zakup przez poważną instytucję czy włączenie dzieła do prestiżowej kolekcji. Takich sukcesów mieliśmy kilkanaście.

Nasze osiągnięcia zostały docenione przez ekspertów. Znaleźliśmy się z wartością punktową ponad progiem kategorii A, którą otrzymaliśmy w pierwotnej ocenie. Byliśmy tym bardzo zbudowani, ale równocześnie okazało się, że jako jedyni

spośród dyscyplin ewaluowanych na naszym uniwersytecie byliśmy nominowani do oceny eksperckiej przyznającej kategorię A+. Zdecydowaliśmy się zatem na złożenie wniosku o ponowne rozpatrzenie sprawy, solidnie go motywując. I udało się nam otrzymać kategorię A+. Dla mnie to wielka radość, że kieruję zespołem osób, dla których sztuka jest ważna. I jest to sztuka poszukiwana także poza Rzeszowem, w kraju i na świecie. Do niedawna byliśmy trochę na uboczu uniwersytetu, nawet siedzibę mieliśmy w Krasnem, poza miastem. Prym wiodły klasyczne dyscypliny uniwersyteckie, jak medycyna, prawo, biologia, filologia. Od kilku lat jesteśmy już w głównym kampusie. Ta kategoria niejako włącza nas w uniwersyteckie centrum, zostaliśmy zauważeni i docenieni nie tylko na świecie, ale także przez środowisko akademickie naszego własnego uniwersytetu.

Notował Piotr Kieraciński



Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2023 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”, Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2023 roku. Roczna prenumerata dla instytucji kosztuje 230 zł.

Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę, w związku z czym koszt prenumeraty wynosi 166 za cały rok.

Redakcja



Ewaluacja w nowych rękach

Minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek powołał 34 członków Komisji Ewaluacji Nauki na kadencję 2023–2027. Powołania wręczył im 4 kwietnia wiceminister Wojciech Murdzek. To mniej niżby wynikało z prostego wyliczenia: 10 dyscyplin po 3 przedstawicieli oraz 7 osób wskazanych przez samego ministra daje 37 członków. Jak poinformował nas prof. Filip M. Szymański, nowy przewodniczący, w skład Komisji nie powołano jeszcze reprezentantów nauk o rodzinie.

To druga kadencja tego organu utworzonego do oceny jakości działalności naukowej. Poprzednia, rozpoczęta w 2019 roku, planowo miała się zakończyć 31 grudnia 2022 roku, ale w wyniku nowelizacji ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce wydłużono ją o trzy miesiące. Było to podyktowane potrzebą sprawnej finalizacji trwającego procesu ewaluacji (o ostatecznych wynikach piszemy na str.). Nowela wydłużyła także rozpoczętą właśnie kadencję KEN. Kolejna ewaluacja (za lata 2022–2025) rozpocznie się 1 stycznia 2026 r. Przeprowadzi ją Komisja już w nowym składzie. Kandydatów zgłaszały uczelnie, instytuty naukowe Polskiej Akademii Nauk, instytuty badawcze i instytuty międzynarodowe. Wśród wybranych członków dominują przedstawiciele szkół wyższych (31), w tym dwóch politechnik i jednej uczelni zawodowej. Skład dopełnia troje naukowców pracujących w instytutach badawczych.

Największą reprezentację ma Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. W uczelni tej zatrudniony jest też prof. **Filip M. Szymański**, nowy przewodniczący KEN. Jest dziekanem Wydziału Medycznego Collegium Medicum UKSW oraz prezesem Polskiego Towarzystwa Chorób Cywilizacyjnych. Współtworzył wytyczne dotyczące diagnostyki i leczenia chorób cywilizacyjnych (m.in. zasady postępowania w nadciśnieniu tętniczym Polskiego Towarzystwa Nadciśnienia Tętniczego czy rekomendacje dotyczące leczenia dyslipidemii w Polsce). Jest autorem lub współautorem ponad 180 publikacji naukowych.

Oprócz niego z UKSW zasiadają w KEN socjolog dr **Marcin Zarzecki** i teolog ks. dr hab. **Waldemar Cisło**. Nauki teologiczne mają w sumie trzech przedstawicieli, bo są jeszcze: ks. dr hab. **Grzegorz Chojnacki** z Uniwersytetu Szczecińskiego i ks. prof. **Wojciech Zyzak** z Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie. W składzie jest też 3 weterynarzy: prof. Łukasz Adaszek, prof. **Wojciech Niżański** i prof. **Małgorzata Marta Pomorska-Mól** – wszyscy z uniwersytetów przyrodniczych, odpowiednio: w Lublinie, Wrocławiu i Poznaniu. O ocenę jakości działalności naukowej zadba także 3 prawników: prof. **Andrzej Dziadzio** z Uniwersytetu Jagiellońskiego, dr hab. **Grzegorz Górski** z Kolegium Jagiellońskiego – Toruńskiej Szkoły Wyższej i dr hab. **Tomasz Szanciło** z Europejskiej Wyższej Szkoły Prawa i Administracji w Warszawie.

Nauki o sztukach pięknych reprezentują: dr hab. **Bożena Alicja Suchocka-Kozakiewicz** z Akademii Teatralnej w Warszawie, prof. **Grzegorz Biegas** z Akademii Muzycznej w Katowicach i malarz, dr hab. **Bartosz Frączek** z Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodni-

czego im. Jana Długosza w Częstochowie. Jest także trójka biologów: dr hab. **Aleksandra Obrepalska-Stęplowska** z Instytutu Ochrony Roślin – PIB, prof. **Edyta Suliga** z Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach i dr hab. **Agnieszka Maria Wolińska** z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II.

Najwięcej przedstawicieli ma jednak medycyna. Oprócz przewodniczącego są to: dr hab. **Beata Januszko-Giergielewicz** z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, prof. **Zbigniew Krasinski** z Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu i prof. **Piotr Pruszczyk** z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. W nowej KEN zasiada także dwoje historyków: prof. **Małgorzata Dajnowicz** z Uniwersytetu w Białymstoku i prof. **Dariusz Kupisz** z UMCS.

Skład dopełniają: socjolog dr hab. **Adam Czabański** z Akademii im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie Wielkopolskim, językoznawca dr hab. **Wojciech Guz** z KUL, matematyk prof. **Jacek Jezierski** z Uniwersytetu Warszawskiego, fizyk prof. **Zbigniew Kąkol** z Akademii Górniczo-Hutniczej, informatyk prof. **Lucyna Maria Leniowska** z Uniwersytetu Rzeszowskiego, politolog dr **Patryk Tomaszewski** z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, ekonomista prof. **Henryk Wnorowski** z Uniwersytetu w Białymstoku, a także specjaliści od: biocybernetyki i inżynierii biomedycznej – dr hab. inż. **Kamil Jonak** z Politechniki Lubelskiej, zootechniki – dr hab. inż. **Katarzyna Ropka-Molik** z Instytutu Zootechniki – PIB, nauk leśnych – prof. **Jarosław Socha** z Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie, elektrotechniki, automatyki i robotyki – dr hab. inż. **Rafał Stanisławski** z Politechniki Opolskiej, budowy i eksploatacji maszyn – prof. **Andrzej Żyluk** z Instytutu Technicznego Wojsk Lotniczych.

Warto zauważyć, że pięć z tych osób (Z. Kąkol, A. Obrepalska-Stęplowska, P. Pruszczyk, K. Ropka-Molik, B. Suchocka-Kozakiewicz) będzie kontynuować pracę w KEN, gdyż należało do Komisji poprzedniej kadencji.

Nowa Komisja formalnie rozpoczęła pracę 1 kwietnia, a zakończy 31 grudnia 2027 roku. W tej kadencji, oprócz działalności naukowej, ewaluacji po raz pierwszy poddana zostanie jakość kształcenia w szkołach doktorskich. Ponadto do zadań KEN będzie należało m.in. przygotowanie wykazu czasopism naukowych i recenzowanych materiałów z konferencji międzynarodowych oraz przedstawienie ministrowi propozycji kategorii naukowych dla podmiotów poddanych ewaluacji.

MK



Rozmowa z prof. Błażem Skoczeniem, przewodniczącym Komisji Ewaluacji Nauki w latach 2019-2023

Środowisko naukowe broni slotów

Jest niezwykle wartościowe, że potrafimy jednym zestawem algorytmów i w tych samych ramach prawnych oceniać wszystkie dyscypliny. Ponieważ w KEN byli reprezentanci wszystkich dziedzin i wielu różnych dyscyplin, uczyliśmy się od siebie nawzajem ich specyfiki. Ocena wspólna ma ogromne zalety.

Co nam pokazała ewaluacja dorobku naukowego w latach 2017-2021?

Dzisiaj (rozmawiamy 31 marca 2023 r.) wypada ostatni dzień działalności Komisji Ewaluacji Nauki, której pracami kieruję. Mój wniosek jest taki, że Polska ma dobry, sprawnie funkcjonujący system ewaluacji, który jest tani i przynosi oczekiwane efekty, tzn. potrafimy oceniać dyscypliny nauki w podmiotach w taki sposób, że na tej podstawie można przyznać instytucjom naukowym uprawnienia do nadawania stopni naukowych oraz środki finansowe. A temu ewaluacja służy.

Chodziło mi raczej o to, jaki obraz polskiej nauki wyłania się z tej ewaluacji? I czy pokazuje ona naszą naukę w prawdzie?

To inne pytanie. Polski system ewaluacji pokazuje naukę w prawdzie, jeśli weźmie się pod uwagę wyniki, które publikuje Komisja Ewaluacji Nauki. A ja tylko do tych wyników mogę się odnieść, bo znam ich podstawy. Dokonałiśmy bardzo szczegółowej oceny we wszystkich kryteriach. Jest ona obiektywna, bo jest oparta na danych, które jednostki raportowały do systemu POL-on i podpisem kierownika jednostki potwierdziły, że są one prawidłowe. Stosujemy do nich właściwe miary instytucjonalne, czyli np. słynny ułamek, który zawiera w liczniku sumę punktów, a w mianowniku liczbę N. Obraz, który się wyłania z ewaluacji, jest dobry. Uczestniczyłem w dwóch poprzednich ewaluacjach i na podstawie ich porównania widzę dwie rzeczy. Po pierwsze, zdecydowany przyrost osiągnięć i kolosalną mobilizację wokół ewaluacji, która odcisnęła pozytywne piętno na podmiotach naukowych, m.in. przesunęła publikacje z lokalnych czasopism do przestrzeni międzynarodowej. Wyraźnie widać, jak niemal liniowo rośnie liczba publikacji w bazie Scopus. Stąd wynika duża liczba dobrych kategorii. Poza tym, że obraz jest pozytywny, to jest też dziedzinowo zróżnicowany. Są dyscypliny, które uzyskały znakomite rezultaty, ale są też słabsze. Widać mocny wpływ pozycji międzynarodowej polskich dyscyplin na ich wyniki ewaluacyjne, gdyż w budowie wartości referencyjnych bierze się ją pod uwagę. Pozycję Polski w dyscyplinach nauki na arenie międzynarodowej mierzymy za

pomocą bazy Scimago Journal & Country Rank. Zawiera ona dyscypliny niekoniecznie zgodne z naszymi. Zatem przeanalizowaliśmy nasze dyscypliny i sprawdziliśmy pozycję Polski w poszczególnych subdyscyplinach. Pozycja międzynarodowa dyscyplin ma też kluczowe znaczenie w ocenie do kategorii A+. Przenika ona całość procesu ewaluacji i kategoryzacji. Ocenialiśmy niemal milion osiągnięć naukowych, w tym około 708 tys. publikacji. To dlatego stosujemy zasadę dziedziczenia prestiżu...

Która jest bardzo krytykowana...

I zgodzę się z tą krytyką w odniesieniu do wydawnictw, ale już nie do czasopism. Przy tak dużej liczbie publikacji musimy stosować zarówno zasadę dziedziczenia prestiżu, jak i zasadę oceny instytucjonalnej. Inaczej nie byłibyśmy w stanie ocenić zgłoszonego dorobku w okresie od połowy stycznia do połowy czerwca. Podjęliśmy ponad 63 tysiące decyzji uwidocznionych w Systemie Ewaluacji Dorobku Naukowego. Bardzo dużą liczbę decyzji generuje ocena osiągnięć artystycznych, która jest wyłącznie ekspercka. Chciałbym w tym miejscu przytoczyć trzy zasady, które są kluczowe w ewaluacji. Pierwszą jest zasada równości – każdą dyscyplinę traktujemy tak samo. Druga to zasada umowy społecznej, która polega na tym, że KEN umawia się ze środowiskiem naukowym, że wykona ocenę a la lettre, zgodnie z zasadami wcześniej wspólnie przedyskutowanymi. KEN to nie była grupa 31 osób odizolowanych, które nie miały kontaktu ze światem – działaliśmy w stałej relacji z naszą nauką, jej instytucjami. Trzecia to zasada oceny instytucjonalnej, do której stosujemy opracowane wraz ze środowiskiem miary instytucjonalne. Mamy 858 wyszkolonych ekspertów. Po raz pierwszy w ewaluacji pojawił się korpus ekspertów, w tym prawie 50 zagranicznych.

Były jednak zastrzeżenia do ich pracy.

Eksperci zagraniczni byli przyzywczajeni do oceniania według systemów, w których dotychczas pracowali, więc pojawiały się drobne uwagi do stylu oceny, ale nie do ich kompetencji. Bardzo ciekawa jest ewolucja odsetka kategorii A+ (dane

KEN). W 2013 było to 3,8%, w 2017 – 6,3%, a obecnie 5,7% (po ocenie odwołań 6,6%).

Ostatecznie jest on jeszcze wyższy i wynosi ponad 10%.

Będę komentował tylko wyniki uzyskane przez KEN, bo wiem, skąd się wzięły. Zatem kategoria A+ – w naszym ujęciu – pozostała elitarna. Druga sprawa charakterystyczna to stosunkowo mały odsetek dyscyplin – 28% przed odwołaniami – w kategorii A, czyli nie było inflacji tej kategorii. Natomiast kategoria B+ praktycznie zastąpiła dawną B. Nie sprawdziło się założenie, że niezwykle pojemna stara kategoria B zostanie podzielona na dwie mniej więcej równe części. Suma kategorii B i C to nieco ponad 15% (przed odwołaniami), co stanowi wynik wyższy niż kategoria C w roku 2017. Dla nas *conditio sine qua non*, aby rekomendować podmiot do kategorii A+, było przyznanie dwóch ocen pozytywnych przez ekspertów. Wśród najlepszych dyscyplin dominowały te uprawiane na uniwersytetach i w instytutach PAN. Nie dziwi mnie ostra walka o kategorie, czyli spory odsetek odwołań, bowiem wzrosła ranga wyników oceny. Decyduje ona o znacznie większej liczbie spraw niż poprzednio, zwłaszcza o uprawnieniach do nadawania stopni naukowych. Do kategorii A+ aplikowało w odwołaniach 65 podmiotów, a dodatkowe 20 pojawiło się w polu oceny A+, uzyskały bowiem w wyniku odwołania kategorię A oraz miały wysoki wynik w pierwszym kryterium. Zatem w kontekście kategorii A+ ocenialiśmy w odwołaniach 85 podmiotów. Od razu dodam, że z tej dodatkowej dwudziestki tylko jedną dyscyplinę rekomendowaliśmy do A+, a 19 podmiotów nie odniosło sukcesu, bowiem oceny ekspertów nie były jednoznacznie pozytywne. Spośród 583 wniosków Komisja rekomendowała zmiany w 100 dyscyplinach, a zatem 17,2%, przy czym w 5 przypadkach nie chodziło o podniesienie kategorii. Wśród tych zmian mamy 60 zmian z kategorii B+ do A – tym podmiotom chodziło o prestiż. W 28 przypadkach, w których dyscypliny przeszły z B do B+, chodziło nie tyle o prestiż, co o uprawnienia. Było też 5 przypadków, w których po ponownym rozpatrzeniu sprawy uzyskiwana kategoria była niższa niż po pierwszym etapie, przy czym w 3 sytuacjach chodziło o utratę kategorii B+, a w dwóch o spadek z kategorii B do C. Podmioty nie utraciły jednak raz nabytej kategorii, co wynika z zapisów Kodeksu Postępowania Administracyjnego. W stosunku do tych podmiotów notujemy swoisty kredyt zaufania. Obraz wcale nie jest zatem jednoznaczny. Fakt, że na zmianę zasługiwało tylko około 17% kategorii świadczy o tym, że ocena w pierwszym etapie została przez KEN wykonana poprawnie. Ciekawy jest wynik odwołań od kategorii A+. Otóż KEN z 85 podmiotów promuje tylko 10, czyli 11,8%.

Komentarza wymaga też kwestia liczby N.

Widać wyraźnie, że podmioty, które miały małą liczbę N, lokowały się raczej w niższych kategoriach, a podmioty o dużej liczbie N w wyższych. Statystyki ewaluacyjne pokazują, że im wyższa liczba N, tym na ogół wyższy wynik. Dyscypliny, które miały liczby N powyżej 100, lokują się zwykle w kategoriach B+, A i A+. Popularny pogląd, że podmioty o niskiej liczbie N radzą sobie lepiej w ewaluacji, nie znajduje potwierdzenia w faktach. Statystycznie wygrywają silne podmioty, mocne środowiska naukowe.

Co pan sądzi na temat optymalizacji liczby N?

Wielokrotnie pytano mnie, czy należy liczbę N traktować jako parametr do uzyskania wysokiej efektywności naukowej. Otóż nie. Liczba N nie jest parametrem, który można regulować w celu sztucznego budowania wysokiej efektywności naukowej. Liczba N wynika z wewnętrznej struktury podmiotu, który powinien ją klarownie uporządkować. To jednak nie oznacza



Fot. Piotr Kierański

Prof. dr hab. inż. **Błażej Skoczeń** (ur. w 1960 r.) kieruje Centrum Projektowania Akceleratorów Cząstek Elementarnych na Politechnice Krakowskiej. Prowadzi badania w zakresie mechaniki, w tym konstrukcji powłokowych, modelowania konstytutywnego materiałów, niskich temperatur, teorii plastyczności, przemian fazowych, mechaniki uszkodzeń, fizyki ciała stałego oraz akceleratorów cząstek elementarnych. Jest autorem ponad 150 publikacji i opracowań naukowych, w tym 3 monografii. W latach 1995–2005 pracował w Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych (CERN). Na Politechnice Krakowskiej był dyrektorem Instytutu Mechaniki Stosowanej i kierownikiem Zakładu Mechaniki Ciał Stałych. Jest wiceprzewodniczącym Komitetu Mechaniki PAN, członkiem Komisji Nauk Technicznych Polskiej Akademii Umiejętności. Był członkiem Komitetu Ewaluacji Jednostek Naukowych, a obecnie kieruje pracami Komisji Ewaluacji Nauki. Jest ekspertem zagranicznym w ewaluacji instytucjonalnej jednostek naukowych we Francji (HCÉRES) i polskim delegatem do Rady Dyrektorów Międzynarodowego Centrum Naukowego Mechaniki CISM (Włochy). Należy do Rady Kuratorów w Wydziale IV Nauk Technicznych PAN. Jest redaktorem działu Encyklopedii Mechaniki Ośrodków Ciągłych (Springer) i członkiem komitetów redakcyjnych 2 czasopism z listy JCR.

manipulacji, a właśnie porządkowanie. Pracownicy, którzy zajmują się głównie dydaktyką i nie zamierzają rozwijać kariery badawczej, powinni zajmować stanowiska dydaktyczne i nie uczestniczyć w ewaluacji osiągnięć naukowych. Natomiast ci, którzy prowadzą badania, mają prawo zaliczyć swoje wyniki do osiągnięć reprezentowanej dyscypliny. Porządkowanie struktury zatrudnienia nie może oznaczać manipulowania liczbą N czy wyłączenia dorobku części naukowców poza osiągnięcia ewaluacyjne. Protestuję przeciwko sytuacji, gdy na rok przed ewaluacją zaczyna się manipulować liczbą N w celu uzyskania wyższego wyniku. Podobnie niektóre podmioty kreowały nowe, niezbyt liczne kadrowo dyscypliny, w których spodziewały się sukcesu ewaluacyjnego. Myślę jednak, że to były nie-liczne przypadki.

Wnioski o ponowne rozpatrzenie sprawy

KEN

Wpływ liczby N na wynik ewaluacji i kategoryzacji

	N < 12	12 ≤ N < 20	20 ≤ N < 50	50 ≤ N < 100	N ≥ 100
A+	1	5	19	29	21
A	21	69	131	93	61
B+	22	119	197	111	97
B	10	52	48	6	1
C	11	11	8	2	0

Podmioty o dużej liczbie N lokują się na ogół w wyższych kategoriach

Ilustracja z prezentacji prof. B. Skoczzenia

Co z liczbami N poniżej 12? Jest 66 takich podmiotów.

To były podmioty, które stopniowo budowały siłę naukową, by na koniec – na dzień 31 grudnia 2021 roku – osiągnąć wymaganą liczbę N = 12. Natomiast, znakomita większość podmiotów o liczbie N mniejszej niż 20 lokowała się jednak w kategoriach B+, B i C.

Ale ponad 30% z nich znalazło się w kategorii A i A+.

To prawda, ale większość uzyskała słabsze wyniki, lokując się w kategoriach B+, B i C. Natomiast w grupie dyscyplin o liczbie N powyżej 100 praktycznie nie ma kategorii B i C.

Jednak można zbudować małą i efektywną z punktu widzenia ewaluacji dyscyplinę, i niektórzy tak zrobili.

Zapewne są takie przypadki.

W niektórych dyscyplinach na uczelniach w N jest poniżej 40% zatrudnionych wykładowców.

Zgadza się. Należy się zastanowić, czy uczelnie, w których więcej niż połowa wykładowców jest poza grupą pracowników badawczych lub badawczo-dydaktycznych, mają wciąż charakter akademicki.

Jaka jest pana opinia?

Wyzaczyłbym granicę 50%. Gdy powyżej połowy pracowników zajmuje się wyłącznie kształceniem (dydaktyką), i zapewne mają też przewagę w organach kolegialnych, to należy się zastanowić, czy taki podmiot nadal powinien być zaliczany do grupy uczelni akademickich podlegających ewaluacji.

Ten problem, czyli możliwość zaliczania pracowników do grupy badawczych, badawczo-dydaktycznych lub dydaktycznych, pojawił się wraz z ustawą Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce.

Tak, ale niewiele osób pamięta, że do ewaluacji dyscyplin doszliśmy drogą ewolucyjną. W roku 2017 pojawiła się kategoria niejednorodnych jednostek naukowych. Sądziłyśmy, że to będą wydziały, które mają kilka różnych dyscyplin. Okazało się, że jeśli nie wszystkie, to zdecydowana większość jednostek miała taki charakter. Przeszliśmy zatem na poziom dziedzinowy. I znów się okazało, że znakomita większość podmiotów prowadzi badania co najmniej w dwóch dziedzinach. Skończyło się więc na tym, że za niejednorodne uznaliśmy jednostki, w których uprawiano badania w dwóch lub więcej obszarach nauki. Powstało pytanie, czy prawidłowo oceniamy te podmioty. Zda-

liśmy sobie sprawę z faktu, że aby ewaluować względnie porównywalne osiągnięcia, np. pod względem przedmiotu badań czy metodologii, najpewniejsze będzie ocenianie dyscyplin. Jednak okazało się, że pewne dyscypliny są licznie reprezentowane na uczelniach, na różnych wydziałach. Dotyczyło to choćby inżynierii materiałowej, informatyki czy psychologii. Faktycznie ocenialiśmy dotychczas jednostki organizacyjne uczelni, a nie względnie jednorodne grupy naukowe. Doszliśmy zatem do wniosku, że należy oceniać poszczególne dyscypliny na uczelniach, w instytutach PAN czy instytutach badawczych.

Myślę, że zgoda na ocenę dyscyplin, a nie jednostek, była wówczas powszechna.

Tak. Znacznie większej dyskusji i krytyce podlegała klasyfikacja dyscyplin, czyli ich definicje w nowym ujęciu.

W tej ewaluacji nie wyodrębniliście nauk humanistycznych i społecznych od pozostałych.

Uważam osobną ocenę za niedobre rozwiązanie. Jest niezwykle wartościowe, że potrafimy jednym zestawem algorytmów i w tych samych ramach prawnych oceniać wszystkie dyscypliny. Ponieważ w KEN byli reprezentanci wszystkich dziedzin i wielu różnych dyscyplin, uczyliśmy się od siebie nawzajem ich specyfiki. Ocena wspólna ma ogromne zalety. Odseparowanie humanistyki od nauk przyrodniczych w ewaluacji sprawiłoby, że powstałyby dwa światy, które nie przenikałyby się wzajemnie. Co ciekawe i ważne, środowisko akademickie uznało, że ewaluacja w obecnej formie jest poprawna, przy różnych szczegółowych zastrzeżeniach, które znalazły wyraz w naszych propozycjach korekty kolejnej edycji. Zauważmy, że wyniki obecnej ewaluacji – tak, jak je przedstawiła KEN – są względnie zbliżone do poprzednich. Ten rozkład kategorii jest bardzo zrównoważony i zbliżony do wyników z poprzednich ewaluacji, zwłaszcza z 2017 roku. Po odwołaniach zmalała liczba dyscyplin w najniższych kategoriach: w B mamy 10,2%, a w C – 2,8%, czyli sumarycznie 13% (dane KEN). To nieznacznie więcej niż w dawniej w kategorii C.

Jednak wówczas naturalnie wyszedł wyższy odsetek – o ile pamiętam ok. 20% – podmiotów w kategorii C i nastąpiła interwencja ministra nauki.

Tak. Minister uznał, że relatywnie wysoki odsetek słabych podmiotów w naukach humanistycznych i społecznych wynikał ze sposobu oceny i nie można było odstawić na boczny tor tak dużej części polskiej nauki. W konsekwencji dyskusji wokół tej

kwestii wprowadziliśmy w obecnej ewaluacji premie dla nauk humanistycznych i społecznych. Np. punktacja monografii jest o połowę wyższa, a w drugim kryterium kwota środków pozyskanych w projektach badawczych była dwukrotnie niższa niż w innych dziedzinach, aby uzyskać taką samą liczbę punktów. Pamiętajmy, że granty w naukach humanistycznych i społecznych są na ogół znacznie niższe niż w innych dziedzinach. Takich premii jest w systemie więcej. Np. w polu 3N w dziedzinach HS można było zmieścić 20% monografię, podczas gdy w naukach inżynieryjno-technicznych lub ścisłych było to jedynie 5%. Dzięki temu mogliśmy wszystkie dyscypliny oceniać w tym samym systemie.

Różne były też wagi poszczególnych kryteriów.

Oczywiście. To ostatecznie działało pozytywnie na całą ocenę. Warto także zwrócić uwagę na dość szeroki rozkład ocen w poszczególnych dyscyplinach nauk społecznych. Wynikał on m.in. z relatywnie szerokiego spektrum pozycji międzynarodowej tych dyscyplin.

A ja się zastanawiam, czyśmy w samych założeniach nie wykluczyli elity elit? Włączyliśmy do ewaluacji sloty, żeby odciąć wpływ dorobku najwybitniejszych uczonych i wyszedł nam egalitaryzm. I wskazuję wyniki końcowe, czyli decyzje ministra nauki.

To ma swoje uzasadnienie w tym, jaką rolę przypisaliśmy ewaluacji. Jeżeli na jej podstawie chcemy przyznawać uprawnienia do nadawania stopni naukowych, nie może się to opierać wyłącznie na osiągnięciach kilku wybitnych postaci, ale raczej całego środowiska. Sloty miały więc określoną rolę związaną z celami ewaluacji. Liderzy bywają – mówiąc językiem nauki – metastabilni: lider jest, a potem przechodzi do innego ośrodka i znika z pola widzenia. Nie możemy więc opierać uprawnień wyłącznie na pozycji liderów. Tego rozumowania nie podważałbym nadmiernie, choć chcielibyśmy w tym właśnie miejscu nieco zmodyfikować ewaluację w przyszłości, bardziej docenić dorobek osobowości naukowych. W tej chwili pewna grupa podmiotów, które uzyskały uprawnienia akademickie, nie będzie mogła ich konsumować, bo nie mają z kogo stworzyć choćby komisji habilitacyjnych. Wobec tego stawiamy postulat, iż aby uzyskać uprawnienia, podmiot – oprócz odpowiedniej kategorii – powinien spełniać minimum kadrowe: co najmniej sześciu doktorów habilitowanych, w tym co najmniej dwóch profesorów tytularnych.

Komisja Ewaluacji Nauki pierwszej kadencji nie zakończyła swojej pracy na ewaluacji, ale została poproszona o przedstawienie propozycji korekt obecnie obowiązujących reguł oceny.

Przedstawiamy je w dwunastu punktach.

Mamy oczywiście problem z tym, że one dotyczą okresu oceny, który już trwa, chociaż we wszystkich poprzednich ewaluacjach ich zasady poznawaliśmy jeszcze później.

Myślę, że gdyby te ostateczne zasady pojawiły się w najbliższych miesiącach, byłibyśmy w niezłej sytuacji. Postulujemy na przykład uproszczoną ocenę czasopism naukowych...

Przepraszam, że przerwę, jaki wpływ na wyniki ewaluacji miały zmiany na liście czasopism – dopisanie tytułów, zmiana punktacji – dokonane przez ministra nauki?

Te zmiany zamknęły się w granicach około 5% czasopism, a zatem nie były tak znaczące, jak się powszechnie sądzi. Oczywiście ich wpływ w pewnych dyscyplinach był wyższy, w innych niemal żaden. Nie przesądzały jednak o kompleksowych wynikach oceny dyscyplin. Protestowaliśmy przeciwko tym zmianom, a zwłaszcza sposobowi ich przeprowadzania.

Wracając do postulatów, w tej chwili ocena czasopism jest oparta na sześciu wskaźnikach, z których trzy pobierane są z bazy Scopus, a trzy z Web of Science. Zespół dyscyplinowy decyduje, które dwa wskaźniki bierzemy pod uwagę w danej dyscyplinie. Wydaje się, że wystarczy przyjąć po jednym wskaźniku z każdej z tych baz i na nich oprzeć ocenę czasopism. Te wskaźniki powinna wskazać Komisja i powinny one znaleźć się w rozporządzeniu. Ewentualnie, jeśli zespół dyscyplinowy uzna, że owe dwa wskaźniki z jakichś powodów nie są dla danej dyscypliny adekwatne, może wnioskować o zmianę wskaźnika. Ta możliwość także powinna znaleźć się w rozporządzeniu. Bardzo ważne jest określenie dyscypliny wiodącej czasopisma i przypisanie jej odpowiedniej wagi.

Kwestionuje się potrzebę przypisywania czasopism do dyscyplin.

Ale z wielu względów jest to wygodne. Do tej pory ocena czasopisma była średnią z propozycji dyscyplin, które były przypisane do danego czasopisma. To budziło liczne wątpliwości. Przed ewaluacją musieliśmy interweniować w przypadku z górą 3 tysięcy czasopism, gdy ich ocena była skrajnie odmienna w różnych dyscyplinach. Chcielibyśmy, aby dyscyplina wiodąca decydowała w 75% o ocenie czasopisma. Okazuje się, że wówczas sytuacja się wyjaśnia, a punktacja jest adekwatna.

Kolejna propozycja ma na celu pokazanie dorobku naukowych liderów. Sloty jednak pozostają...

A całość wygląda na jeszcze bardziej skomplikowaną...

Ale nie jest, gdyż cała operacja jest wykonywana automatycznie przez systemy informatyczne. Generalnie oceniamy wyniki naukowe na podstawie pola 3N – np. jeśli mamy stu badaczy, to pole do zagospodarowania wynosi 300 pozycji. To się dokonuje automatycznie – SEDN pobiera dane z POL-onu. W obecnej ewaluacji wypełniamy pole 3N danymi ze slotów. Nasza propozycja polega na tym, aby w kolejnej ewaluacji do tego pola wprowadzić najpierw wysoko punktowane osiągnięcia liderów naukowych, czyli publikacje za 200 i 140 punktów – to się dzieje automatycznie. Nb. są głosy, aby były to wyłącznie publikacje za 200 punktów. Resztę tego pola dopełniamy ze slotów. Ku mojemu zaskoczeniu środowisko naukowe broni slotów, co wskazuje na fakt, iż zostały one zaakceptowane.

Nasza kolejna propozycja przypomina, że osiągnięcia naukowe należy w takim samym stopniu do autora, jak do instytucji, w której jest on zatrudniony i gdzie to osiągnięcie powstało. Należy znieść wymóg upoważniania instytucji przez autora do wykazania dorobku w ewaluacji. Instytucja ma prawo do dorobku zatrudnionego u siebie autora. To po prostu uproszczenie pewnego elementu procedury ewaluacyjnej. Oczywiście w pewnych szczególnych przypadkach autor może określone osiągnięcie przypisać innej instytucji.

Kolejny postulat ma na celu uporządkowanie kwestii liczby N. Otóż należy przyjąć $N = 12$ jako średnią z 4 lat objętych ewaluacją. Jeśli średnia liczba N będzie niższa, to nie powinno się obejmować ewaluacją danej dyscypliny, bo to nie jest stabilny zespół naukowy. Do tego punktu dodajemy oczywiście wymóg minimum kadrowego.

Za bardzo zaufaliśmy samej sile naukowej.

Tak. Tymczasem nie wystarczy kilka dobrych publikacji, żeby stworzyć stabilne środowisko naukowe. Chcielibyśmy też, aby nie można było nadmiernie zmieniać liczby N w celu poprawienia efektywności naukowej tuż przed ewaluacją. Ona musi być w miarę stabilna, a fluktuacje powinny mieścić się w określonej ewaluacji w rozsądnych granicach, np. 10%. Może wystar-

czyłoby ściśle związać liczbę N ze środkami finansowymi przyznawanymi jednostce na podstawie wyników ewaluacji?

Mamy także propozycję, aby wyznaczać wartości referencyjne osobno dla instytutów PAN i dla uczelni. Jednak co do tego postulatu nie ma powszechnej zgody. Chciałbym podkreślić, że pochodzi on nie tylko ze środowiska uczelni, ale także instytutów badawczych. Można to zrobić na podstawie wcześniejszych doświadczeń w grupach wspólnej oceny. Obecnie oceniana dyscyplina nauki to właśnie taka grupa wspólnej oceny, złożona z podmiotów, które ją reprezentują. Tak to zdefiniowała ustawa.

Postulujemy także, aby o kategorię A+ mogły ubiegać się tylko takie podmioty-dyscypliny, które mają liczbę N dwukrotnie większą od wymaganej do ewaluacji, a zatem 24. Proponujemy to rozwiązanie w takim kontekście, aby najwyższa i prestiżowa kategoria była przyznawana tylko solidnym, stabilnym podmiotom o utrwalonej pozycji.

Postulujecie też, aby A+ mogły dostać tylko te dyscypliny, które w poprzedniej ewaluacji uzyskały A lub A+.

Nie jest to postulat pierwszoplanowy. Argumentacja jest taka sama: chodzi o podmioty o ustalonej renomie i pozycji naukowej. Proponujemy też, aby wartość progowa oceny do kategorii A+ nie była wyznaczana wyłącznie na podstawie pierwszego kryterium, jak obecnie. Mieliśmy na przykład sytuację, gdy dwa instytuty PAN miały w jednej z dyscyplin identyczny wynik w stosunku do wartości referencyjnych do kategorii A, z tym, że jeden uzyskał wysoki wynik w kryterium pierwszym, a drugi w drugim. Tylko ten pierwszy mógł być oceniany w kontekście kategorii A+, bo wartość progowa ustalona jest w kryterium pierwszym. Postulujemy więc, żeby wartość progowa była definiowana na podstawie punktacji we wszystkich trzech kryteriach.

Zostały nam jeszcze cztery punkty...

Które mają z naszego punktu widzenia nieco mniejszą wagę.

Odnosicie się do monografii.

Zasada dziedziczenia prestiżu została zastosowana także do monografii i wydawnictw. Nie jest ona jednak oczywista. Rynek wydawniczy jest bardzo dynamiczny z uwagi na częste zmiany właścicielskie. Powstają duże platformy wydawnicze, zawierające liczne marki wydawnicze o niekoniernie naukowym profilu. W tym kontekście wykaz wydawnictw monografii naukowych traci sens. Pojawił się zatem postulat, aby powrócić do poprzedniego rozwiązania, polegającego na tym, iż każda monografia ma tę samą liczbę punktów, a monografie wybitne podwójną ich liczbę.

Kolejny postulat dotyczy włączenia do ewaluacji polskich czasopism naukowo-branżowych, czyli takich, w których publikują naukowcy, ale są one kierowane do środowiska praktyków; przenoszą najnowszą wiedzę z obszaru nauki do praktyki. Dopominali się o to np. prawnicy, ale podobne czasopisma istnieją także w medycynie czy naukach inżyniersko-technicznych oraz wielu innych dyscyplinach. Lista takich czasopism mogłaby stanowić wsparcie oceny osiągnięć w kryterium trzecim.

Kolejna nasza propozycja dotyczy przypisania punktacji recenzowanym artykułom konferencyjnym, ale wyłącznie rejestrowanym w bazach WoS i Scopus. Ostatni punkt dotyczy możliwości usuwania z wykazu lub obniżania punktacji czasopismom, które zostaną uznane za tzw. predatory. Jednak najpierw należy określić precyzyjnie kryteria owej drapieżności, czyli złych praktyk wydawniczych, a to wcale nie będzie łatwe.

Dlaczego nie zrobiono tego w zakończonej niedawno ewaluacji?

Wiele o tym dyskutowaliśmy na posiedzeniach Komisji Ewaluacji Nauki. Jednak w obecnych ramach prawnych nie dysponowaliśmy instrumentem, który by to umożliwiał.

Co pan myśli o tym, żeby każda dyscyplina stworzyła swój własny katalog osiągnięć, podobnie jak zrobili to przedstawiciele sztuki?

To byłoby warte przemyślenia, ale nie jest to łatwy i szybki proces i zapewne musiałyby to dotyczyć nie najbliższej, ale następnej ewaluacji.

Co się stało w kryterium drugim, że ministerstwo nie udostępniło punktacji?

To decyzja ministerstwa, po konsultacji z Departamentem Prawnym. To kryterium nie jest nowością, choć zostało trochę inaczej sformułowane niż w poprzednich ewaluacjach. Mamy tam kilka grup osiągnięć: projekty badawcze, komercjalizacja wyników badań naukowych i usługi badawcze (np. przychody ze współpracy z gospodarką i przemysłem). Nie dostrzegam większych problemów w ocenie kryterium drugiego. Natomiast czasami jest trudno rozstrzygnąć, czy projekt realizowany dla gospodarki lub w ramach programu operacyjnego ma charakter naukowy i mieści się w klasie projektów punktowanych. To kwestia dobrego przygotowania ekspertów. Warto jednak podkreślić, iż każdy podmiot ma pełne prawo ujawnić własne wyniki w danej dyscyplinie nauki. Wyniki należą w pierwszym rzędzie do podmiotów, a następnie do ministerstwa. Tylko te instytucje mogą je ujawnić. Komisja nie ma takich uprawnień, a jej prace są objęte klauzulą poufności.

Udało się wam czy nie?

Z pewnością tak. Komisja to zespół niezwykle kompetentnych ludzi, którzy w większości prowadzą badania naukowe w reprezentowanych przez siebie dyscyplinach. Udało się także stworzyć korpus ekspertów, liczący niemal 900 osób, którym należy podziękować za ogrom wykonanej pracy. Jest to niewątpliwie dobry prognostyk na przyszłość. Przeprowadziliśmy ewaluację w przewidzianym czasie...

Jednak był pewien poślizg w rozpatrywaniu odwołań.

Wbrew potocznym opiniom, zmieściliśmy się w czasie, a zatem do końca grudnia ubiegłego roku. Problem polegał na tym, że pojawiło się 20 dodatkowych podmiotów, które musiały być ocenione w perspektywie kategorii A+, ale nie wiedzieliśmy o tym na początku rozpatrywania odwołań. Już o tym mówiłem wcześniej. Trudno było oczekiwać, zwłaszcza od specjalistów zagranicznych, że wykonają taką ocenę z dnia na dzień. Zatem o tym niewielkim poślizgu zdecydowała ta właśnie okoliczność.

W poprzednich ewaluacjach jednostka, która uzyskała kategorię C, mogła po roku wnioskować o ponowną ocenę.

W tej ewaluacji nie było takiej możliwości. Kategoria została przyznana na cztery lata. Chcę zwrócić uwagę na to, że nowa Komisja Ewaluacji Nauki ma do wykonania dodatkową dużą pracę, polegającą na ewaluacji szkół doktorskich – to ogromne zadanie, nieopowiedzone żadnymi wcześniejszymi doświadczeniami. Gdyby do tego doszła ponowna ewaluacja dyscyplin kategorii C, to byłoby niewykonalne. Władze jednostek muszą zdecydować, co zrobić z tymi dyscyplinami, które uzyskały najniższą kategorię: czy je rozwijać, czy likwidować.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Rozmowa z prof. Krzysztofem Górskim, astronomem, sekretarzem generalnym Akademii Kopernikańskiej

Uczyć się od najlepszych

Nie wiem, czy powinniśmy mówić o elitaryzmie, bo na takie określenie trzeba zasłużyć działaniem, ale na pewno ma to być instytucja niewielka. Jej zadania są zupełnie inne niż cele działania innych akademii, często bardzo dużych, jak te europejskie.

Kim pan jest: astronomem, astrofizykiem, „space researcher”?

Jestem absolwentem astronomii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu; z profilu zawodowego – astrofizykiem, a nie astronomem obserwacyjnym; tak się złożyło, że zacząłem w pewnym momencie pracować w ośrodkach badawczych, które zajmują się wysyłaniem w kosmos instrumentów naukowych i badaniem danych pobieranych z pomiarów orbitalnych. To wszystko, najogólniej mówiąc, jest jednak astronomią. Na co dzień zajmuję się interpretacją danych, które dostarcza aparatura pomiarowa działająca w kosmosie. Interesują mnie szczególnie informacje z instrumentów, które patrzą daleko w kosmos, poza nasz układ słoneczny. Gdy w naszym żargonie profesjonalnym mówimy „space researcher”, to często jest to mylone np. z fizyką plazmy czy badaniami okołozemskich pól magnetycznych. Nie jest to zatem ostre rozróżnienie.

Został pan sekretarzem generalnym Akademii Kopernikańskiej, organizacją elitarną i z założenia międzynarodową. Jak pan widzi swoją rolę?

Nie wiem, czy powinniśmy mówić o elitaryzmie, bo na takie określenie trzeba zasłużyć działaniem, ale na pewno ma to być instytucja niewielka. Jej zadania są zupełnie inne niż cele działania innych akademii, często bardzo dużych, jak te europejskie. Najszerszym programem rozwojowym Akademii Kopernikańskiej jest stworzenie pięciu szkół kopernikańskich, czegoś w rodzaju koleżków, koncentrujących się na kształceniu zbliżonym do doktorskiego. Taki mamy zamiar. I znów – to jest niewielkie przedsięwzięcie, na pewno nie na miarę dużego uniwersytetu. Na razie nie mamy szczegółowego planu, jak będziemy działać i w jaki sposób zrealizujemy zadania, które określiła ustawa. Liczę na pomoc członków Akademii, w tym zagranicznych, w określeniu sposobów realizacji naszych celów. Korzystając ze swojego doświadczenia, będą oni dzielili się opiniami, jak najefektywniej tego typu program zrealizować w warunkach, które musimy spełnić i w określonym kontekście.

Czy mam rozumieć, że uczeni zagraniczni będą w Akademii Kopernikańskiej pełnili dokładnie taką samą rolę jak polscy członkowie?

Tak to widzę i wynika to z zapisów ustawy. Wyróżnioną rolę będzie miał w każdej izbie jej przewodniczący, który wyniki obrad izby i dyskusji tam prowadzonych będzie przekazywał prezydium i sekretarzowi Akademii.

Czy to znaczy, że ci liderzy światowej nauki, którzy zostali i zostaną wybrani na członków Akademii Kopernikańskiej będą

wpływali na kształt polskiej nauki w takim stopniu, w jakim ma to robić sama Akademia?

Dokładnie tak. Po to właśnie stworzono parytet członków krajowych i zagranicznych, żeby w Polsce korzystać z doświadczenia ludzi, którzy odnieśli sukces w różnych systemach nauki, bo przecież każde państwo ma swoje zwyczaje, tradycje, doświadczenia. Trzeba się uczyć od najlepszych. Warto zatem przeanalizować i zastosować w Polsce takie wzorce, które uznamy za imponujące, a jednocześnie ocenimy wspólnie, że są realizowalne w naszych warunkach. Wszystko w takim stopniu, w jakim wpływ na polską naukę może mieć nasza Akademia.

Czy szkoła astronomii w Toruniu, gdzie już w tym obszarze działa UMK i instytut PAN-owski, nie będzie niepotrzebną konkurencją, choćby o kadry i kandydatów na doktorów?

Toruń jest w pewnym sensie przepełniony astronomami, Kraków, w którym powstanie szkoła filozoficzna, filozofami, a Warszawa ekonomistami. Zakładam, że staniemy się platformą, przez którą uda się zintensyfikować wymianę zagraniczną. Tak, jak udało się na Światowy Kongres Kopernikański sprowadzić specjalistów najwyższej klasy międzynarodowej, a wiem, że byli bardzo zainteresowani udziałem, tak uda się nam zachęcić ich – mam na myśli astronomów oczywiście – do przyjazdu do Torunia, żeby poprowadzili tu zajęcia z doktorantami. Nie incydentalnie jakiś wykład o charakterze „celebrity treatment”, ale na dłuższy czas, choćby na semestr, a może i dłużej. No i żeby taki kurs semestralny lub roczny w formie wykładu czy seminarium na poziomie, który dotychczas nie był tu osiągalny, zostawił trwały ślad na ścieżce dydaktycznej i naukowej tego ośrodka i jego studentów. To byłaby duża wartość dodana w kontekście celu, który chcemy zrealizować.

Kiedy to wszystko?

Najbardziej ambitne plany są takie, żeby rozpocząć działalność dydaktyczną jesienią. Nie wiem, czy to w każdej izbie się uda. Na pewno czeka nas bardzo pracowita wiosna.

Czy członkowie zagraniczni będą mogli pełnić wszystkie funkcje w Akademii, łącznie z kierowaniem izbami czy stanowiskiem sekretarza generalnego?

Przyznam, że nad tym się nie zastanawiałem. Widzę tu pewne trudności, choćby taką, że to wymagałoby być może stałej lub przynajmniej regularnej obecności w Polsce. Taki uczone zagraniczny musiałby dysponować pewnym rozeznaniem w tym, jak w ogóle w Polsce działają takie instytucje. Z czasem zapewne będziemy mogli takie opcje brać pod



uwagę, ale na pewno nie w początkowym okresie działania. Na razie interesuje mnie uruchomienie aktywności Akademii, poszczególnych izb, szkół, zdobycie akceptacji dla nowej instytucji na polskiej scenie naukowej, ale i rozpoznawalności międzynarodowej.

W jakiej perspektywie czasowej można się spodziewać dopełnienia składu Akademii Kopernikańskiej do zaplanowanych stu osób?

W ciągu kilku miesięcy. Chciałbym, żeby to się stało w tym roku.

Jak pan skomentuje cenzus wiekowy osiemdziesięciu lat dla członków Akademii Kopernikańskiej?

W różnych krajach są odmienne zwyczaje dotyczące wieku i sposobu odchodzenia od aktywności naukowej. W jednych odsyła się ludzi na emeryturę w wieku 65 lat i koniec. W innych daje się im po odejściu z etatu jakieś możliwości, ale nie takie, jak przy pełnym zatrudnieniu. W niektórych jest tenure, w zasadzie dożywotnie. Na pewno nie chcemy iść tą pierwszą drogą. Wprowadzamy cenzus wiekowy dla członków pięciu tematycznych izb, ale osiągnięcie tego wieku nie oznacza końca członkostwa Akademii. Mamy członków po siedemdziesiątce. To było zaplanowane. Chcemy skorzystać z ich doświadczenia, ale potem nie wyrzucimy ich poza nawias, lecz przejdą do dodatkowej izby, w której są ambasadorowie, laureaci Nagród Kopernikańskich i właśnie członkowie Akademii, którzy ukończyli 80 lat. Pozostaną w naszym gronie i zechcemy korzystać z ich doświadczenia w miarę ich możliwości i chęci. W Europie zwykle jednak przenosi się wykładowców na emeryturę w określonym wieku, czasami – nie zawsze – pozostawiając im jakieś ścieżki kontynuowania kariery, ale nie pełnego uczestnictwa w życiu uniwersytetu, w tym zwłaszcza bez biernych praw wyborczych. Amerykańska tenure, gdzie nawet w stanie pełnej niesprawności wynikającej z podeszłego wieku pozostaje się profesorem, raczej nie powinna być dla nas wzorem. Widzę ten limit 80 lat jako bardzo liberalny, a nie restryktywny.

Proszę opowiedzieć coś o dodatkowej izbie i tytule ambasadora.

W ustawie jest napisane, że jednym z aspektów działania Akademii Kopernikańskiej jest promocja polskiej nauki i kultury w ogóle poza granicami kraju. Istnieje British Council, Alliance Française czy Goethe Institut, które intensywnie, żeby nie powiedzieć – agresywnie promują kulturę swoich języków i państw. Chciałbym, aby nasza Akademia mogła w jakimś

stopniu taką rolę pełnić właśnie poprzez naszych ambasadorów. Muszą oni przedstawić program, w którym określą, w jaki sposób chcieliby promować na świecie polską naukę jako integralną część kultury. Chodzi nam nie o Polaków, ale o obcokrajowców, którzy takie zadanie będą w stanie przyjąć i skutecznie realizować. To będzie miało zupełnie inny wymiar niż podobne działania podejmowane przez samych Polaków.

Co z Nagrodą Kopernikańską?

Oryginalny plan był co prawda taki, żeby ogłosić pierwszych laureatów już na Kongresie Kopernikańskim, ale względy prawne na to nie pozwoliły. Nie byliśmy pewni, czy możemy realizować nagrody bez dopełnienia składu izb Akademii Kopernikańskiej. Bardzo mnie boli, że tak się stało i przyznanie nagrody w tym roku będzie jednym z moich priorytetów. Plany są takie, żeby każdego roku przyznawać nagrodę w innej dziedzinie badań, a zatem co roku inna izba przedstawi kandydatów do nagrody. Będzie to nagroda o sporym, jak na Polskę, wymiarze finansowym.

Czy także granty i stypendia kopernikańskie zostaną przyznane jeszcze w tym roku i czy będą one zarządzane przez samą Akademię?

Na początku na pewno, bo trzeba choćby zrobić mapę drogową. Musimy dobrze zdefiniować obszary, w których zechcemy te granty i stypendia przyznać, oraz zasady ich przyznawania. Musimy stworzyć system organizacyjny przyznawania grantów i stypendiów. Zatem zaczniemy od procesu doradczego z udziałem naszych członków, licząc bardzo właśnie na doświadczenie i rady obcokrajowców, ale też od doprecyzowania języka ustawy w tym zakresie. Mam nadzieję, że mimo ogromu prac uda się nam ruszyć z tymi przedsięwzięciami w tym roku.

Na Światowym Kongresie Kopernikańskim widać było wyraźną dominantę astronomiczną.

Taki był zamysł, m.in. dlatego, że Kongres miał miejsce w Toruniu. Udało się nam zgromadzić światową czołówkę astronomów, w tym pięciu noblistów z fizyki, którzy dostali te nagrody za osiągnięcia związane z odkrywaniem tajemnic Wszechświata. Może trochę przesadziłem z liczbą przyjętych na obrady wystąpień, bo jednak ostatecznie na sesjach astronomicznych rozjechaliśmy się z czasem. Jednak wszystkie referaty sławnych astronomów i młodych adeptów tego obszaru wiedzy były niezwykle interesujące, co widać było choćby po tym, ilu gromadziły słuchaczy i jakie wywoływały dyskusje. Jednak każda izba miała swój czas i swoje sesje. Z czasem będziemy mieli także okazje do dyskusji interdyscyplinarnych z udziałem przedstawicieli wszystkich izb Akademii. Jesteśmy w okresie szczególnym. Koledzy z zagranicy byli bardzo zadowoleni z udziału w Kongresie, bo dla wielu była to pierwsza od trzech lat konferencja organizowana nie w trybie zdalnym, ale twarzą w twarz, gdzie wreszcie spotkali osobiście, a nie na monitorach komputerów, swoich kolegów z innych krajów.

Czy dorobek Mikołaja Kopernika ma w ogóle jeszcze realne znaczenie dla współczesnej nauki, zwłaszcza astronomii?

Oczywiście. Fundamentalne! Wszedł na trwałe do kanonu kultury naukowej. Cały czas w kosmologii operujemy pojęciem zasady kopernikańskiej. Ta nazwa jest używana, określa nasze rozumienie tego, jak postrzegamy Wszechświat, przenosi ona koncepcję Kopernika z Układu Słonecznego na cały Wszechświat, że nie żyjemy w miejscu szczególnym, że w pewnym sensie w uśrednionym spojrzeniu na Wszechświat nasza lokalizacja nie jest w żaden sposób wyróżniona czy uprzywilejowana. Ma to bardzo silne implikacje choćby w dziedzinie budowy

modeli obserwacyjnych, ale także w wielu innych sprawach. W tym sensie to jest wciąż fundament wiedzy astronomicznej i nauki, czyli badania kosmosu, bo wpływ Kopernika dotyczy obu tych spraw. Zresztą także o tych kwestiach metodologicznych dyskutowaliśmy na Kongresie. Próbowaliśmy sprowokować noblistów do odpowiedzi na pytanie, czy nauka potrzebuje

teraz takiego silnego impulsu, jakim był przewrót kopernikański. Zdania na ten temat są podzielone. Ja uważam, że bardzo by się on przydał. Inni, mówiąc czasami co innego, nie wprost wyrażali podobne myśli.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Niekomfortowa punktoza

Nieliczone rzesze autorów wskazywały, jak złe, wręcz patologiczne, praktyki promuje „punktoza”. Niemniej, rzeczywistość przypomina jedną z piosenek Kuby Sienkiewicza: „wszyscy zgadzają się ze sobą, a będzie nadal tak, jak jest.” Dlaczego? Między innymi dlatego, że same środowiska naukowe wręcz masowo utrwalają, a nawet twórczo rozwijają złe praktyki związane z tym zjawiskiem.

Teoretycznie „punktozę” się powszechnie krytykuje. Niemniej, z perspektywy osób bezpośrednio odpowiedzialnych za ocenę dyscypliny na uczelni sytuacja wygląda inaczej. Prorektory do spraw nauki, kierownicy rad dyscyplin, dyrektorzy instytutów, radzi nieradzi, są zmuszeni uczestniczyć w narzuconym przez system procederze, czyli doprowadzeniu do tego, żeby do każdego pracownika naukowego były przypisane możliwe najwyżej punktowane publikacje. W żadnej mierze nie promuje to obiektywnego rozwoju nauki. To raczej gra pozorów: żonglowanie różnymi zmiennymi, w szczególności liczbą pracowników na poszczególnych rodzajach etatów oraz autorstwem/współautorstwem artykułów w łatwiej dostępnych, a wyżej punktowanych czasopiśmie. To raczej główkowanie, co zrobić z Kowalskim, który niewiele pisze, albo z Iksińskim, który pisze nie tam, gdzie trzeba. Realne wsparcie rozwoju naukowego w takich okolicznościach może się zdarzyć niejako przy okazji, jako swoisty produkt uboczny. W konsekwencji wysoka kategoria oceny przyporządkowana danej dyscyplinie stanowi w pierwszej kolejności dowód sprawności jej władz w zakresie wspomnianego „żonglowania”. Ale „mówiąc krótko i najprościej, nie mieszajmy w to...” nauki. Rzecz jasna, w dużej części wypadków wysoka kategoria została przyznana dyscyplinom rzeczywiście zaangażowanym naukowo, w pełni na to zasługującym. Jednakże całościowo nie ma jednoznacznego powiązania pomiędzy wysoką/niską kategorią jednostki naukowej, a jej realną pozycją naukową.

Pracownik naukowy powinien mieć przemyślaną i wypracowaną koncepcję publikowania wyników badań. Musi ona wynikać ze specyfiki podejmowanych przez niego tematów badawczych oraz możliwie ambitnych (choć czasami rozpisanych na etapy) celów naukowych. W praktyce tak nie jest, gdyż podejście indywidualnego naukowca do tej kwestii stanowi pochodną podejścia jego władz, które systemowo zmuszone są dbać nie tyle o jakość nauki, ile o kategoryzację jednostek. W konsekwencji także pracownicy nadmiernie koncentrują się na zdobywaniu punktów. Mniej ważne jest to, o czym ktoś chce pisać, jakie wyniki chce opracować. Celem samym w sobie staje się publikacja w „wysoko punktowanym czasopiśmie”. Aktualna punktacja czasopism w wielu wypadkach jest nieadekwatna do ich real-

nej wartości i roli w komunikacji naukowej. Dotyczy to zarówno czasopism MDPI, ale też licznych czasopism wydawanych w Polsce. I tam, i tu obserwujemy różnorakie „spółdzielnie autorskie”, zupełnie niezaangażowane od strony naukowej w dany temat, ale chcące sobie „sprytnie” załatwić daną publikację. Ideą przewodnią takiej „współpracy” bywa uzyskanie przez możliwie największą liczbę autorów, możliwie największej liczby punktów. Chyba właśnie tego typu zjawiska wyrządzają największą szkodę polskiej nauce. Ich byt wynika z jednej strony z przeszacowania punktacji niektórych czasopism (co wyrządza krzywdę także im samym). Wydaje się, że problem by zniknął, gdyby klasyfikowano je na poziomie 40–70 punktów (co też pomniejszałoby dyskomfort autorów chcących tam publikować). Z drugiej strony geneza tych zjawisk bierze się także z rzeczonej „kultury punktowej” w polskich środowiskach naukowych.

Chyba jedną z najbardziej irytujących bywa sytuacja, kiedy współautor na początku współpracy nie tyle koncentruje się na temacie, ile raczej na wyliczeniach, gdzie opublikować i ile punktów wypadnie na daną osobę. Następnie owe punkty są szczegółowo dopasowywane do

różnorakich „slotów” i wszelakich innych potwornych (z perspektywy naukowców) wskaźników.

Można zrozumieć argumentację, że w obecnym systemie punkty determinują zatrudnienie na uczelni, że taka jest rzeczywistość, ale... problem tkwi w proporcjach. Wydaje się bowiem, że przy w miarę aktywnej działalności naukowej (choć i tu wiele zależy od specyfiki konkretnych dyscyplin i specyfiki konkretnych tematów badawczych) owe niezbędne do wszystkich biurokratycznych potrzeb punkty niejako wypełniają się same, jako prosty skutek publikowania. Tym bardziej, że minimalna, wymagana w uczelniach liczba punktów które mają uzyskać poszczególni naukowcy (z perspektywy ich rozliczeń z pracodawcą) jest zwykle bardzo niska. Główny problem polega więc na proporcjach: nadmiernym przywiązywaniu wagi do spraw pozanaukowych.

Środowiska naukowe przez lata musiały radzić sobie z różnymi wyzwaniami i zagrożeniami. Wymagało to ogromnej determinacji, czasem narażania własnego życia. Na tym tle współczesne zagrożenie „punktozy” jawi się jako zdecydowanie mniej problematyczne. Niezależnie od niesprzyjających ram prawnych i ogólnej sytuacji – to właśnie od samych naukowców zależy, czy uda się im z tym wyzwaniem skutecznie zaważczyć, czy też nie.

Dr hab. Maciej J. Nowak, prof. ZUT, kierownik Katedry Nieruchomości Wydziału Ekonomicznego Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie

Czy wzmocnienie pozycji polskiej nauki jest realne?

Analizy na podstawie rankingu World's TOP2% Scientists 2022

Wskaźniki bibliometryczne powinny być metryką naukową przedstawianą przy staraniu się o środki na badania naukowe, a w przyszłości także we wnioskach o awanse. Same wykazy publikacji i „czysty” indeks h to zbyt mało, aby rzetelnie ocenić dorobek naukowy wnioskującego czy kandydata.

Funkcjonowanie i ocena współczesnej nauki opierają się obecnie na szeroko rozwiniętej ewaluacji i tworzeniu rankingów czasopism oraz podmiotów nauki (ośrodków naukowych, naukowców) zarówno w skali globalnej, jak i tej malej – narodowej, praktycznie w każdej dyscyplinie wiedzy. Z tego względu wprowadza się różne mierniki takich ocen oparte na cytowalności, która została uznana za obiektywną miarę jakości czasopism/publikacji, a przez to również jakości i prestiżu pracy naukowej. Źródłowe bazy danych, np. Science Citation Index (SCI) i Impact Factor (IF – nota bene powstał już w 1960 r.), odnoszące się do czasopism naukowych, opisano w pracy A. Osiewalskiej *Mierniki oceny czasopism i naukowców* (EBIB, 8/2008, 99). Mierników ocen bibliometrycznych (nazywanych popularnie indeksami cytowań) indywidualnej i zbiorowej pracy naukowej, które opierają się na gromadzonych informacjach w wyspecjalizowanych bazach danych, jest wiele, ponieważ trudno uwzględnić wszystkie czynniki występujące w ocenie cytowalności indywidualnej.

W 2005 r. Hirsch zaproponował, aby wpływ publikacji naukowych mierzyć w odniesieniu do liczby wydanych publikacji za pomocą indeksu h , uwzględniając **największą liczbę** artykułów, które są cytowane h lub więcej razy. Z czasem, ze względu na łatwość oceny, h -indeks stał się bardzo popularnym wskaźnikiem bibliometrycznym, a obecnie jest używany do prezentacji dostrzegalności, znaczenia i ważności szerokiego grona indywidualnych naukowców, dyscyplin naukowych, uczelni i instytutów naukowych czy nawet krajów. Z tego powodu h -indeks został zaimplementowany do bazy ISI Web of Science (WoS) przez Thomson Scientific, która jest podstawową, obok bazy Scopus, zalecaną przez Ministerstwo Edukacji i Nauki. Trzecią bardzo popularną bazą jest Google Scholar, która korzysta z wyszukiwarki Internetowej Research Gate (RG) na platformie Google.

W ujęciu praktycznym Hirsch sugerował, że osiągnięcie indeksu $h \approx 20$ po 20 latach pracy badawczej oznacza suk-

ces naukowy, natomiast wysoki indeks $h \approx 40$ wskazuje już na wybitnych naukowców pracujących w ważnych laboratoriach badawczych. Z kolei indeks $h \approx 12$ może wystarczyć do utrzymania stanowiska naukowego, co w zasadzie pokrywa się z wymaganiami jednostek w kraju uprawnionych do nadawania stopnia doktora habilitowanego i występowania o nadanie tytułu naukowego profesora.

Należy wyjaśnić, że wartość wskaźnika h jest w różnych źródłach/bazach inna, odpowiednio do różnego zasobu tych baz. SCOPUS ma większy udział publikacji konferencyjnych, Web of Science ma silniejszą reprezentację artykułów z czasopism, natomiast w bardzo użytecznym zasobie Google Scholar wskaźnik h jest wyliczany przez program *Publish or Perish*. Z tego względu wartość wskaźnika h w bazach Google Scholar, SCOPUS i Web of Science różni się w zależności od dziedziny nauki (W. Grzesik, *Jak można właściwie ocenić indywidualny wkład naukowy w publikacjach wieloautorskich na podstawie danych bibliometrycznych*, „Mechanik” 03/2023).

Od kilku lat ważnym źródłem pozyskiwania danych i wskaźników bibliometrycznych jest w odniesieniu do indywidualnych naukowców, dyscyplin naukowych, uczelni i instytutów naukowych czy całych krajów The World's Top 2% Scientists List (TOP2% ranking), utworzony wspólnie przez Uniwersytet Stanforda i wydawnictwo Elsevier. Lista obejmuje prawie 200 tys. nazwisk naukowców ze wszystkich dziedzin i dyscyplin naukowych z całego świata naukowego. Polska grupa reprezentowana jest przez ponad 1000 osób.

Analiza pod względem liczności grup krajowych

W pierwszej kolejności ocena stanu polskiej nauki zostanie dokonana na podstawie zestawienia krajów europejskich i niektórych krajów spoza Europy liczących się w nauce na poziomie światowym. W tab. 1 zestawiono miejsca, które te kraje zajęły w rankingu TOP2% za 2021 r. w kategorii kariery nauko-

Tabl. 1. Zestawienie krajów w rankingu TOP2% opublikowanym za 2021 r. w kategorii kariery naukowej pod względem liczby osób (opracowanie własne autora na podstawie bazy danych Authors_career_2021_pubs_since_1788_wopp_extracted_202209b.xlsx).

Pozycja w rankingu	Kraj EU	Liczba osób	Pozycja w rankingu	Kraj	Liczba osób
1	W. Brytania	17986	10	Belgia	1765
2	Niemcy	10560	11	Finlandia	1303
3	Francja	6283	12	Austria	1245
4	Włochy	5300	13	Norwegia	1252
5	Holandia	4026	14	Polska	1005
6	Szwajcaria	3140	15	Grecja	878
7	Szwecja	3107	16	Portugalia	514
8	Hiszpania	3029	17	Czechy	460
9	Dania	1954	18	Węgry	349
Świat: USA – 78899, Japonia – 7629, Chiny – 7692					

Tab. 2. Lista wskaźników bibliometrycznych, które wykorzystano do oceny bieżącej pozycji Polski w świecie naukowym (opracowanie własne autora).

Symbol	Nazwa angielska	Odpowiednik polski
np6021 rank (ns)	rank based on composite score (self-citation excluded) for papers 1960-2021	ranking oparty na wyniku mieszanym z publikacji wydanych w okresie 1960-2021 (bez autocytowań)
h_{21} (ns)	h-index as of end-2021	h-indeks na koniec 2021 r.
h_{m21} (ns)	h_m -index of end-2021	h_m -indeks na koniec 2021 r.
nps(ns)	number of single authored papers (self-citation excluded)	liczba artykułów indywidualnych (bez autocytowań)
ncs(ns)	total cites to single authored papers (self-citation excluded)	łącna liczba cytowań artykułów indywidualnych (bez autocytowań)
npsf(ns)	number of single+first authored papers (self-citation excluded)	liczba artykułów indywidualnych+na pierwszym miejscu (bez autocytowań)
ncsf(ns)	total cites to single+first authored papers (self-citation excluded)	łącna liczba cytowań artykułów indywidualnych+na pierwszym miejscu (bez autocytowań)
nc6021	number of distinct citing papers/number of papers 1960-2021 that have been cited at least one	liczba najważniejszych cytowanych artykułów/liczba artykułów opublikowanych w latach 1960-2021 cytowanych co najmniej 1 raz.
sfc%	self-citation percentage	udział cytowań własnych
c(s)	composite score	zbiorczy/łącny wskaźnik
nc9621(ns)	total cites 1996-2021 (self-citations excluded)	całkowita liczba cytowań w 1996-2021
npciting(ns)	number of distinct citing papers (self-citations excluded)	liczba ważnych artykułów bez autocytowań

wej pod względem liczby osób legitymujących się wymaganą liczbą cytowań i związaną z nimi wskaźnikami bibliometrycznymi. Założono, że ta kategoria jest bardziej reprezentatywna od kategorii za cytowania roczne ze względu na zauważalną fluktuację osób (choć ich liczba w zestawieniach rocznych jest porównywalna). Należy dodać, co będzie rozwinięte w dalszej części artykułu, że nie tylko bezwzględna liczba/częstotliwość cytowań, lecz także ich struktura, m.in. publikowanie artykułów indywidualnych i odpowiednio duży udział w publikacjach wieloautorskich, decydują o zajętej w tym rankingu pozycji.

W tab. 1 widać wyraźnie, że wyższa pozycja Polski w tym rankingu nie jest możliwa w najbliższej przyszłości, jeśli wziąć pod uwagę ciągle zmiany strukturalne i niepewność finansowania projektów badawczych, a może najsłabszą kondycję przemysłu, który mało korzysta z osiągnięć rodzimej nauki i nie jest (co z przykrością stwierdzam) na większą skalę zainteresowany autentyczną współpracą naukową i wdrożeniową. Nowoczesny i innowacyjny przemysł albo w Polsce nie istnieje w ogóle (vide przemysł motoryzacyjny, stoczniowy), albo jest własnością koncernów zagranicznych (vide przemysł lotniczy). Gremia opiniotwórcze, np. w NCN, nie są w stanie nadążyć za postępem naukowym w UE, nie mówiąc o skali globalnej (pozycja Polski jest tego niezbitym dowodem, ponieważ to jest podstawowe źródło finansowania i kreowania polityki naukowej). Należy też wspomnieć o słabej reprezentacji członków RDN w rankingu TOP2%, co również w jakimś stopniu decyduje o jakości kadry naukowej.

Polska może być porównywana, chociaż też wyraźnie na niekorzyść, jeśli uwzględnimy liczbę ludności, z czterema krajami w poz. 15-18, w tym z partnerami z Grupy Wyszehradzkiej (wg danych za 2021 r. Czechy mają 10,51 mln, a Węgry 9,71 mln ludności). Czy to może być powód do dumy? Wąt-

pie. Z własnego doświadczenia wiem, że organizacja instytucji naukowych w tych krajach jest bardziej efektywna, stąd naukowcy z tych krajów są dostrzegani w UE (wielu pracuje w instytucjach naukowych w Niemczech i Szwajcarii). Dorównanie krajom skandynawskim czy Beneluksu nie jest możliwe nawet w perspektywie najbliższej dekady.

Co więc można stwierdzić odnośnie do przyczyn takiego stanu i tracenia dystansu w rywalizacji naukowej przez polskich naukowców? Z drugiej strony słyszy się o bardzo korzystnych wynikach ewaluacji i przyznawania większości uczelni najwyższych kategoryzacji. Czy ktoś z wpływowych gremiów mających wpływ na zarządzanie i finansowanie nauki traktuje te związki poważnie, a nawet czy bierze je w ogóle pod uwagę? Przecież taką rolę ma pełnić PAN, ale kondycja instytutów naukowych w tej instytucji nie wypada dobrze na tle uczelni i wyraźnie widać regres w aspekcie „odtwarzalności” kadry naukowej.

Analiza pod względem wskaźników bibliometrycznych

W tej analizie uwzględniono podstawowy wskaźnik bibliometryczny, tj. indeks h oraz inne mierzalne wskaźniki zestawione w tab. 2. Wykorzystano je do oceny bieżącej pozycji Polski w świecie naukowym i wykazania powodów zbyt dużego dystansu do czołowych krajów, ale także do krajów o dużo mniejszej liczbie ludności zestawionych w tab. 1. I to jest najbardziej niepokojącym zjawiskiem. Przykładem mogą być takie kraje jak Szwajcaria, Holandia, Belgia czy nawet Czechy i Węgry (biorąc pod uwagę prawie czterokrotnie mniej ludności).

Z danych zestawionych w tab. 3 wynikają następujące wnioski ważne dla praktyki naukowej:

- Struktura cytowań polskich naukowców jest inna niż dla całego rankingu TOP2%. Widać wyraźne przesunięcie prze-

Tab. 3. Zestawienie wartości indeksu h wg danych źródłowych Authors_career_2021_pubs_since_1788_wopp_extracted_202209b.xlsx) (opracowanie własne).

Przedział wartości	Ogólnie w rankingu	Dane dla Polski
Powyżej 200	21	0
100 – 199	2034	1
50 – 99	39394	55
40 – 49	33328	76
30 – 39	48944	157
20 – 29	48894	376
10 – 19	21131	315
5 – 9	1204	22
Poniżej 5	35	0

działów o największej liczności z 20-99 do niższych wartości 10-29, co musi skutkować w niższych pozycjach w rankingu.

– Najczęstszy zakres cytowań w przedziale 20-29 to dla Polski prawie 40%, a dla całego rankingu to ok. 25%. Udział liczby cytowań w przedziale 40-99 to dla Polski tylko 12%, a w całym rankingu to ok. 36,5%.

– Wydaje się, że znalezienie się na stałe w rankingu wymaga wygenerowania indeksu Hirscha ok. 20. Wartości poniżej oznaczają orientacyjnie lokalizację na miejscach powyżej 17000(18000). Należy zauważyć, że średni indeks w rankingu to $h = 38,15$, a dla Polski to znacznie poniżej, ok. 26,3.

– Elitarna grupa 21 naukowców z najwyższym indeksem h pochodzi z USA, Szwajcarii, Japonii, Wielkiej Brytanii, Francji i Kanady. Ale aż 15 osób pochodzi z USA, w tym 7 osób jest zatrudnionych na Uniwersytecie Harvarda. Maksymalny wykazany indeks $h = 299$ (284 bez autocytoowań) jest przypisany prof. W.C. Willettowi właśnie z tego uniwersytetu, natomiast z Polski jedyny indeks powyżej 100, czyli $h = 131$ (122 bez autocytoowań), należy do prof. P. Ponikowskiego z Wrocławskiego Uniwersytetu Medycznego.

W moich artykułach na ten temat posiłkuję się indeksem h_m , a właściwie jego wartością odniesioną do roku oceny, tj. h_{m21} . Wykazałem, że jednym ze sposobów zapobiegania niekorzystnym zjawiskom „cytomanii” i „ h -indeksomanii” jest posługiwanie się właśnie zmodyfikowanym wskaźnikiem Hirscha h_m , który uwzględnia liczbę współautorów w artykule (co-authorship-adjusted h_m -index). Należy wspomnieć, że czyniono także próby odniesienia indeksu h do średniej liczby współautorów czy podzielenie w prosty sposób liczby cytowań przez liczbę autorów każdego artykułu. Indeks h_m jest obecnie dostępny jako jeden ze wskaźników bibliometrycznych/naukometrycznych w arkuszu kalkulacyjnym Excel popularnego rankingu TOP2% Elseiera i Uniwersytetu Stanforda. Dodatkowo ranking pozwala na jego estymację w odniesieniu do cytowań bez tzw. autocytoowań (self-citation), co również przyczynia się do uwierzytelnienia indywidualnych osiągnięć naukowych. Ponieważ dane te są łatwo dostępne w Internecie, nic nie stoi na przeszkodzie, aby korzystać z nich autorzy, kandydaci do awansów naukowych i recenzenci. Przecież informatycy (informetrics – informetria) i naukometrycy.

Z danych zestawionych w tab. 4, pogrupowanych w kilku przedziałach wartości indeksu h_m , wynikają następujące wnioski praktyczne:

– Struktura cytowań polskich naukowców jest dla tego wskaźnika podobna jak dla całego rankingu TOP2%. Widać, że dominanta mieści się w przedziale wartości 10-19,99, ale większy wskaźnik udziału indywidualnego może skutkować w wyższych pozycjach w rankingu (zostanie to wykazane na przykładzie w kolejnej części artykułu).

– Najczęstszy zakres cytowań w przedziale 10-14,99 to dla Polski ponad 40%, a dla całego rankingu to ok. 30%. Udział

Tab. 4. Zestawienie wartości indeksu h_m wg danych źródłowych Authors_career_2021_pubs_since_1788_wopp_extracted_202209b.xlsx) (opracowanie własne autora).

Przedział wartości	Ogólnie w rankingu	Dane dla Polski
100 – 115	9	0
50 – 99,99	1022	0
25 – 49,99	26808	37
20 – 24,99	30767	86
15 – 19,99	57947	238
10 – 14,99	60521	427
5 – 9,99	17375	214
do 4,99	533	4

liczby cytowań w przedziale powyżej 20 to dla Polski tylko 12%, a w całym rankingu to już ok. 29%.

– Jeśli uwzględnimy średnią wartość indeksów h i h_m dla całego rankingu (odpowiednio 38,15 i 18,05) oraz dla Polski (26,3 i 14,16), to średnia wartość wskaźnika udziału indywidualnego w_h , jako ilorazu h_m/h w publikacjach wieloautorskich jest zbliżona (odpowiednio 0,473 i 0,538; ale wyliczona jako średnia z wartości w kolumnie to nawet 0,58). Należy zauważyć, że w Polsce publikuje się więcej publikacji o mniejszym udziale współautorskim.

– Wydaje się, że znalezienie się na stałe w rankingu wymaga wygenerowania indeksu Hirscha h_m ok. 10. Wartości poniżej oznaczają orientacyjnie lokalizację na miejscach powyżej 17000(18000). Należy zauważyć, że średni indeks w rankingu to $h_m = 18,05$, a dla Polski to nieco mniej, ok. 14,16.

– Maksymalny wykazany indeks $h_m = 115$ (odpowiadający $h = 299$) jest przypisany prof. W.C. Willettowi z Uniwersytetu Harvarda, natomiast z Polski najwyższy indeks h_m ok. 45, odpowiadający indeksowi $h = 73$ (81 z autocytoowaniami) należy do prof. A. Stainbüchla z Politechniki Łódzkiej, ponieważ $w_h = 0,618$ (wspomniany prof. A. Ponikowski z Wrocławskiego Uniwersytetu Medycznego zajmuje w tym zestawieniu już 39 miejsce, ponieważ $w_h = 0,205$).

– Tendencję do grupowego publikowania z ekstremalnie małymi wskaźnikami h_m ilustrują dobrze dwa przykłady osób z Polski ze wskaźnikami $h = 91$ i 85, którym odpowiadają wskaźniki $h_m = 2,8$ i 6,1.

Kolejnym istotnym problemem sygnalizowanym w rankingu TOP2% są autocytoowania (sfc%). W grupie naukowców z Polski jest wykazanych 566 osób z udziałem autocytoowań powyżej 20% (czyli ponad połowa) i 56 osób (czyli ponad 5%) z udziałem powyżej 50%.

Moim zdaniem dane w formie wskaźników bibliometrycznych zawarte w tab. 5 powinny być **metryką naukową** przedstawianą przede wszystkim w staraniu się o środki na badania naukowe, a w przyszłości także we wnioskach o awanse naukowe. Same wykazy publikacji i „czysty” indeks h to zbyt mało, aby rzetelnie ocenić dorobek naukowy wnioskującego czy kandydata. Na przykład wskaźniki nps(ns), ncs(ns), c(s) i sc% powinny być obligatoryjnie brane pod uwagę przy ocenie indywidualnego dorobku naukowego oraz oceny kierownika projektu badawczego (w tym przypadku pomocniczymi wskaźnikami powinny być ncsf(ns), ncfl (ns) i nc9621). Z danych wynika jasno, że miejsce w rankingu zależy w dużym stopniu od liczby indywidualnych publikacji (nps(ns)) i odpowiadających im cytowań (ncs(ns)) (patrz tab.1). Można zauważyć, że pozycja w rankingu określana jest na podstawie wartości wskaźnika zbiorczego (composite score) o symbolu c(s). W przykładzie, który podaję w przywołanym na początku artykule („Mechanik” 3/2023), osoba z indeksem $h = 35$, ale bez indywidualnych publikacji ($h_m = 15,7$) jest klasyfikowana w rankingu na 177546

Tab. 5. Zestawienie wartości wskaźników bibliometrycznych dla autora artykułu wg danych źródłowych Authors_career_2021_pubs_since_1788_wopp_extracted_202209b.xlsx) (opracowanie własne autora). Wartości po ukośniku dotyczą uwzględnienia autocytoowań.

Wskaźnik	h	h _m	nps(ns)	ncs(ns)	npsf(ns)	ncsf(ns)	ncfl(ns)
Wartość	29/31	20,778/ 22,1444	36/36	1034/ 1187	98/98	2321/ 2684	2346/ 2718
Miejsce w rankingu	52757/ 51740	55781/ 54930	16887	16789	14558	40078	109864
Miejsce w rankingu (pol)	295	118	103	43	115	99	277

c(s)	sfc%	npciting (ns)	nc9621(ns)	np6021
3,6765/ 3,7348	14,65	2100	2605/3052	122
52757/ 51740	124328	146434	148066/ 148033	124360
117	749 (max – min)	419	437/479	609

miejscu. Natomiast osoba z indeksem h = 29 wykazana w tab. 5 zajmuje 52757 miejsce, ponieważ ma znaczący udział cytowań z publikacji indywidualnych.

Warto ten fakt wziąć pod uwagę nie tylko przez naukowców starających się za wszelką cenę zwiększać swój indeks h, ale także gremiów i recenzentów oceniających indywidualne osiągnięcia naukowe (często niestety bezkrytycznie). Z kolei wpływ autocytoowań nie jest znaczący, ale widoczny – z 51740 na 52757 miejsce dla przykładu z tab. 5.

O sprawach etyki naukowej, która nierozdzielnie towarzyszy każdej działalności naukowej (a zgodnie z zapisem ustawy nawet powinna), pisałem gdzie indziej. Zacytuję ustawę, art. 3.2: „System szkolnictwa wyższego i nauki funkcjonuje z posza-

nowaniem standardów międzynarodowych, zasad etycznych i dobrych praktyk w zakresie kształcenia i działalności naukowej oraz z uwzględnieniem szczególnego znaczenia społecznej odpowiedzialności nauki”.

Można jednak obiektywnie stwierdzić, że wielowskaźnikowa ocena osiągnięć publikacyjnych i ich wpływu na naukę (ranking określany jest jako **prestiżowa lista najbardziej wpływowych ludzi nauki na świecie, których publikacje są najczęściej cytowane przez innych autorów**), wskazująca mocne i słabsze strony dorobku naukowego, przyczyni się do przestrzegania dobrych obyczajów w nauce i etyki naukowej.

Prof. dr hab. inż. Wit Grzesik, Wydział Mechaniczny Politechniki Opolskiej



Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2023 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”, Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2023 roku. Roczna prenumerata dla instytucji kosztuje 230 zł.

Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę, w związku z czym koszt prenumeraty wynosi 166 za cały rok.

Redakcja



O parametrycznej i eksperckiej ocenie pracy naukowej

Przyjęte w Polsce kryterium oceny artykułów naukowych poprzez punkty przypisane czasopismom i oparte na wskaźnikach bibliometrycznych, dobre w XX wieku, zupełnie nie wytrzymuje próby czasu i w XXI wieku jest już tylko cieniem dawnej, w miarę zobiektywizowanej oceny. Co więcej, jak wskazują najnowsze światowe badania naukometryczne, takie podejście może nie tylko prowadzić na manowce, ale być nawet szkodliwe w promocji nowości i w poprawnym rozwoju nauki.

Większość pracowników naukowych i nauczycieli akademickich ma dobrze ugruntowaną opinię na temat jakości aktualnej, parametrycznej oceny instytucji naukowych. W większości bardzo krytyczną. Zasadniczą przyczyną jest tu fakt, że system w miarę jednolity nie jest w stanie zadowolić tak zróżnicowanego grona ocenianych instytucji i osób.

Jak wiadomo, dyscypliny naukowe były oceniane w trzech kryteriach. Kryterium I dotyczyło poziomu naukowego lub artystycznego związanego głównie z publikacją artykułów naukowych, monografii, redakcji monografii i autorstwa rozdziałów w monografiach, a także przyznanych patentów na wynalazki. Kryterium II było związane z efektami finansowymi badań naukowych i prac rozwojowych mierzonymi na podstawie wysokości środków pozyskanych na projekty badawcze w ramach konkursów organizowanych przez instytucje unijne, zagraniczne, NCBR, NCN i NPRH oraz ich komercjalizacją i współpracą gospodarczą. Kryterium III dotyczyło wpływu działalności naukowej na funkcjonowanie społeczeństwa i gospodarki poprzez analizę związku między badaniami a funkcjonowaniem lokalnej administracji, ochrony zdrowia, kultury itp.

Jednak najważniejszym elementem tej oceny, wzbudzającym najwięcej emocji, jest ocena jakości publikacji. W niniejszym artykule skupiamy się na analizie tego kryterium pod kątem ustalenia, w jakim stopniu wiarygodna jest teza, że analizę publikacji wyników badań naukowych można sprowadzić do parametrycznej oceny „prestżu” czasopisma, w którym badania opublikowano jako efekt jego tzw. bibliometrycznych wskaźników. Przez „prestż” rozumiemy tu połączony wpływ czasopisma na światową naukę oraz niełatwe do zmierzania wymagania nowatorskości wyników publikowanego

artykułu stwarzane przez redaktora i dobranych przez niego recenzentów.

Jak wiadomo, wyniki parametryzacji za lata 2017-2021 prowadzonej dla lat 2019-2021 w nowy sposób, zgodnie z tzw. Konstytucją dla Nauki, doprowadziły do znaczącego „spłaszczenia” końcowych rezultatów parametryzacji mimo istotnego zróżnicowania punktacji czasopism (Kulczycki E., Jemielniak D., *Nie hukiem, ale skomleniem*, „Nauka” 4/2022). Problem ten przenosi się także z oceny instytucji naukowych na oceny wniosków awansowych w komisjach RDN, szczególnie habilitacyjnych, a także na polskie agencje grantowe. Sprawa decyzji odnośnie do sposobów ocen postępu i nowatorstwa w nauce jest zatem warta poważnej dyskusji i obserwowania aktualnych światowych trendów.

„Lista filadelfijska”, początki ocen bibliometrycznych i parametrycznych w Polsce

Mimo iż za pierwsze poważne czasopismo naukowe można uznać „Journal of Royal Society”, to jednak początek największego rozkwitu klasycznej formuły czasopism naukowych działających w systemie peer reviewing przypada na lata 60. XX wieku. W Polsce jeszcze wtedy prym wiodły tzw. czasopisma PAN-owskie, w których system recenzji był na ogół twardy, choć ograniczony do osób z polskiego kręgu badaczy, co jest zrozumiałe, gdyż zdecydowana większość tych czasopism ukazywała się w języku polskim. W postępowaniach habilitacyjnych, mimo iż ograniczone były na ogół do środowisk naukowych skupionych wokół rad naukowych z określonymi uprawnieniami (wsparte na prawie weta Centralnej Komisji), wysoko oceniane były publikacje czasopism PAN. Do rzadkości należało publikowanie w zagranicznych periodykach. Podkreślić

jednak należy, że bywały dziedziny badań, w których praktyka wysyłania wyników do czasopism zagranicznych była częstsza. Zdarzało się i tak, że polskie badania niespecjalnie usteępowały wynikom światowych. Na przykład zanim do praktyki inżynierskiej włączone zostały maszyny cyfrowe, wyniki analityczne polskich badaczy (np. szkoły Witolda Nowackiego w obszarze mechaniki budowli lub szkoły Wacława Olszaka w zakresie teorii plastyczności) były powszechnie uznawane, do tego stopnia, że jeszcze na początku lat 70. w wielu czytelnikach światowych uczelni, np. w Berkeley University oraz na Politechnice w Mediolanie, na półkach bibliotek leżało wydawane w języku polskim „Archiwum Inżynierii Lądowej”. W miarę upływu czasu czasopisma PAN-owskie przechodziły na język angielski, a niektóre z nich nawet dostawały się do obiegu Science Citation Index, czyli na tzw. listę filadelfijską, listę cytowań artykułów prowadzoną przez Instytut Filadelfijski.

Należy dodać, że w owym czasie wejście czasopisma do obiegu Science Citation Index poprzedzone było skrupulatną analizą treści artykułów, ich poziomu, składu kolegium redakcyjnego itp. Najpierw czasopismo dostawało się na rozszerzoną listę Science Citation Index Expanded. Dopiero po kilku latach przechodziło na zwyczajną, węższą listę Science Citation Index. Umieszczenie publikacji w którymś z prestiżowych periodyków było dużym osiągnięciem, szczególnie dla badaczy z Polski. Nic dziwnego zatem, że jeszcze w latach 80. i 90. kilka takich publikacji zestawionych w formie monotematycznego cyklu wystarczało, aby można było zrobić awans habilitacyjny. Często recenzenci dorobku nie musieli szczególnie przenikliwie „prześwietlać” dorobku habilitanta, zakładając, w większości przypadków najzupełniej słusznie, że zrobili to recenzenci wskazani przez redaktorów czasopism. Ograniczenie objętości szpalt drukowanego czasopisma powodowało, że na jeden opublikowany artykuł przypadało 2-3, a często dużo więcej odrzuconych. Odrzucanie artykułów często nie wynikało z faktu, że przysyłane wyniki były błędne, ale z tego, że zdaniem recenzenta były banalne, nieciekawe lub nudne. Do połowy lat 90., czyli do czasu upowszechnienia sieci World Wide Web, taka ostra selekcja powodowała, że cykl publikacji „journalowych” w uznanych na świecie czasopismach (indeksowanych przez Science Citation Index), a zgłaszany jako „dzieło habilitacyjne”, z dużym prawdopodobieństwem spełniał wysokie wymagania oryginalności wyników.

Wielka inflacja publikacyjna i jej wpływ na rozwój nauki

Na początku rozwoju Internetu, czyli już od roku 1995, pojawił się pomysł, aby czasopisma miały swoje strony internetowe, na których można by bezpośrednio odczytywać artykuły naukowe. Jednocześnie Instytut Filadelfijski razem z Thompson Scientific dołączył do Reuters Corporation, w której uznano, że zjawisko rozszerzania bazy czasopism ma korzystne właściwości, poprawiając statystyki wskaźników bibliometrycznych, szczególnie dla wąskich dziedzin badawczych. Ostre warunki wejścia czasopisma do Science Citation Index stawały się coraz łagodniejsze, pojawił się indeks konferencji Web of Science itp., a także konkurencja w postaci Scopus.

Liczba nowo powstających czasopism, niekępowanych już wymogiem drukowania, przyrastała w ogromnym tempie. Wszystkie te czasopisma potrzebowały dobrych recenzentów, o których było coraz trudniej. Wymóg niebanalności i nowatorstwa wyniku zaczął być zastępowany wymogiem poprawności wyników. Kluczowym momentem w tym rozwoju bazy publikacyjnej było pojawienie się w 2006 roku czasopisma non-profit „PLoS One” (Public Library of Sciences), które przecierało szlaki wolnego dostępu do artykułów i w roku 2010 zna-

lazło się już w Science Citation Index. Wkrótce świat naukowy został zalany czasopismami „open access”, od bardziej wymagających, poprzez mniej wymagające, aż po czasopisma wręcz oszukańcze, tzw. predatory journals. Niestety często granica między predatory journals i uczciwymi czasopismami, choć o zmniejszonych wymaganiach, była rozmyta. Od początku było jasne, że tzw. IF (Impact Factor), będący miarą liczby cytowań artykułów danego czasopisma, bardzo mocno zależy od „ruchliwości” cytowań w danej dyscyplinie badawczej, a nawet poddyscyplinie. Wobec tego analizy wykorzystujące IF jako miary „prestżu” czasopism zaczęto ograniczać do danej dyscypliny. Jednak w niedługim czasie pojawiły się tzw. megajournale łączące różnorodne dyscypliny. Artykuł „skazany” na niski IF, gdy był wysłany do czasopisma w swojej wąskiej, specyficznej dziedzinie, zyskiwał na IF w megajournalu, w którym oprócz np. inżynierii mechanicznej publikowano także wyniki ze znacznej z dużej liczby cytowań chemii.

Już czasopismo „PLoS One” spełniało cechy megajournala pokrywającego maksymalny możliwy obszar naukowy. Do grona nowych czasopism otwartego dostępu dołączyły inne organizacje, w tym ChRL z ogromnym „rynkiem naukowym” i koncernem MDPI. Nie dość, że czasopisma MDPI ściągnęły duże liczby cytowań, to jednocześnie wprowadziły na rynek publikacyjny czasopisma o cechach typowych, „samonapędzających” się megajournali, jak np. „Energies”, „Materials” lub „Sensors”. Pandemia lat 2020-2022 dopełniła dzieła inflacji. Niedoszli uczestnicy światowych konferencji naukowych przenieśli znaczące środki wyjazdowe na koszty publikacji w czasopiśmie open access, często o obniżonych kryteriach dostępu. Przepływ publikacji do płatnych czasopism otwartego dostępu pojawił się także w wydawnictwie Elsevier. Niektóre czasopisma zakładały dodatkowo, płatne już wersje o obniżonych kryteriach, w których odrzucony artykuł mógł już być przyjęty do publikacji po wpłaceniu znaczącej kwoty. Przykładem może być czasopismo Elsevier „Case Studies in Construction Materials” (100 p. MNiSW, SCIMAGO = 36) pobierające 1800\$ za publikację. Gdy czasopismo to się pojawiło, było reklamowane na stronie internetowej swojego poważniejszego odpowiednika „Engineering Structures” jako czasopismo drugiego wyboru dla autorów prac odrzuconych przez „Engineering Structures”.

W roku 2021 w prestiżowym amerykańskim „Proceedings of National Academy of Sciences” (PNAS) ukazał się artykuł Johana S. Chu i Jamesa A. Evansa *Slowed canonical progress in large fields of science* wskazujący na długofalowe, negatywne skutki niekontrolowanego przyrostu liczby publikacji (por. także raport Karen White, *Publications Output: U.S. Trends and International Comparisons, Report, Science & Engineering Indicators*, 2021). Chu i Evans przeanalizowali ogromną liczbę ponad 90 milionów artykułów opublikowanych w latach 1960-2014 i 1,8 mld cytowań w 241 obszarach tematycznych, dowodząc bardzo niepokojącej tezy, że w miarę znaczącego przyrostu liczby artykułów naukowych cytowania przyrastają głównie artykułom już uznanym, utrudniając przebijanie się nowatorskich idei oraz nowych wyników. Zasadniczym efektem „kultu” bibliometrii wśród badaczy, szczególnie tych młodych, okazało się, zgodnie z wynikami badań Chu i Evans, „skostnienie” systemu cytowań mnożącego ponad rozsądną miarę cytowania istniejących i uznanych wyników naukowych. We wnioskach Chu i Evans ostrzegają agencje grantowe i stypendialne przed nadużywaniem metodologii bibliometrycznej, która niedługo sama w sobie może stać się hamulcem postępu. Petryfikacja istniejącej wiedzy i blokowanie nowych idei to dokładnie odwrotny trend od oczekiwań polskich zwolenników listy światowych czasopism, gdy podejście to było promowane w Polsce na początku lat 90. XX wieku. Wtedy to dumnie zapowiadano,

że w ocenie wniosków awansowych oraz polskich instytucji naukowych należy odejść od publikacji artykułów naukowych i monografii habilitacyjnych w lokalnych polskich wydawnictwach oraz wydawanych w Polsce tzw. książek profesorskich o nikłym oddźwięku w nauce światowej.

Polska parametryzacja z lat 2017-2021

Parametryzacja z lat 2017-2021 opiera się na punktacji czasopism przygotowanej dla różnych dziedzin i wykorzystującej tzw. CiteScore, indeks cytowalności czasopism przy użyciu bazy danych ScienceDirect – Scopus. W większości przypadków indeks ten dobrze odzwierciedla tendencję do cytowania danego autora. Ma jednak jedną bardzo istotną wadę. Jak wiadomo, nie każde cytowanie jest równie znaczące. Cytowanie pochodzące z artykułu z małego, mniej znanego czasopisma ma inną rangę niż cytowanie z któregoś z najbardziej znanych i prestiżowych czasopism.

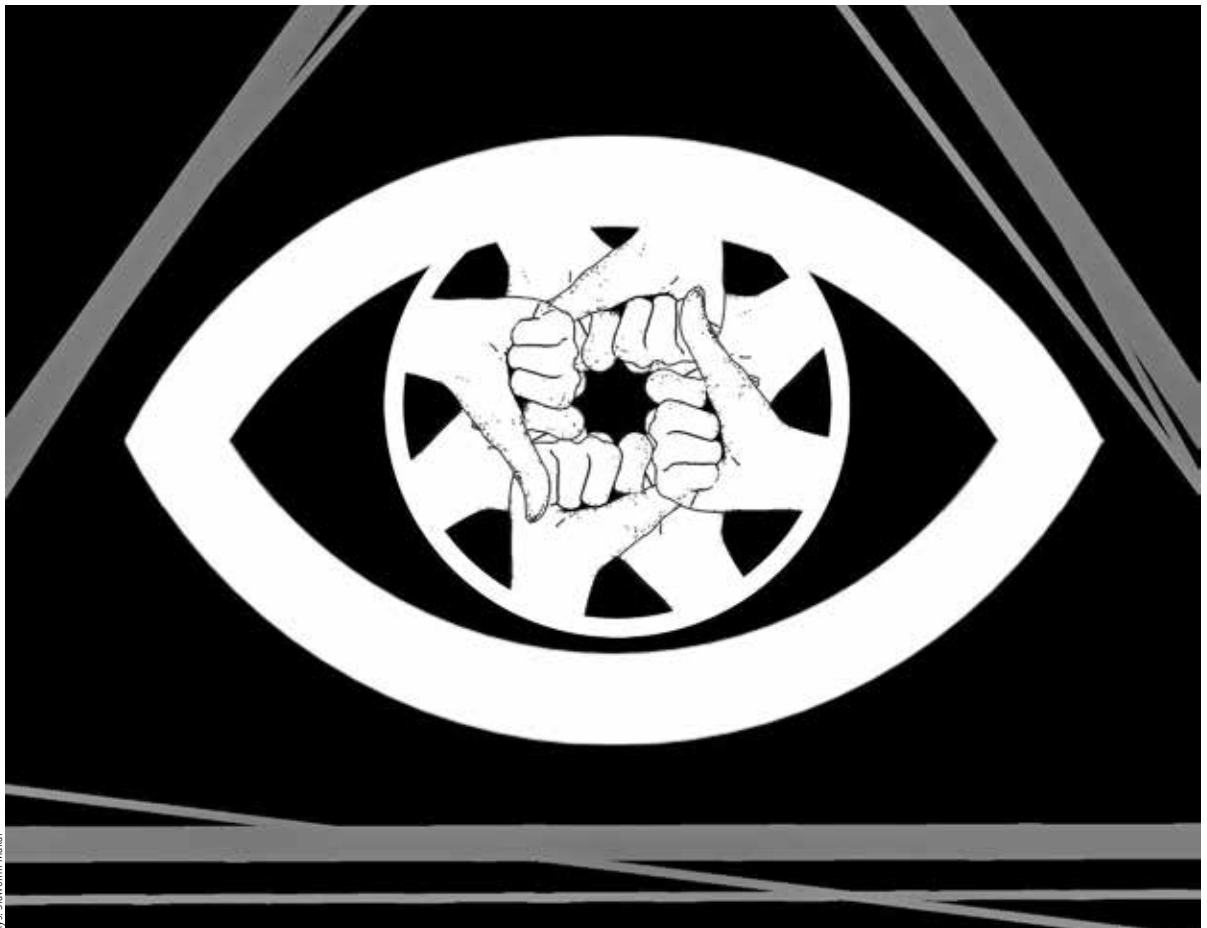
Wady tej pozbawiony jest bardzo dobry indeks Scimago, wyliczany na podstawie „ważonych” cytowań zależnych od IF cytującego czasopisma. I rzeczywiście indeksy Scimago dużo lepiej oddają „prestż” czasopisma niż CiteScore. Zupełnie niewytłumaczalne jest to, dlaczego twórcy listy czasopism MNIŚW zamiast indeksu Scimago wybrali indeks CiteScore. Scimago nie jest idealny, ale na pewno lepszy od CiteScore. Można to zilustrować następującym przykładem. Dla prestiżowego czasopisma „Bulletin of the Seismological Society of America” (BSSA) indeks CiteScore pokazuje niższą wartość niż dla mniej prestiżowego, ale bardziej „ruchliwego” w cytowaniach czasopisma „Seismological Research Letters” (SRL). Efekt ten jest odzwierciedlony w liście czasopism MNIŚW, na której poważniejsze BSSA ma 100p, a SRL 140p. Teoretycznie Komisja Czasopism powinna była korygować takie oczywiste błędy. Mimo to podobnych

przykładów można znaleźć więcej. W tym sensie oparcie listy publikacji na indeksie Scimago znacznie poprawiłoby wiarygodność punktacji Listy Czasopism MNIŚW.

Czy bibliometria może wystarczyć w ocenie publikacji?

Ostatnio ocena jakości publikacji oparta głównie na współczynnikach impact factor czasopism, w których ukazują się te artykuły, jest mocno krytykowana, nawet względem tych bardzo uznanych czasopism naukowych. Istnieją wyniki poważnych, choć paradoksalnie wyglądających badań, wskazujące na to, że artykuły częściej odrzucane przez czasopisma o najwyższych IF poddawane są bardziej skrupulatnym, wielokrotnym recenzjom, i gdy po kilku niepowodzeniach w końcu przechodzą do czasopism niższych w hierarchiach bibliometrycznych, to mają już zdecydowanie wyższy poziom. Powstaje zatem zasadne pytanie, na ile można jeszcze w ogóle polegać na indeksach bibliometrycznych w ocenie jakości publikacji.

Jak wiadomo lista czasopism MNIŚW wyprowadzona głównie z indeksu *CiteScore* i poddawana corocznej aktualizacji podlegała dodatkowo naciskom, najpierw wśród członków zespołów czasopism przy MNIŚW, a potem, także ze strony Ministra. W obydwu przypadkach promowano albo branżowe priorytety członków Komisji Czasopism albo specyficzną politykę naukową Ministerstwa, polskie czasopisma itp. Nie dyskutując tu z zaletami i wadami tych tendencji można próbować ocenić skutki przyjęcia *CiteScore* oraz wspomnianych modyfikacji listy MNIŚW. Gdy dokładniej przyjrzeć się czasopismom z zakresu 100, 140, 200p to łatwo zauważyć, że wśród czasopism 100p znajdziemy bardzo trudne, uznane światowe czasopisma jak i mało znane polskie czasopisma lub zagraniczne czasopisma z lokalnego obiegu. W grupie czasopism 140p mamy



Rys. Sławomir Makal

np. znane megajournale MDPI o znacznie obniżonych wymaganiach oryginalności wyników (*Energies, Materials*) a wśród niektórych czasopism 200p także znajdują się tytuły, których prestiż i poziom jest podobny do wielu czasopism 100p.

Czy zatem przejście w punktacji czasopism z indeksu *CiteScore* na *Scimago* znacząco zmieniłoby tą sytuację prowadząc do bardziej zobiektywizowanej listy czasopism? Z dużą dozą prawdopodobieństwa można stwierdzić, że w wypadku większości czasopism tak by się stało. Każdy czytelnik może to sprawdzić wpisując na stronie internetowej *Scimago* (<https://www.scimagojr.com/>) kilka dobrze znanych sobie tytułów czasopism i porównać punktację *Scimago* z prywatnym odczuciem prestiżu tych czasopism. Ciekawym przykładem działania indeksu *Scimago* jest ocena czasopisma „Advanced Sciences” (Wiley), którego $IF=17.52$ (dane za rok 2021) umieszcili w naszej ministerialnej punktacji praktycznie automatycznie w kategorii czasopism 200p. Tej imponującej wartości *Impact Factor* towarzyszy bardzo już umiarkowana wielkość *Scimago*=128, pasująca raczej do czasopism 100 lub 140p. Gdy zastosujemy indeks *Scimago* do innych megajournali, to mimo wszystko zauważamy, że tak oczekiwanego pełnego obiektywizmu w ocenie prestiżu indeks ten jednak nie pozwala osiągnąć. Widać to szczególnie względem megajournali *MDPI*. Aby się przekonać o niższych wymaganiach tych czasopism wystarczy przejrzeć polskie publikacje opublikowane w 140p journalach MDPI i zauważyć, że obok zupełnie dobrych, a nawet bardzo dobrych artykułów można tam znaleźć nieproporcjonalnie wiele pod każdym względem słabych publikacji. Może zatem liczba artykułów 200p poprawnie odzwierciedliłaby poziom wyników naukowych instytucji i pracowników naukowo-dydaktycznych. W tym miejscu pojawiają się jednak dwie przeszkody.

Po pierwsze, w niektórych dyscyplinach brak jest czasopism 200 p. będących w zasięgu wszystkich autorów pracujących we wszystkich poddyscyplinach. Tak jest np. w znanej autorom niniejszego artykułu inżynierii lądowej, nie ma tu ani jednego czasopisma 200 p. w całości należącego do tejże inżynierii lądowej (jedyne 200 p. czasopismo „Cement and Concrete Research” należy w zasadzie do inżynierii materiałowej i może być miejscem publikacji dla niewielkiej części badaczy z inżynierii lądowej).

Po drugie, wystarczy poczytać od czasu do czasu *Retraction Watch*, aby zauważyć, że fatalne praktyki, łącznie z plagiatami i innymi oszustwami, dotyczą wszystkich dziedzin i wszystkich czasopism, nawet „topowych”, wcale nie omijając czasopism uznanych przez MNiSW jako 200-punktowe. Skala upadku renomy „topowych” czasopism jest miejscami szokująca.

Powyższe rozumowanie prowadzi do nieuchronnego wniosku, że może lepiej w ocenie instytucji naukowych powrócić do dawnych, opisowych recenzji, które dzisiaj nazywa się opiniami eksperckimi. Przeciwnicy takiego podejścia wskazują, że takie oceny będą obciążone znaczącym subiektywizmem. Ocenianie osiągnięć instytucji naukowych mogłoby się wtedy stać polem bitwy polskich szkół naukowych, uczelni, wydziałów itp.

Czy jednak musi tak być? Pozostaje bowiem możliwość mieszanej oceny parametryczno-eksperskiej przy wykorzystaniu zagranicznych recenzentów. Z jednej strony wstępnej ocenie poddawano by artykuły z przypisaną liczbą punktów zależnych np. od współczynnika *Scimago*, z drugiej można by ocenie eksperckiej poddawać serie publikacji danej jednostki naukowej, podnosząc lub obniżając oceny w ramach pewnych widełek. Mogłoby to pozwolić na bardziej prawidłową ocenę słabszych publikacji w czasopismach o większej liczbie punktów

oraz dobrych publikacji w czasopismach o niższej liczbie punktów. Co więcej, niektórzy autorzy potrafią umiejętnie dzielić swój dorobek publikacyjny na fragmenty obejmujące elementy nowości w stopniu cząstkowym, np. po 30% nowego materiału w kilku kolejnych publikacjach. Inni autorzy mniej roztropnie raz na dwa lata zgłaszają pojedynczą publikację ze wszystkimi swoimi nowymi wynikami. Bez przeczytania kilku publikacji przez eksperta-recenzenta nie da się w żaden sposób tego ocenić. Mieszane oceny są stosowane w parametryzacjach w różnych krajach (np. w Wielkiej Brytanii, Norwegii lub Czechach). Najczęściej polega to po prostu na rozsyłaniu artykułów do wtórnych ocen zagranicznych recenzentów.

Odrębnym problemem jest kwestia podejścia do oceny publikacji o dużej liczbie współautorów, które niekorzystnie wpływają na indeksy bibliometryczne (por. np. artykuł dotyczący publikacji wieloautorskich z nauk medycznych: Masic I., Jankovic S.M., *Inflated Co-authorship Introduces Bias to Current Scientometric Indices*). Tu nie ma prostych rozwiązań, szczególnie przy ocenach osiągnięć awansowych. Gdy idzie o ocenę instytucji, wydaje się jednak, że jedyne rozsądne podejście to uwzględnianie publikacji wyłącznie w proporcji do liczby współautorów z ocenianej jednostki naukowej. Wszelkie inne, wielokrotne uwzględnianie wkładu współautorów, w tym zagranicznych, sprzyja jedynie mnożeniu obcych osiągnięć w ocenianej jednostce.

Wnioski

Nawet pobieżne analizy kierunków rozwoju światowej nauki przez ostatnie 20-30 lat wskazują na nieuchronną konieczność wielu przewartościowań i rewolucyjnych zmian. Zanim wielki okręt zwany Nauka Polska osiadzie na mieliźnie gigantycznej inflacji światowych publikacji, jest szansa na choćby częściowe zminimalizowanie tych, chyba nieuniknionych, ubocznych skutków masowego rozwoju nauki, technologii i globalizacji.

Wszystko wskazuje jednak na to, że aktualne „skostniałe” podejście do polskiej parametryzacji nauki oparte na sztywnych wskaźnikach bibliometrycznych, a za nią do oceny osiągnięć awansowych, propozycji grantowych itp. nie ułatwi polskim naukowcom przejścia tych trudnych sytuacji, brnąc w jeszcze większe kłopoty metodologiczne niż agencje oceniające naukę w innych krajach.

Celowe byłoby zatem, wzorując się na parametryzacji z innych krajów, przeprowadzenie w naszym kraju oceny instytucji naukowych poprzez oceny mieszane ekspercko-parametryczne. Pierwszy współautor niniejszego tekstu ma kilkuletnie doświadczenie udziału w takiej mieszanej parametryzacji instytucji naukowych Republiki Czeskiej.

A może jeszcze lepiej byłoby zastosować dużo bardziej radykalne podejście, oceniając instytucje naukowe jedynie w dwóch kryteriach: jednostek uprawiających naukę w stopniu wystarczającym (jedna kategoria zamiast A+, A, B+) i tam skierować uśrednione finansowanie podstawowej działalności naukowej, oraz jednostek ocenianych w stopniu niewystarczającym (C, B), którym finansowanie nauki się nie należy. Wtedy jednak nie powinno się stosować sztywnych procentowych udziałów liczby jednostek, a jedynie rozsądną ocenę procentu pracowników o znaczącej własnej aktywności naukowej. Stosowanie uproszczonej oceny jednostek powinno przynieść znaczące oszczędności czasu i pieniędzy, które mogą zostać przekierowane do transparentnych i uczciwie działających agencji grantowych.

Prof. dr hab. inż. Zbigniew Zembaty,
Wydział Budownictwa i Architektury Politechniki Opolskiej
Prof. dr hab. inż. Tomasz Lewiński,
Wydział Inżynierii Lądowej Politechniki Warszawskiej

„Wszystko jest najlepsze w tym najlepszym ze światów”

Żałujemy, że w naszej argumentacji Piotr Alexandrowicz i Anna Stachowiak-Szrejbrowska nie dostrzegli porządku. Odbieramy to jako niedoskonałość redakcyjną, dlatego przeformułujemy tu nasze rozumowanie w kierunku jego jednoznacznej prostoty.

Nasz grudniowy tekst o niedoskonałościach NCN oraz potrzebie wejścia na drogę doskonalenia tej jakże ważnej instytucji wywołał rezonans, którego nie sposób pozostawić bez komentarza. Czytając uważnie marcową polemikę, czy może raczej filipikę, skierowaną do nas przez Piotra Alexandrowicza oraz Annę Stachowiak-Szrejbrowską, czujemy się zachęceni do repliki. Z tytułowaliśmy ją słynną wypowiedzią filozofa Panglossa, którego postacią Voltaire ucieleśnia naiwny idealizm. Przypominamy w tym miejscu, że Wolterowski Kandyd ów idealizm porzuca po licznych niezgodnych z nim doświadczeniach. Chcemy jednak uchronić każdego z nas przed wycofaniem, które wybrał Kandyd wobec oczywistych niedoskonałości świata. Jesteśmy przekonani, że doskonalenie jest możliwe i potrzebne, że instytucje systemu nauki polskiej mogą działać lepiej, że badacze nie powinni się czuć osamotnieni w konfrontacji z niezgodną względem oczekiwań rzeczywistością. Aby to było możliwe, potrzebna jest jednak krytyka.

Gdybyśmy kontynuowali konwencję przyjętą przez autorów filipiki, to przypisalibyśmy im rozmaite intencje, a także argumenty, których w ich tekście nie ma, by następnie powołując się na górnotłone zasady, gorąco polemizować. Moglibyśmy na przykład wyrazić zdumienie względem roli „kultury zaufania w akademii”, którą gloryfikują autorzy. Zupełnie błędnie przecież, bowiem nie ma rozwoju nauki bez krytyki, bez podważania racji, bez kwestionowania metod, dowodów i teorii, bez odrzucania dominujących poglądów. Słowem bez nieufności wobec zastanego stanu rzeczy. Moglibyśmy także zastanowić się dogłębnie nad postulatami eliminacji „zbędnej erystyki”, rozważając sytuacje dopuszczalności erystyki, czy kreśląc czerwone linie jej zbędności. Moglibyśmy, w duchu stosowanej przez nich samej erystyki, odnosić się do autorów zwrotem „pознаńscy doktorzy”, symetrycznym wobec obdarzenia nas określeniem „krakowscy profesorowie”, by dokonać uogólnienia, stygmatyzacji i hierarchizacji debaty.

Oprzemy się jednak tej pokusie, by skupić się na istocie naszego przekazu oraz tych argumentach, które pozwalają debacie iść w kierunku lepszego funkcjonowania instytucji nauki.

Grantoza

NCN jest obok NCBR instytucjonalnym wyrazem systemu grantowego w nauce polskiej, dlatego nie sposób usunąć go

z debaty o negatywnym zjawisku grantozji. Zdefiniowaliśmy ją precyzyjnie w naszym grudniowym artykule jako „intensyfikację zachowań polegających na dążeniu do zdobywania kolejnych grantów, specjalizacji w zakresie wygrywania konkursów oraz uzależnienia prowadzenia badań od uzyskania kolejnych grantów”. Grantozja prowadzi do specjalizacji, która z kolei daje przewagę nad konkurentami, co skutkuje dominacją wnioskodawców z niewielu ośrodków nad wszystkimi pozostałymi. Każdy może ten fakt sprawdzić, spoglądając na wyniki dowolnego konkursu NCN, odnosząc go do całkowitej liczby uczelni funkcjonujących w Polsce. Każdy może też dostrzec szkolenia w pisaniu grantów, o ironio, oferowane także przez NCN. Piewcy tego systemu wyrażają zadowolenie ze zwiększonej konkurencyjności, wyższego wysiłku, lepszej jakości. W naszym artykule wskazujemy jednak, że badania naukowe wymagają czasu, a ich fragmentaryzacja na średnio- czy krótkoterminowe projekty przynosi fatalne (mRNA), a czasem także tragiczne (Stefan Grimm) skutki. Jesteśmy zwolennikami uwzględniania w debacie skutków, a nie tylko zamierzeń, faktów niezgodnych, a nie tylko potwierdzających, oceny względem oczekiwań, a nie względem ideologii. Zachęcamy do dyskusji o grantozji. Trudno znaleźć w tekście autorów filipiki argumenty przeciwko grantozji, właściwie do tego zjawiska jej autorzy w ogóle się nie odnieśli.

Piotr Alexandrowicz i Anna Stachowiak-Szrejbrowska przyjmują perspektywę młodych naukowców, którzy według nich nie mają alternatywy wobec projektów finansowanych przez NCN oraz związanych z nimi etatami. O projektowaniu nauki się nie wypowiadaliśmy, natomiast o przesuwaniu ciężaru finansowania badań w kierunku zewnętrznych konkursów owszem. Zgadamy się z poglądem, że na wczesnych etapach kariery uzyskanie finansowania samodzielnie lub bycie włączonym do grantu prowadzonego przez bardziej doświadczonych badaczy jest bardzo ważne. Buduje kompetencje, otwiera możliwości, dodaje pewności siebie niezbędnej w zwalczaniu jakże dolegliwego „syndromu uzurpatora”. Argument godziwej pensji budzi jednak nasz sprzeciw, jakkolwiek bowiem godziwość jest subiektywna, to jednak możliwość samodzielnego utrzymania się, zwłaszcza w wielkich ośrodkach akademickich, ze środków grantowych jest mało komfortowa.

Efekt św. Mateusza

Kwestionowanie istnienia efektu św. Mateusza w postępowaniach o finansowanie w ogóle, a w szczególności w przypadku konkursów NCN, budzi nasze zdumienie. Początkowo mieliśmy wrażenie ignorancji autorów filipiki, później świadomego zaprzeczania uznanym powszechnie faktom. Oddaliśmy obydwie te wrażenia jako niegodne. Dlatego wrócimy do pierwotnej naszej argumentacji: jeśli ocena wniosku oparta jest na dorobku, to wyższą ocenę uzyskiwać będzie ten, kto ma dorobek, względem tego, kto dorobku nie posiada. To istota efektu św. Mateusza (Zainteresowanym czytelnikom polecamy badania: Bol, de Vaan, de Rijt, 2018; Antonelli, Crespi, 2013; Merton, 1968). Zilustrowaliśmy go przypadkowo dobranymi kryteriami konkursu NCN, ale jak przyznają sami Piotr Alexandrowicz i Anna Stachowiak-Szrejbrowska, kryteria dorobku i kompetencji spełniają kluczową rolę w ocenie wniosków. Istota rzeczy nie leży więc w obiektywnym i celowo zaprojektowanym występowaniu efektu św. Mateusza. Istota rzeczy tkwi w tym, czy zinterpretujemy ten efekt jako coś pożądanego, bo wyłaniającego najlepszych, najbardziej konkurencyjnych i wiarygodnych, czy też jako coś niepożądanego, bo dyskwalifikującego talenty i pomysły na wczesnym etapie rozwoju (nie wieku). Nie chcemy ignorować ryzyka odrzucenia innowacyjnych pomysłów tylko dlatego, że zgłaszają je osoby z nikłym dorobkiem. Stąd postulat refleksji nad losowością alokacji jakiejś części środków. Stąd też otwarcie dyskusji o problemie, bowiem być może inne niż losowość rozwiązania okażą się skuteczniejsze.

Autorzy filipiki piszą, że ocena dorobku naukowca jest „niejako rękojmią wykonalności projektu, która ma niwelować ryzyko problemów z jego realizacją”. Ten pogląd, obecny w potocznej dyskusji o badaniach, wymaga polemiki. Po pierwsze, badania finansowane przez NCN dotyczyć powinny problemów podstawowych, czyli obszaru ludzkiej niewiedzy. Podkreślmy, niewiedzy wobec całej wiedzy ludzkiej. Nie ma żadnej „rękojmi wykonalności” projektu, bowiem badania ze znacznie wyższym prawdopodobieństwem prowadzą raczej do porażki niż do sukcesu. Każdy badacz wie, że „raczej nie wychodzi niż wychodzi”. Gdyby było inaczej, wszystkie problemy ludzkości zostałyby już dawno rozwiązane. Zamiast „rękojmi wykonalności” może warto mówić o „proceduralnym rygorze”. Po drugie, kategoria ryzyka, policzalna i dająca uludę kontroli nad przyszłością, w badaniach naukowych nie występuje. Występuje natomiast niepewność, często nawet głęboka niepewność. Różnica pomiędzy tymi kategoriami jest fundamentalna, a sprowadza się do samej możliwości rozpoznania dystrybucyjności prawdopodobieństwa wyników. Frank Knight wniósł to fundamentalne rozróżnienie do literatury, bagatela, sto lat temu. Wobec tego doświadczenie wnioskodawcy służy raczej jako proxy, niedoskonałe, ale fasadowo akceptowalne dla instytucji.

Biurokratyzacja

Powołanie instytucji, która administruje środkami publicznymi, powoduje biurokratyzację. To zjawisko nie jest ani nowe, ani kontrowersyjne. Jak przyznają autorzy filipiki, wynika to z obowiązującego prawa o zamówieniach publicznych, regulacji wewnętrznych NCN, czy uczelni, w których realizowane są badania finansowane ze środków NCN. Intrigujące jest przypisywanie nam „strategii [Autorów], polegającej na zestawieniu wszelkich argumentów, które wiążą się z projektami, mogą łączyć się z NCN i budują negatywne skojarzenia”. Żałujemy, że w naszej argumentacji Piotr Alexandrowicz i Anna Stachowiak-Szrejbrowska nie dostrzegli porządku. Odbieramy to jako niedoskonałość redakcyjną, dlatego przeformułujemy tu nasze rozumowanie w kierunku jego jednoznacznej prostoty: a) NCN to instytucja biurokratyczna, podlegająca regulacjom zewnętrznym i wewnętrznym;

b) uczelnie to instytucje biurokratyczne, podlegające regulacjom wewnętrznym i zewnętrznym; c) interakcja NCN i uczelni kumuluje regulacje istniejące i prowadzi do tworzenia nowych; d) nowe regulacje są wdrażane przez nowe struktury biurokratyczne. A pomiędzy tymi zjawiskami tkwi badacz. Gwoli zwykłej uczciwości trzeba zadać pytanie: czy badacze cieszą się z biurokratyzacji? Albo: czy biurokratyzacja pomaga w pracy badawczej? Tak, to są pytania retoryczne, potrzebne dlatego, że w argumentacji autorów filipiki badacze rzekomo zewsząd otrzymują pomoc, a tymczasem ich doświadczenia są takie jak Kandyda.

Biurokratyzacja przejawia się rozrostem struktur, mnożeniem procedur, wymogiem raportowania. To zjawisko jest przedmiotem badań w wielu dyscyplinach nauki, między innymi w naukach o zarządzaniu i jakości, które uprawiamy. Nie ma żadnych dowodów na to, że wzrost biurokracji jest dodatnio powiązany z wynalazczością, innowacyjnością czy skutecznością działalności badawczo-rozwojowej. Są natomiast dowody na to, że presja biurokratyczna powoduje uniformizację zachowań nakierowanych na spełnienie wymagań biurokratycznych. Są także dowody na to, że proceduralizacja i raportowanie są szkodliwe dla prac badawczo-rozwojowych. Przy tym ta szkodliwość jest większa tam, gdzie występuje wysoka niepewność (radikalne i przełomowe innowacje). Trudno nie zgodzić się, że te wyniki są zgodne z intuicją.

To właśnie dlatego wielkie korporacje współpracują z małymi firmami czy wręcz wykupują je. Małe przedsiębiorcze organizacje są znacznie mniej zbiurokratyzowane, a przez to bardziej innowacyjne. Wielkie firmy (korporacje) dokładnie na odwrót. Ponieważ korporacje nie mogą zrezygnować z biurokracji, poszukują innowacji poza swoimi granicami. W tym kontekście presja biurokratyczna wywierana w realizacji grantów na badaczy nie wygląda zachęcająco. Autorzy filipiki twierdzą, że to bardzo dobrze, ponieważ środki są publiczne, obojętne prawo o zamówieniach publicznych itd. Zgadza się z tą oczywistą konstatacją. Natomiast kwestionujemy pogląd, że jedyną i najlepszą drogą jest ta, którą obecnie pod wpływem NCN kroczą uczelnie i badacze. Uważamy, że istnieje wysokie prawdopodobieństwo fasadowości i błędów. Sądymy, że można nasz system porządkować i zarządzać nim inaczej.

Biura wsparcia

Jeszcze większe nasze zdumienie budzi tekst odnoszący się do biur wsparcia projektowego. Po pierwsze dlatego, że Autorzy przypisują nam krytykę pracowników administracji uczelnianej, podczas gdy w naszym tekście nie ma ani słowa o pracy tej grupy społecznej na uczelniach. Ba! Zarzucają nam brak szacunku, deprecjonowanie i atak. Dlaczego krytykę rozrostu administracji uczelnianej i jej pewną emancypację, niezawinioną przecież w żaden sposób przez jej poszczególnych przedstawicieli, Autorzy filipiki odnoszą do nich? Używając prostej metafory (bo te nieco bardziej wysublimowane jak widać niestety budzą silne reakcje emocjonalne), jak można winić ogrodnika, który podlewa kwiaty w ogrodzie, że pada deszcz i jego praca staje się bezsensowna? Rozumiemy ten tekst raczej jako pewien wrażliwy i pełen pasji głos płynący ze środowiska, ale niestety nie ma on nic wspólnego z postulatami zawartymi w naszym tekście. Dlaczego jednak Autorzy filipiki próbują nam przypisać słowa lub myśli, których nie napisaliśmy ani nawet nie mieliśmy takich intencji? Jeśli chcielibyśmy się spierać, to używamy argumentów odpowiednich do poziomu analizy: czy rozrost administracji jest kwestią związaną z rozszerzeniem funkcji uniwersytetu (tzw. przedsiębiorczością), czy też zewnętrzną, instytucjonalną presją, której podlegają (Dyskusję można prześledzić chociażby tutaj: Baltaru, R.D., Soy-sal, Y.N. *Administrators in higher education: organizational*

expansion in a transforming institution. High Educ 76, 213–229 (2018)).

Podkreślenie wartości pracy administracyjnej wydaje się słuszne, choć diagnoza, że praca ta na uczelniach jest deprecjonowana, niestety już nie. Postulat potrzeby podmiotowego traktowania i dobrej komunikacji, o którym piszą Autorzy, nie jest możliwy do zrealizowania za pomocą regulacji i rozwiązań systemowych (a przecież o tym jest nasz grudniowy tekst), lecz pozostaje kwestią kultury organizacyjnej i pracy zarządczej poszczególnych osób kierujących konkretnymi uczelniami. Sami Autorzy filipiki na to zwracają uwagę, a my zgadzamy się z tym postulatem i zachęcamy do współtworzenia takiej kultury. Postulat rzetelnego opisu pracy biur projektowych to jednak kwestia wtórna (choć bardzo ciekawa) w stosunku do postulatów zmiany NCN. Autorzy filipiki twierdzą, że coraz większe biura projektowe są potrzebne, bo rośnie zainteresowanie projektami. My twierdzimy nieco inaczej: projekty powinny być uproszczone, tak aby odciążyć od pracy administracyjnej pracowników naukowych, nie deprecjonując jednocześnie tej pierwszej. I nie tylko w imię ograniczenia rozrostu biurokracji uczelnianej czy dla poprawy dobrostanu naukowców, ale przede wszystkim dla rozwoju innowacyjnej nauki.

Nie rzecz jednak w polemice z tezami Autorów filipiki. Problem leży w czym innym. Dlaczego Autorzy, postulując szacunek do pracowników administracyjnych, deprecjonując pracę naukową? Czy naprawdę napisanie sylabusu jest porównywalne do zaprojektowania przełomowych badań naukowych? Piszą także, że „napisanie projektu to ostatecznie nic trudnego, zwłaszcza (o zgrozo! – ad. Autorów) że formularz wniosku [...] jest powszechnie znany”. Czyżby o powodzeniu w konkursie decydował dostępny formularz? Natomiast ich zdaniem wiedza biur projektowych jest „specjalistyczna”. I piszą także: „chyba można też od naukowców oczekiwać [...] stosownej komunikacji i odpowiedzialności”. Podnoszą też kwestie konieczności rzetelnego przygotowania projektów przez naukowców, gdyż „pozwała to oszczędzić czas pracownikom administracyjnym

i uczelni”. Pomijamy już kwestię pułapki logicznej, w którą wpadają Autorzy filipiki, domagając się szacunku dla administracji, spływając pracę naukową do prostego procesu wypełnienia wniosku grantowego, który wymaga zaledwie, ale „jednak czasu i zaangażowania”. Autorzy idą jednakże dalej, wskazując, że centra wsparcia projektów mogą także służyć wsparciem merytorycznym w przygotowaniu grantów do NCN. Doprawdy prosta ta współczesna nauka nam się uczyniła, gdzie każdy może wspierać każdego, zwłaszcza w projektach fizyków, gdzie rozpatruje się teorie fazy skondensowanej czy teorię strun, chemicznych metod rentgenowskiej analizy strukturalnej czy behawioralnych czynników kooperacji, sięgając nieco bliżej nauk społecznych.

Naszą intencją nie było i nie jest antagonizowanie grup społecznych na uczelni. Chcieliśmy pokazać, że praca naukowa, która stanowi jedną z dwóch najważniejszych misji uniwersytetu, nie może podlegać tej samej logice co praca administracyjna. Nauki nie da się do końca włożyć w ramy, zaprojektować czy opisać. Nauka wymaga przekraczania horyzontów naszej wyobraźni i proszę wybaczyć, nie ma wiele wspólnego z opisanym przez Autorów filipiki prostym schematem wniosku projektowego i doradztwem, jak napisać grant. Narzucenie albo nawet zrównanie ważności logiki administracyjnej z logiką badań naukowych jest nie tylko błędne, ale także szkodliwe. Zapewne Czytelnicy i Autorzy filipiki znają ów rezultat. Temu zresztą służyć miał ów cytat z korespondencji, który tak bardzo oburzył polemizujących z nami Autorów. Żeby jednak pokazać inną logikę myślenia, która być może będzie szokiem dla Autorów, odsyłamy do popularnonaukowego tekstu prof. Andrzeja Szahaja o tym, że uniwersytet jest po nic (<https://www.rp.pl/opinie-polityczno-spoeczne/art1864731-szahaj-uniwersytet-jest-po-nic>). Zawarte w nim postulaty nie do końca rezonują z tym, co postulujemy w kwestii doskonalenia NCN, ale prezentują doskonałą diagnozę tego, jak tworzy się nauka.

Autorzy filipiki domagają się „dowodów”, przypisują nam „zarzuty”, a sami wygodnie kryją się za sformułowa-

niami „wydaje się” czy też „można”. Domagają się od nas „konkretnych propozycji zmian”, przemilczając całe podsumowanie naszego artykułu. Wskazujemy w nim, że rozwój NCN wymaga obrania drogi doskonalenia, a nie jednorazowego opracowania doskonałego projektu. Podtrzymujemy ten apel. Punktem wyjścia do doskonalenia jest świadomość niedoskonałości, warunkiem podążania w stronę doskonalenia jest identyfikacja błędów, a warunkiem znajdowania skutecznych rozwiązań upełnomocnienie uczestników tego procesu.

Prof. dr hab. Wojciech Czakon, dr hab. Ewa Bogacz-Wojtanowska, prof. UJ, Wydział Zarządzania i Komunikacji Społecznej, Uniwersytet Jagielloński w Krakowie

...warta zastanowienia jest temperatura dyskusji
wówczas, gdy zachodzą zmiany
granic dyscyplin.



Rys. Sławomir Makal

Zbigniew Drozdowicz

Samokrytycyzm w nauce

Tak jak różne mogą być formy krytycyzmu, tak też różne mogą być formy samokrytycyzmu i nie każda z nich dobrze służy nauce i uczonym, bo nie tylko nie ułatwia im pracy, ale wręcz może stawiać pod znakiem zapytania ich obecność w nauce.

Na temat krytycyzmu powiedziano już sporo, a nawet stał się on sztandarowym hasłem niejednej filozofii. Znacznie mniej mówi się o samokrytycyzmie, a szkoda, bowiem jego brak może prowadzić uczonych do samouwielbienia i samozadowolenia, a nawet do trudnego do zniesienia krytykanctwa. Tak się zresztą niejednokrotnie dzieje.

Samokrytycyzm „bratnią duszą” krytycyzmu

Skłonny jestem twierdzić, że samokrytycyzm może, a nawet powinien stanowić „bratnią duszę” krytycyzmu, która będzie go powstrzymywała przed pójściem na bezdroża krytykanctwa, które wyraża się w wyszukiwaniu różnego rodzaju słabości u wszystkich innych, tylko nie u siebie. Jeśli krytykant nie potrafi ich znaleźć, to i tak jest „na nie”, bo po prostu jest „na nie”, nawet wobec tego, czego nie rozumie lub rozumie w taki sposób, aby na końcu i tak wyszło „na nie”. Jeśli ktoś sądzi, że ta argumentacja jest mocno „przekombinowana”, to powinien się zapoznać ze stanowiskiem sceptyków, którzy od czasów starożytnych stawiali w kłopotliwej sytuacji nie tylko dogmatyków, ale także tych, którzy idąc za sokratyczną formułą „wiem, że nic nie wiem”, najpierw faktycznie wiedzieli niewiele, ale później dochodzili do takiej wiedzy, której wprawdzie nie mogli uznać za całkowicie pewną, ale mogli uznać za prawdopodobną. Rzecz jasna, potrzeba było sporo czasu, aby nauczyć się stawiania czoła sceptykom, nie tylko zresztą w filozofii czy w nauce, ale w nich było to szczególnie trudne, bowiem przez wieki hołdowano w nich przekonaniu, że powinno się dochodzić do tego, co jest całkowicie pewne, a to, co jest tylko prawdopodobne, traktowano co najwyżej jako hipotezy robocze, które mogą i powinny być definitywnie rozstrzygnięte. Niejednokrotnie okazywało się, że jest to jedynie wiara uczonych, a pomocny w zapobieżeniu przekształcenia tej wiary w kolejny dogmat okazywał się nie tylko krytycyzm, ale także samokrytycyzm uczonych. W ten sposób potwierdzały one, że są „bratnimi duszami”. Ich niedostatków szczególnie boleśnie doświadczyli ci, którzy już za życia swoimi dokonaniami w filozofii i w nauce zdobyli szerokie uznanie, ale później ich oponenti wykazali, że jednak w istotnych kwestiach się mylili i pozbawiali ich miejsca w panteonie sławy. Takie sytuacje nie należą do historii. Nadal bowiem pojawiają się „geniusze”, którzy są przekonani, że dokonali epokowego odkrycia w nauce i oczekują uznania ze strony tych, którzy mają wprawdzie naukowe osiągnięcia, ale przecież nie epokowe.

Samokrytycyzm a „samobiczowanie się”

Tak jak różne mogą być formy krytycyzmu, tak też różne mogą być formy samokrytycyzmu i nie każda z nich dobrze służy nauce i uczonym, bo nie tylko nie ułatwia im pracy, ale wręcz może stawiać pod znakiem zapytania ich obecność w nauce. Jedną z takich form jest „samobiczowanie się”. Ma ono wprawdzie długie tradycje w kulturze zachodniej, bowiem sięgają one czasów średniowiecznych biczowników chrześcijańskich, jednak trzeba odróżnić samobiczowanie religijne i dla takich religijnych celów, jakim jest znalezienie się możliwie najbliżej boskiej istoty (a nawet samemu mieć coś z tej istoty), od samobiczowania się uczonych i dla osiągnięcia czegoś istotnego w nauce lub przynajmniej pozostawania w zgodzie z otoczeniem, które wprawdzie głęboko myli się w swoich poglądach, ale posiada taką władzę, że wejście z nią w konflikt może oznaczać wykluczenie ze środowiska naukowego. Przypomnianym do dzisiaj przykładem najpierw „biczowania”, a później „samobiczowania się” uczonego jest proces Galileusza. Zakończony został zmuszeniem tego wielkiego uczonego do publicznego stwierdzenia, że mylił się, uznając kopernikańską teorię heliocentryczną za trafną, a nawet do uznania jej za „szaloną i absurdalną pod względem filozoficznym oraz formalnie hereetyką, bowiem wyraźnie sprzeciwia się nauce Pisma św.”. To ostatnie akurat było zgodne z prawdą. Natomiast niezgodne z przekonaniem Galileusza było twierdzenie, że „Ziemia jest środkiem świata”. W XIX wieku nawet Kościół katolicki przyznał, że był w błędzie, potępiając teorię heliocentryczną. Jednak formę tego przyznania się raczej trudno byłoby nazwać „samobiczowaniem się”.

W późniejszym okresie pojawiły się mniej lub bardziej radykalne jego formy, a nawet takie, które zewnętrznemu obserwatorowi mogą wydawać się zabawne. Jako początkujący akademik miałem szefa, który na spotkaniach zespołu współpracowników opowiadał, że będąc na przyspieszonym kursie marksizmu-leninizmu, niezłe narozrabiał i zmuszony był złożyć samokrytykę. Rzecz jasna ją złożył. Jednak nie skłoniła go ona do zmiany zachowania. Nie inaczej było z postępowaniem mego ówczesnego kolegi, który podczas pobytu w Moskwie dopuścił się „zbrodni”, jaką było podróżowanie bez zgody władz z jednej radzieckiej republiki do drugiej. Po złożeniu odpowiedniej samokrytyki został „rozgrzeszony” i uznał, że może kontynuować proceder. Stwierdzenie, że żaden z przywołanych tutaj przykładów samokrytyki nie ma wiele wspólnego ze szczerością, jest raczej bezdyskusyjne. Nie jestem jednak przekonany, że szczerość jest dobrą miarą dla samokrytyki.

Samokrytyki pozorne

W życiu akademickim repertuar pozornych samokrytyk jest ogromnie zróżnicowany, zarówno w formach wyrazu, jak i w ich treści. Jedną z takich form może się zaczynać od stwierdzenia: „ja się na tym nie znam, ale...”. Następnie okazuje się, że to „nie znam się” stanowi jedynie okoliczność łagodzącą albo dla niepodejmowania niewygodnej kwestii, albo przedstawiania jej w sposób, który jest nie do zaakceptowania dla adwersarza. Jeśli ten zakwestionuje zasadność takiego jej przedstawiania, to albo można go zmienić, albo powrócić na wyjściowe stanowisko, albo też udawać, że w gruncie rzeczy nie stało się nic, co by zmuszało do zmiany stanowiska. Jeśli byłaby to samokrytyka autentyczna, skłaniałaby do takiej zmiany lub przynajmniej do wprowadzenia do swojego stanowiska jakichś korekt.

Otwarte przyznanie, że się na czymś nie znamy, jednym przychodzi łatwiej, innym znacznie trudniej. Znaczenie może tutaj mieć wiek i pozycja naukowa. Czasami łatwiej jest tym, którzy znajdują się dopiero na początku zawodowej drogi. Jednak pod warunkiem, że są dostatecznie samokrytyczni wobec swoich kwalifikacji i osiągnięć. Moje wieloletnie funkcjonowanie w środowisku akademickim skłania mnie jednak do ostrożności w przypisywaniu młodym pracownikom naukowym szczególnej skłonności do samokrytycyzmu. Spotykałem się bowiem z takimi, którzy deklaratorywnie uznawali wprawdzie swoją pozycję w nauce, ale gdy tylko znaleźli się w otoczeniu, które uznawali za przyjazne, to popisywali się swoją naukowością i wypowiadali się tak, jakby osiągnęli w niej mistrzostwo, a nawet przewyższali w niej tych, którzy formalnie stali wyżej w akademickiej hierarchii, ale ich naukowe kwalifikacje wydawały się im mocno wątpliwe.

Uczonych z tzw. pozycją czasami to bawi, ale częściej irytuje, bo w końcu nie po to z takim trudem dochodzili do swoich wyników, aby stawały się one przedmiotem żartów i złośliwych uwag tych, którym sporo jeszcze brakuje do naukowej doskonałości. Zdarsza się jednak również, że podchodzą do tego ze sporym zrozumieniem, a jest ono tym większe, im lepiej pamiętają, jacy byli w młodości, a nawet jacy są w okresie dojrzałości, która powinna ich skłaniać do samokrytycyzmu, jednak nie zawsze skłania. Dobrym tego przykładem może być Albert Einstein z okresu, w którym stał się – jak to określili jego biografowie Roger Highfield i Paul Carter – „kapłanem w świątyni” nauki. Prowadził wówczas polemikę z duńskim fizykiem Nielsem Bohrem, laureatem Nagrody Nobla za osiągnięcia w zakresie cząstek elementarnych (kwantów). Długo nie mógł się pogodzić z tym, że racje są po stronie jego oponenta, a gdy w końcu przyznał, że to Bohr ma rację, jego wyznawcy poczuli się tak zawiedzeni, że jednemu z nich lży ciekły po twarzy. Szczególnie trudno zdobyć się na autentyczny samokrytycyzm uczonym, którzy stali się celebrytami i celebrytami i celebrytami w mediach. Takim uczonym stał się również Einstein. Wygląda jednak na to, że miał do tego spory dystans. W każdym razie na niektórych zdjęciach z tego okresu ma wyraz twarzy, jakby chciał powiedzieć: „zobaczcie, co media ze mnie zrobiły”. Nie można tego niestety powiedzieć o wielu uczonych „przywoływa-



Rys. Sławomir Makal

nych” przed kamerę przy każdej możliwej okazji dopóty, dopóki ich twarze się widzom nie opatrzą.

Samokrytycyzm miarkowany

O tym, jaka jest skala samokrytycyzmu, decyduje zarówno wiele cech osobowościowych uczonych, jak i ich środowiskowe uwarunkowania. Niektórzy posiadają naturalne skłonności do jakiejś formy ekshibicjonizmu i nie za bardzo przejmują się tym, że ani nie jest oczekiwany, ani dobrze przyjmowany przez ich otoczenie. W środowisku akademickim jedną z jego form może być „obnażanie” swoich błędów z przeszłości, a nawet ironizowanie na ich temat, o ile rzecz jasna oznacza to, że z nich „wyrośliśmy” i mamy do nich odpowiedni dystans. W każdym jednak przypadku ujawnianie swoich młodszych słabości wiąże się z ryzykiem, że zostanie ono opacznie zrozumiane i potraktowane jako „dopisek” do słabości przypisywanych nam przez nieprzychylnie otoczenie. Mają zresztą tego świadomość uczeni, którzy jeśli nawet przedstawili w autobiografiach błędy swoich młodości, to często z usprawiedliwieniem, którego nie powstydziliby się nawet święty. Trudno się temu dziwić. Nie tylko dlatego, że takie wyznania spisywane są z reguły przez dojrzałych uczonych, znajdujących się w końcowym okresie akademickiego życia, ale także dlatego, że znają oni na tyle dobrze realia, aby ich autobiografia nie stanowiła przysłowiowego „gwoźdźcia do trumny”. Krótko mówiąc: znają miarę samokrytycyzmu i potrafią ją stosować. Taki zresztą jest lepiej przyjmowany przez akademickie środowisko niż samokrytycyzm bez miary lub też – co w gruncie rzeczy na to samo wychodzi – spontaniczny. Ten ostatni może bowiem wprawiać środowisko w osłupienie, a co najmniej w zakłopotanie komu ma służyć. Może również rodzić podejrzenie, że ktoś próbuje nas nabrać lub „naciągnąć” na współczucie bądź solidarność z kimś, z kim nam nie jest po drodze.

Osobiste doświadczenia

Nie należę do osób o naturalnej skłonności do życiowego ekshibicjonizmu. Odróżniam go jednak od takiej formy aka-

demickiej szczerości, która polega na przyznaniu się do „grzechów” z różnych etapów akademickiego życia popartych trudnymi do zakwestionowania faktami. W okresie akademickiej młodości obiektem moich fascynacji nie była ani filozofia marksistowska, ani ci, którzy jej nauczali na uniwersytetach. Była nim natomiast dosyć „egzotyczna” jak na ówczesne standardy najpierw filozofia Pascala, a później Kartezjańska. Dzisiaj wprawdzie od tych fascynacji się nieco uwolniłem, ale pozostało we mnie przekonanie, że trzeba kultywować nie tylko krytycyzm, ale także samokrytycyzm. Oba znajdowałem u wymienionych filozofów, jednak nie w takiej mierze, aby chronił ich przed poważnymi błędami. Błędy te były i są zresztą dzisiaj szeroko znane i przedstawiane nie tylko w moich publikacjach.

Dla oponentów z okresu „jedynie słusznej filozofii” moim błędem było to, że ani się filozofią marksistowską nie fascynowałem, ani też na jej temat się nie wypowiadałem. Po prostu się na niej nie znałem i nie zamierzałem jej zgłębiać. Swoje niezadowolone wyrażali zarówno poprzez zarzucanie mi, że zamykam się w „wieży z kości słoniowej” (to autentyczne określenie jednego z gorliwych ówczesnych marksistów), jak i poprzez negatywne zaopiniowanie wniosku o powołanie mnie na stanowisko docenta – w jego uzasadnieniu stwierdzono, że na pozytywnej opinii nie pozwala im „sumienie partyjne”. Ówczesne władze uczelniane nie potraktowały jednak tego „sumienia” na tyle poważnie, aby oddalić mój wniosek. W wolnej Polsce wiele się zmieniło, w tym przekonanie, że tytułu profesora nie wypada nadawać stosunkowo młodym uczonym. Nie zmieniło się natomiast przekonanie władz rektorskich mojej uczelni z drugiej połowy lat 90., że tacy uczeni mogą spokojnie poczekać kilka lat na powołanie na stanowisko profesora zwyczajnego. Rzecz jasna czekałem, ale nie bezczynnie, czego potwierdzeniem jest m.in. moja niepokojąco (dla tych władz) rosnąca lista publikacji. Jeśli powiem, że w swojej akademickiej aktywności nie kierowałem się tym, aby komuś coś udowodnić lub zrobić wielką przykrość, będzie to bliskie prawdy. Zapewne znajdą się tacy, którzy uznają, że nie jest to szczere wyznanie.

Nowi profesorowie

21 marca 2023 Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda wręczył akty nominacyjne nauczycielom akademickim oraz pracownikom nauki i sztuki.

NAUKI HUMANISTYCZNE: **Tomasz Adam Sikorski** (USz)

NAUKI INŻYNIERYJNO-TECHNICZNE: **Klaudia Anna Boro-
wiak** (UPP), **Robert Józef Filipek** (AGH), **Andrzej Leszek Kawa-
lec** (PRz), **Dominika Kuśnierz-Krupa** (PK), **Celina Anna Pezowicz**
(PWr), **Paweł Pyrzanowski** (PW), **Jacek Piotr Smółka** (PŚ), **Rado-
sław Tarkowski** (IGSMiE PAN Kraków), **Marcin Zieliński** (UWM)

NAUKI MEDYCZNE I O ZDROWIU: **Aleksander Araszkiewicz**
(UMP), **Aleksandra Maria Araszkiewicz** (UMP), **Magdalena Maria
Dutsch-Wicherek** (UJ), **Robert Paweł Gasik** (NIGRiR Warszawa),
Jadwiga Handzlik (UJ), **Zenon Józef Huczek** (WUM), **Wojciech
Kolanowski** (UML), **Agnieszka Maria Korolczuk** (UML), **Dawid
Franciszek Larysz** (NIO – PIB Warszawa), **Przemysław Andrzej
Lubiatowski** (UMP), **Piotr Jakub Major** (UJ), **Paweł Ryszard Mroc-
kowski** (DRK-Kliniken Nordhessen oraz UMŁ), **Michał Pędziwiatr**
(UJ), **Grzegorz Piecha** (SUM), **Jerzy Franciszek Piecuch** (SUM),
Andrzej Rutkowski (NIO – PIB Warszawa), **Robert Skibiński** (UML),
Anna Stanisława Sowa-Staszczak (UJ), **Maciej Michał Sterliński**
(NIKSZ – PIB Warszawa), **Ewa Swoboda-Kopec** (SKDJ Warszawa),

Joanna Wojtkiewicz (UWM), **Lucjan Stanisław Wyrwicz** (NIO –
PIB Warszawa)

NAUKI ROLNICZE: **Adam Bogac** (UPWr), **Józef Gorzelany**
(URz), **Bożena Kiczorowska** (UPL), **Anna Podleśna** (IUNiG – PIB
Puławy), **Krzysztof Jerzy Rypuła** (UPWr), **Marta Jolanta Siemie-
niuch** (IRZiBZ PAN Olsztyn)

NAUKI SPOŁECZNE: **Mirosława Helena Grabowska** (UW),
Jakub Marek Growiec (SGH), **Elżbieta Karska** (UKSW), **Daniel Eryk
Lach** (UAM), **Włodzimierz Wojciech Piątkowski** (UMCS), **Andrzej
Janusz Stelmach** (UAM), **Radosław Wolniak** (PŚ Zabrze)

NAUKI ŚCISŁE I PRZYRODNICZE: **Krzysztof Bąk** (UPed),
Łukasz Stanisław Ćwiklik (Instytut Chemii Fizycznej im. Jaroslava
Heyrovskyego Czeskiej Akademii Nauk, Praha), **Grzegorz Piotr Graff**
(PG), **Barbara Jachimska** (IKiFP PAN Kraków), **Ewa Kaczorek** (PP),
Artur Piotr Podhorodecki (PWr)

SZTUKI: **Piotr Tomasz Chojnacki** (UAP), **Marek Piotr Chowa-
niec** (ASP Warszawa), **Marzenna Ewa Ciechańska** (ASP Warszawa),
Marcin Seweryn Stańczyk (AMuz Łódź), **Maciej Światała** (ASP
Gdańsk), **Jan Piotr Tutaj** (ASP Kraków)

Prezydent przekazał także na ręce córek nominację śp. prof. **Ireneusza Malujdy**.

Plagiatowe wykopalisko w Toruniu

Ministerialne punkty za plagiat

Zapewne sprawa dwóch zuchwałych plagiatów odbije się echem w środowisku archeologiczno-historycznym, dlatego nie muszą zwracać uwagi, że nierzetelność naukowa „plami”, a takie pirackie teksty hańbią, dlatego obecność „splamionych” osób w różnego rodzaju radach, organach czy urzędach uderza w ich instytucjonalny prestiż.

Był początek lutego br. W sobotnie popołudnie doktorant pierwszego roku Szkoły Doktorskiej Nauk Humanistycznych Uniwersytetu Łódzkiego mgr Jakub Hendzel (absolwent tamtejszej filologii klasycznej) pracował nad ostateczną odpowiedzią recenzentom, którzy ocenili maszynopis jego artykułu naukowego. Dotyczył on kampanii militarnych rzymskiego cesarza Konstantyna Wielkiego (272–337) w Dacji, starożytnej krainie na terenach dzisiejszej Rumunii. Hendzel zebrał bibliografię dotyczącą tematu z ostatnich kilkudziesięciu lat. Już po dokonaniu poprawek wymaganych przez redakcję czasopisma jeszcze raz wrzucił w Google kilka słów kluczowych, takich jak „Dacia” oraz „Antiquity”, sprawdzając czy czegoś ważnego nie przegapił. I wtedy pokazał się plik z angielską pracą dr. Jacka Rakoczego z UMK w Toruniu. Był to rozdział pt. *Abandoned, Lost or Forgotten? The Changes in the Perception of Transdanubian Dacia in Late Antiquity*, wydrukowany na stronach 31–44 w pracy zbiorowej *Migration – Kommunikation – Transfer (Vol. 1, Edition 1)*, Vandenhoeck & Ruprecht Verlag 2021. Redaktorami monografii byli prof. Andrzej Radziwiński i dr Jacek Rakoczy (UMK w Toruniu) oraz prof. Helmut Flachenecker i dr Renata Skowrońska (Uniwersytet w Würzburgu).

Mniej więcej w połowie lektury artykułu Jakub Hendzel zorientował się, że czytane treści już zna i przypomniał sobie, że o tym samym pisał kilkadziesiąt lat wcześniej emerytowany już dzisiaj profesor zwyczajny historii starożytnej UJ w Krakowie, Maciej Salamon. Jego artykuł Hendzel dobrze znał, cytował w swojej pracy i nawet przy przygotowywaniu odpowiedzi redakcji przeczytał go dwukrotnie, dlatego treść zapadła mu w pamięć. Publikację profesora *Dacja w oczach pisarzy późnorzymskich (IV–VI w. n.e.)* wydrukowano na stronach 117–134 monografii *Prowincje rzymskie i ich znaczenie w ramach Imperium*. Książka ukazała się pod redakcją bardzo poważanych ówczesnych starożytników (tzn. spe-

cialistów od historii starożytnej): prof. Marii Jaczynowskiej z UMK (1928–2008) oraz prof. Józefa Wolskiego z UJ (1910–2008). Wydało ją w roku 1976 Ossolineum wraz z Wydawnictwem PAN. Po dokładnym porównaniu obydwu tekstów doktorant nie był w stanie zapanować nad oburzeniem. Jak na dłoni było widać, że artykuł J. Rakoczego jest swobodnym tłumaczeniem na angielski pracy prof. M. Salamona i co więcej – nie ma tam do niej żadnego odniesienia. To niewątpliwy plagiat!

Po ochłonięciu z emocji Jakub Hendzel postanowił coś z tym niespodziewanym „odkryciem” zrobić. Pamiętał niedawne zajęcia – etyczne i prawne aspekty badań naukowych – które w semestrze zimowym na studiach doktoranckich prowadzili profesorowie UŁ z Katedry Etyki: dr hab. Andrzej Maciej Kaniowski (wykłady) oraz dr hab. Wioletta Kazimierska-Jerzyk (warsztaty). Przedstawiono i analizowano na nich różne przypadki plagiatów, m.in. opisywane w „Forum Akademickim”. W następnym tygodniu J. Hendzel napisał do W. Kazimierskiej-Jerzyk, która po zaznajomieniu się z przygotowaną przez niego konkordancją zapożyczeń potwierdziła niewątpliwe naruszenie praw autorskich. Na zapytanie, co z tym zrobić, profesor odpowiedziała, aby napisać do red. Marka Wrońskiego z „Forum Akademickiego”, co doktorant niezwłocznie zrobił, przesyłając list przedstawiający zapożyczenia.

Kto jest kim

Dr Jacek Rakoczy jest adiunktem w Katedrze Starożytności i Wczesnego Średniowiecza (kierownik: prof. Wojciech Chudziak) Instytutu Archeologii (dyrektor: prof. W. Chudziak) i członkiem Rady Dyscypliny Archeologia UMK (przewodniczący: prof. W. Chudziak). Jest także prodziekanem ds. nauki i współpracy z otoczeniem Wydziału Nauk Historycznych UMK (dziekan: prof. Stanisław Roszak). Dr

Rakoczy, który już w latach młodzieńczych połączył bakcyli numizmatyki, w 2001 r. ukończył archeologię na UMK. Na uczelni zaczął pracować od jesieni 2006 r. Doktorat pt. *Monety rzymskie w Polsce środkowej* obronił w połowie października 2011 r. na macierzystym wydziale, ale jego promotorem był prof. Mariusz Mielczarek z Instytutu Archeologii i Etnologii PAN w Warszawie. Jak podano w notce biograficznej z 2019 r., przedmiotem zainteresowań badawczych tego doświadczonego już dziś adiunkta „jest archeologia prowincji rzymskich, starożytna kultura grecka, numizmatyka starożytna oraz kontakty kultur antycznych z Barbaricum”. Brał udział w dwóch projektach grantowych oraz kierował otrzymanym w konkursie Opus 11 (2016) grantem „Rzymski fort Resculum. Funkcja, znaczenie i chronologia rzymskiego osadnictwa na południowo-zachodnim odcinku limesu Dacji Porolissensis” o wartości 740 tys. zł, który został rozliczony z końcem lutego 2021 r. Jest autorem ok. 25 publikacji naukowych. W maju 2019 r. został powołany przez rektora UAM na rok do Rady Partnerów Polskiego Instytutu Archeologicznego w Atenach (PIAA). Instytut, który powstał na bazie organizacyjnej UAM, stworzyło 6 uniwersytetów (UAM, UJ, UMK, UW, URz) oraz Instytut Archeologii i Etnologii PAN. W październiku 2021 r. formalnie otworzono go w Atenach jako przyczółek dla polskich badań starożytnej Grecji. Wcześniej, 16 stycznia 2021 r., rektor UAM prof. Bogumiła Kaniewska wręczyła dr. Rakoczemu nominację na członka Rady Naukowej PIAA, w której znalazł się obok jedenastu wybitnych profesorów zwyczajnych archeologii i historii antycznej z Polski i zagranicy. Trzeba przyznać, że to znaczące wyróżnienie. Pod koniec listopada 2021 r. dr Rakoczy został też powołany przez rektora UMK, prof. Andrzeja Sokalę, do zespołu merytorycznego Uniwersyteckiego Ośrodka Analiz Strategicznych (dyrektor: prof. UMK, dr hab. Dominik Antonowicz). Podstawową funkcją ośrodka jest doradzanie rektorowi w zakresie przyszłości uniwersytetu, a w szczególności jego roli, organizacji i zadań.

Prof. Maciej Salamon (ur. 1946) jest historykiem starożytności – bizantynologiem oraz sławistą – znawcą Rusi i Bałkanów, jak również numizmatykiem. Po skończeniu historii na UJ w 1969 r. z nagrodą *Primus inter pares* (tak określano wtedy najzdolniejszych i najwybitniejszych studentów-absolwentów) „ostrogii naukowe” zdobywał na Uniwersytecie Śląskim (który jeszcze rok wcześniej był filią UJ). Obronił tam w 1972 r. doktorat (promotor: prof. Józef Wolski), a w 1978 r. habilitację. W latach 1981–1984 był prodziekanem Wydziału Nauk Społecznych UŚ. W 1985 r. wrócił do rodzinnego Krakowa, gdzie na UJ pełnił funkcję prodziekana Wydziału Filozoficzno-Historycznego, był też pierwszym dziekanem Wydziału Historycznego. Przez wiele lat kierował Zakładem Historii Bizancjum UJ. W 2006 r. otrzymał profesurę tytularną. Zasłużył się też dla Papieskiej Akademii Teologicznej (dzisiaj Uniwersytet Papieski Jana Pawła II), gdzie od 1997 r. wykładał, będąc kierownikiem ówczesnej Katedry Historii Chrześcijaństwa w Krajach Słowiańskich. Jest on poliglotą znającym 10 języków i promotorem 14 doktoratów. Był członkiem Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów. Otrzymał członkostwo honorowe Polskiego Towarzystwa Historyków i Stowarzyszenia Historyków Starożytności. Od kilku lat na emeryturze, pamiętany jest jako uczony o wielkiej wiedzy, życzliwości, uprzejmości i skromności oraz zdolny organizator.

Anatomia plagiatu

Dokładne przyjrzenie się obydwu publikacjom: polskiemu artykulowi M. Salamona z 1976 r. oraz rozdziałowi J. Rakoczego w języku angielskim z 2021 r. nie pozostawia wątpliwości,

że ten ostatni przetłumaczył cudzy tekst, przejmując też większość bibliografii. Pominął półtorej strony tekstu prof. Salamona, ale w swoim liczącym 11 stron rozdziale napisał tylko kilka własnych zdań, których pierwowzorów nie było w przejętym tekście.

Porównanie wielu akapitów wygląda tak jak to poniższe:

[Salamon, str. 118-119] „O ile wysunięta przez Aureliana koncepcja stworzenia nowej Dacji zdobyłaby pełną akceptację społeczeństwa, należałoby się spodziewać całkowitej zmiany stosunku Rzymian do terenów za Dunajem, zaniku świadomości ich rzymskiego charakteru. Zgodnie z oficjalną nomenklaturą przez «Dację» rozumiano by jedynie dwie prowincje: Dacia Ripensis i Dacia Mediterranea. Nasuwa się zatem pytanie, ważne z punktu widzenia przemian rzymskiej świadomości terytorialnej; czy pisarze rzymscy (tylko na ich informacjach możemy się tu opierać) uważali Dację zadunajską za część imperium, czy też za terytorium barbarzyńskie nie stanowiące tradycyjnej części składowej państwa?”

[Rakoczy, str. 32] „Aurelian’s concept of creating a new Dacia gained social approval, but as a consequence, it started an interesting process: the disappearance of the awareness concerning the Roman character of the territory that had been conquered by Trajan. According to official names, Dacia stood for the new provinces: Dacia Ripensis and Dacia Mediterranea, from the Diocletian’s reform. A question concerning Roman territorial awareness has to be raised. Did Roman writers regard the Transdanubian Dacia a part of the Empire, or perhaps they considered it a barbarian territory?”

W przygotowanej na moją prośbę, obszernej opinii o obydwu tekstach, dr Antoni Grabowski z Instytutu Historii PAN w Warszawie napisał: „Można podać wiele przykładów pokazujących jak tekst Salomona zostaje powielony przez Rakoczego. Nie dodaje on wiadomości, a jedynie skraca oryginał, czasem używając trybu przypuszczającego („należałoby”) zamiast zdania twierdzącego. Zmiany te mają charakter redakcyjny, a nie merytoryczny. Nie ulega wątpliwości, że Rakoczy wiernie oddaje wnioski Salamona oraz kolejność wysuwanych argumentów jest u niego taka sama. [...] Należy teraz przejść do kwestii zasadniczej, czyli skali zapożyczeń. Tekst główny rozdziału Rakoczego, nie licząc przypisów, ma prawie 24.000 znaków ze spacjami. Z tego tekstu ponad 9 stron jest zapożyczeniem z artykułu Salamona, co w znakach odpowiada ponad 22.600. Oznacza to, że ponad 90% tekstu Rakoczego jest tłumaczeniem pracy Salamona. Przy tej skali zapożyczeń nie ma mowy o parafrazy, czy też o przypadkowej zbieżności. W załączeniu zamieszczam zestawienie tekstów z podkreśleniem wspólnych partii”.

Dr Grabowski, który przed ośmiu laty jako doktorant wykrył liczne naruszenia praw autorskich w książce pt. *Kobieta w średniowiecznej Europie* autorstwa prof. Andrzeja Radziwińskiego (patrz: M. Wroński, *Jak stracić prestiż*, FA 6/2015), kończy swoją opinię następująco: „Ze względu zarówno na przedstawione powyżej argumenty, jak też i załączony aneks, nie ulega wątpliwości, że artykuł Jacka Rakoczego jest z punktu widzenia historyka i naukowca plagiatem i jako taki nie powinien zostać opublikowany”.

Anatomia działania

Po otrzymaniu e-maila oraz roboczej konkordancji (porównania obok siebie obydwu tekstów) od mgr. Jakuba Hendzla sprawdziłem zarzuty i powiadomiłem telefonicznie o plagiacie prof. M. Salamona. Ten był zbulwersowany faktem i podzielił się przykrą wiadomością z jednym ze swoich byłych bliskich

współpracowników, prof. Sławomirem Sprawskim, który objął po nim Zakład Historii Starożytnej i Bizancjum UJ. Ten poinformował pisemnie w poniedziałek 27 lutego dziekana Stanisława Roszaka.

Ja z kolei 28 lutego napisałem formalny list do rektora UMK, prof. Andrzeja Sokali, powiadamiając o plagiacie, załączając obydwie prace oraz konkordancję zapożyczeń i prosząc o odwołanie dr. Rakoczego ze stanowiska prodziekana. Kopię listu przekazałem prof. Krzysztofowi Mikulskiemu, prezesowi Pol-

skiego Towarzystwa Historycznego (PTH) oraz przewodniczącemu Rady Dyscypliny Historia Wydziału Nauk Historycznych UMK. PTH od niedawna posiada Komisję Etyki, którą kieruje prof. Krzysztof Zamorski z Wydziału Historii UJ w Krakowie. Jak mnie poinformowano, komisja podejmie kroki, aby stanąć w obronie splagiowanego prof. M. Salamona, wybitnego członka tego towarzystwa.

W połowie marca br. rektor A. Sokala napisał do mnie, że skierował sprawę do rzecznika dyscyplinarnego, prof. UMK

Rys. Sławomir Makal



PLAGIAT?

Pawła Nowickiego, który 23 marca wszczął postępowanie wyjaśniające. Dowiedziałem się też, że dr Rakoczy 27 lutego br. na ręce dziekana, prof. Stanisława Roszaka, złożył dymisję, której rektor Sokala nie przyjął, mimo że fakt popełnienia plagiatu nie ulega wątpliwości. Zawiesił go jednak od 14 marca w pełnieniu funkcji.

13 marca br. poprosiłem dr. Rakoczego o komentarz do popełnionego plagiatu. Odpowiedział bezzwłocznie: „Nie zachowałem należytej staranności badawczej. Taka sytuacja nie powinna się nigdy zdarzyć i sam jestem nią poruszony, ponieważ nie miałem intencji naruszenia czyichkolwiek praw autorskich. Niestety moja niedbałość i niedostatki warsztatu badawczego mogą prowadzić do osądzenia o nierzetelność. Obecnie oczekuję na decyzję moich przełożonych w kwestii procedur dyscyplinarnych”.

Cenię taką szczerość, ale uważam, że po 12 latach od obrony doktoratu „niedostatki warsztatu badawczego” powinny doprowadzić do natychmiastowej rezygnacji z tych wszystkich zaszczytnych stanowisk, które jeszcze piastuje dr Jacek Rakoczy i schowanie się do przysłowiowego „ciemnego kąta”. Dziwi mnie też, że na poważnym wydziale znanego uniwersytetu badawczego, jakim jest UMK, można powołać na prodziekana ds. naukowych adiunkta bez habilitacji. W ten sposób dobremu organizatorowi od trzech lat „zabierano czas”, który powinien przeznaczyć na rzetelną pracę naukową, co pozwoliłoby mu przeskoczyć „poprzeczkę habilitacyjną”.

Kiedy 3 marca br. poprosiłem dziekana S. Roszaka o komentarz do tej przykrew sprawy, odpowiedział, że przekazał sprawę rektorowi, nie wspominając mi o złożonej dymisji dr. Rakoczego. Nikomu nie przyszło do głowy, aby powołać ad hoc komisję dziekańską złożoną z trzech rzetelnych historyków (a jest ich tam przecież wielu), która szybko porównałaby obie prace i wydała werdykt.

Wykopalisko współczesne

Jak się wkrótce okazało, dr Antoni Grabowski, który z miejsca wziął pod lupę inne prace dr. J. Rakoczego, szybko wypatrzył kolejną nierzetelną publikację. Okazał się nią artykuł *Problematyka badań limesu dackiego w okolicy rzymskiego Fortu Bologa*, który wydrukowano w czasopiśmie (rocznik) „Acta Archeologica Lodziana”, 2016, vol. 62, str. 69–77. Praca ta jest plagiatem naukowym artykułu w języku angielskim napisanego przez dwóch rumuńskich archeologów: Felixa Marcu i George Cupcea z Uniwersytetu Babeş-Bolyai w Cluj-Napoca. Został on opublikowany w 2015 r. w czasopiśmie archeologicznym „Dacia”, wydawanym w Bukareszcie przez Rumuńską Akademię Nauk, pt. Recent developments in the Fort of Bologa and on the northwestern Dacian limes, tom LIX, str. 67-82. O ile w polskim artykule są cztery odniesienia bibliograficzne do artykułu rumuńskich badaczy (w tym mapka lokalizacji Fortu Bologa na str. 74), to cała treść pracy J. Rakoczego, łącznie z bibliografią, jest tłumaczeniem na język polski wspomnianego artykułu. Co ciekawe, dr Rakoczy zna osobiście obydwu archeologów, gdyż na początku artykułu informuje: „Od 2012 r. badania prowadzone są przez badaczy rumuńskich pod kierunkiem Felixa Marcu’a. Od 2014 r., w ramach umowy między Instytutem Archeologii UMK w Toruniu i Narodowym Muzeum Historii Transylwanii w Kluż-Napoca, badania są prowadzone przez zespół badawczy pod kierunkiem autora niniejszego artykułu”.

Mam nadzieję, że prof. Mariusz Mielczarek, redaktor naczelny tego czasopisma, wydawanego przez Łódzkie Towarzystwo Naukowe (prezes: prof. Antoni Różalski, sekretarz

generalny: prof. Wanda M. Krajewska), bezzwłocznie podejmie formalne kroki retrakcyjne w stosunku do tego brawurowego plagiatu naukowego.

Konieczne dalsze kroki, bo plagiat hańbi

Podobny proces retrakcyjny musi zacząć szybko (niezależnie od kroków dyscyplinarnych prowadzonych na UMK) Rada Naukowa Polskiej Misji Historycznej, której przewodniczy prof. Andrzej Radzimiński (nawiasem mówiąc, główny współredaktor tomu, w którym ukazał się plagiatowy rozdział). Członkami tej międzynarodowej rady są wybitni profesorowie z Niemiec i Polski, w tym prof. Helmut Flachenecker z Würzburga (też współredaktor pechowego tomu), jak również obaj rektorzy: prof. Paul Pauli, rektor Uniwersytetu w Würzburgu i prof. Andrzej Sokala, rektor UMK. Wydawca monografii, prawie trzystuletnie, poważne wydawnictwo naukowe Vandenhoeck & Ruprecht Verlage, powinien oficjalnym komunikatem unieważnić (retraktować) rozdział. Retrakcja, mówiąca, że to plagiat pracy prof. M. Salamona, powinna być na stałe połączona z książką, która jest w Open Access. Dr Rakoczy za swój rozdział dostał 225 punktów ministerialnych: 75 za redakcję monografii, 150 za rozdział.

Kolejnym krokiem jest wycofanie dr. J. Rakoczego z międzynarodowej Rady Polskiego Instytutu Archeologicznego w Atenach. Formalny wniosek do rektor UAM, prof. B. Kaniewskiej powinien złożyć przewodniczący Rady Naukowej PIAA, prof. Kazimierz Lewartowski z Wydziału Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego.

Zapewne sprawa tych dwóch zuchwałych plagiatów (ale czy jedynych?) odbije się echem w środowisku archeologiczno-historycznym, dlatego nie muszę zwracać uwagi, że nierzetelność naukowa „plami”, a takie pirackie teksty hańbią, dlatego obecność „splamionych” osób w różnego rodzaju radach, organach czy urzędach uderza w ich instytucjonalny prestiż.

Na zakończenie chciałbym dodać, że Komisja Etyki PTH 3 kwietnia 2023 r. zakończyła ocenę obydwu publikacji. W oświadczeniu napisano, że na wniosek z 23 marca 2023 r., podpisany przez trzech członków PTH, profesorów K. Mikulskiego, S. Sprawskiego oraz K. Zamorskiego, zdecydowano się „zając stanowisko w sprawie krzywdy wyrządzonej członkowi PTH prof. dr. hab. Maciejowi Salomonowi. Niebędący członkiem PTH dr Jacek Rakoczy w pracy *Abandoned, Lost or Forgotten?* [...] wykorzystał rozprawę Macieja Salamona pt. *Dacja w oczach pisarzy późnorzymskich (IV–VI w, n.e.)* [...] nie oznaczając autorstwa myśli, a w niektórych wypadkach dosłownie przetłumaczonych fragmentów pracy Macieja Salomona. Nie podaje też tej pracy w wykazie wykorzystanej literatury. Komisja zdecydowanie potępia tego typu działania. [...] Wydając to oświadczenie, Komisja solidaryzuje się z prof. Maciejem Salomonem. Warto zauważyć, że napisany przez niego prawie przed półwieczem artykuł nadal posiada dużą wartość naukową”.

Chciałbym podziękować mgr. Jakubowi Hendzłowi, doktorantowi z Uniwersytetu Łódzkiego, za odważną i rzetelną postawę oraz przekazanie informacji do „Forum Akademickiego”, gdyż największym wrogiem plagiatów jest rozgłos. Dziękuję też dr. Antoniemu Grabowskiemu, że pochylił się nad nierzetelnym rozdziałem i sporządził na potrzeby tego artykułu opinię, którą wraz z konkordancją mgr. J. Hendzla, można zobaczyć w linku pod tym tekstem, zamieszczonym na portalu forumakademickie.pl.

Marekwro@gmail.com

Absolwenski ranking uczelni KRASP

W świetle danych o trzech rocznikach absolwentów

Kategoryzacja trzech roczników absolwentów potwierdza ogólnie pozytywny obraz polskich uczelni akademickich: w znaczącej części absolwenci dostosowują się do oczekiwań pracodawców, uzyskując pięć lat po zakończeniu studiów przeciętnie lepsze wynagrodzenia niż bezpośrednio po studiach i będąc jednocześnie mniej zagrożonymi bezrobociem.

Uczelnie można kategoryzować ze względu na wybrane syntetyczne wskaźniki udostępniane od kilku lat w ogólnopolskim systemie monitorowania ekonomicznych losów absolwentów ELA (www.ela.nauka.gov.pl), budowanym na podstawie danych ZUS i wykorzystującym system POL-on. Warto zaprezentować kategoryzację na podstawie danych o trzech rocznikach absolwentów (2014, 2015 i 2016) dla uczelni członkowskich i stowarzyszonych Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich, dla studiów II stopnia i jednolitych magisterskich. Ponieważ opis systemu ELA jest ogólnodostępny, wspomnę jedynie, że podstawową jednostką w tym systemie jest grupa osób, która w danym roku otrzymała dyplom studiów I lub II stopnia lub jednolitych studiów magisterskich w pewnej uczelni na danym kierunku i w określonym trybie (grupy te są definiowane jednoznacznie poprzez numer w systemie POL-on).

Kategoryzacja obejmuje polskie uczelnie, które mają absolwentów we wszystkich trzech rocznikach, w rozbiciu na dwie grupy: uczelnie prowadzące studia II stopnia (absolwenci w 96,60% zarejestrowani w ZUS) oraz uczelnie prowadzące jednolite studia magisterskie (odpowiednio 93,54%).

Spośród dostępnych w systemie ELA charakterystyk dotyczących ekonomicznych losów absolwentów wybrałem dwa wskaźniki. Po pierwsze, mają one charakter syntetyczny, a po drugie, pozwalają na ocenę sytuacji absolwentów na rynku pracy w oderwaniu od miejsca zamieszkania. Są to:

- względny wskaźnik bezrobocia (WWB) odpowiadający ryzyku bezrobocia przeciętnego absolwenta w stosunku do stopy bezrobocia w jego powiecie zamieszkania; ryzyko bezrobocia jest definiowane jako średni procent miesięcy w okresie objętym badaniem, w których absolwenci byli zarejestrowani jako bezrobotni;

- względny wskaźnik zarobków (WWZ) zdefiniowany jako poziom zarobków przeciętnego absolwenta w stosunku do zarobków w powiecie jego zamieszkania.

Wskaźniki te są obliczane w systemie ELA dla każdej grupy absolwentów, a następnie agregowane tak, by przedstawiały informacje o uczelniach.

Kryteria kategoryzacji uczelni

Z definicji wybranych wskaźników wynika, że wartości WWB mniejsze niż 1 oznaczają, że absolwenci są zagrożeni bezrobociem w mniejszym stopniu niż przeciętne zagrożenie w powiatach ich zamieszkania, a wartości WWZ mniejsze niż 1 oznaczają, że ich przeciętne wynagrodzenia są niższe niż w powiatach ich zamieszkania. Przyjmując, że bazową grupą są uczelnie, których absolwentów charakteryzują takie właśnie wartości wskaźników ($WWB < 1$ i $WWZ < 1$), można wyodrębnić uczelnie „lepsze” i „gorsze” od bazowych. I tak uczelnie, w których przypadku $WWZ > 1$ i jednocześnie $WWB < 1$, określane są jako „lepsze” i odpowiednio uczelnie, w których przypadku $WWB > 1$ oraz $WWZ < 1$, jako „gorsze” niż bazowe. Dla domknięcia klasyfikacji przyjęto, że „lepsze” wartości wskaźników to $WWB \leq 1$ przy $WWZ > 1$ oraz $WWB < 1$ przy $WWZ \geq 1$. Odpowiednio przyjąłem, że „gorsze” wartości to także $WWB = WWZ = 1$. W dalszej części tekstu uczelnie bazowe są określane jako kategoria B, uczelnie „lepsze” – kategoria L, a „gorsze” – kategoria G.

Należy dodać, że istnieje jeszcze jedna (mało liczna) grupa takich uczelni, dla których przy $WWB > 1$ występują wartości $WWZ \geq 1$. Ponieważ nie jest intuicyjnie jasne to, jak interpretować sytuację grup absolwentów, w których przypadku wysokie relatywne zagrożenie bezrobociem towarzyszy wysokim relatywnym wynagrodzeniom, to uczelnie takie określam jako „osobliwe”. Tak zdefiniowaną kategoryzację ilustruje schemat 1.

Schemat 1. Kategorie uczelni ze względu na wartości WWB i WWZ

	WWB < 1	WWB = 1	WWB > 1
WWZ > 1	L	L	osobliwe
WWZ = 1	L	G	osobliwe
WWZ < 1	B	B	G

Źródło: opracowanie własne.

Zaproponowana kategoryzacja ma charakter dynamiczny, ponieważ wystąpienie danej uczelni w danej kategorii (dla danego rocznika) jest związane z określonym pomiarem. Wobec tego wzięcie pod uwagę pomiaru 1. i 5. pozwala na analizę przesunięć uczelni pomiędzy kategoriami wskazanymi na schemacie 1.

Biorąc to pod uwagę, przyporządkowuję poszczególnym grupom uczelni symbole kategorii według schematu 2.

Schemat 2. Oznaczenia kategorii uczelni w ujęciu dynamicznym

Kategoria		w pomiarze 5.		
		G	B	L
w pomiarze 1.	G	G	G → B	G → L
	B	B → G	B	B → L
	L	L → G	L → B	L

Źródło: opracowanie własne.

W tabelach 1-3 przedstawiam udziały poszczególnych kategorii dla uczelni członkowskich i stowarzyszonych w KRASP (ogółem dla studiów jednolitych magisterskich i II stopnia) dla kolejnych trzech roczników.

Tab. 1. Syntetyczne wyniki kategoryzacji dla rocznika 2014 (%)

Kategoria		w pomiarze 5.		
		G	B	L
w pomiarze 1.	G	7,55	35,85	10,06
	B	1,26	23,90	17,61
	L	0	0	3,77

Źródło: opracowanie własne

Tab. 2. Syntetyczne wyniki kategoryzacji dla rocznika 2015 (%)

Kategoria		w pomiarze 5.		
		G	B	L
w pomiarze 1.	G	7,55	36,48	5,66
	B	1,26	25,79	20,13
	L	0	0	2,52

Źródło: opracowanie własne

Tab. 3. Syntetyczne wyniki kategoryzacji dla rocznika 2016 (%)

Kategoria		w pomiarze 5.		
		G	B	L
w pomiarze 1.	G	6,29	36,48	5,66
	B	1,89	25,16	20,75
	L	0	0	3,77

Źródło: opracowanie własne

Dane w tablicach wskazują na zasadnicze podobieństwo wyników kategoryzacji dla trzech analizowanych roczników absolwentów. Też taką potwierdzają wyniki szczegółowe omawiane w dalszej części tekstu.

Omówienie wyników

Omówienie wyników skoncentruję na uczelniach prowadzących jednolite studia magisterskie i studia II stopnia, które uzyskały taką samą kategorię dla trzech pomiarów, przy wzięciu pod uwagę tożsamości uczelni określonej przynależnością do konferencji rektorów poszczególnych typów uczelni.

Trzeba zaznaczyć, że niektóre uczelnie (ze względu na różnorodność prowadzonych kierunków studiów) mają niejednoznaczność tożsamość, bo ich rektorzy należą do dwu lub trzech

konferencji branżowych. Z tego powodu w szczególności: uczelnie wojskowe należące jednocześnie do KRPUT klasyfikowałem jako KRPUT; uczelnie stowarzyszone z KRPUT, a nienależące do innych konferencji sklasyfikowałem jako KRPUT.

I tak, kategorię L dla trzech roczników mają dla studiów II stopnia: Polsko-Japońska Akademia Technik Komputerowych, Szkoła Główna Handlowa oraz stowarzyszona z KRPUT Szkoła Główna Służby Pożarniczej.

Kategorię B → L utrzymuje dla trzech roczników studiów II stopnia siedem (spośród 21) uczelni technicznych należących do KRPUT: Akademia Górniczo-Hutnicza, Politechnika Gdańska, Politechnika Łódzka, Politechnika Poznańska, Politechnika Warszawska, Politechnika Wrocławska, Wojskowa Akademia Techniczna oraz Wyższa Szkoła Policji w Szczytnie stowarzyszona z KRPUT. Ponadto kategorię tę dla studiów II stopnia mają: Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego, Uniwersytet Warszawski, uniwersytety ekonomiczne w Krakowie, Poznaniu i Wrocławiu, a także Collegium Civitas.

W przypadku jednolitych studiów magisterskich kategorię B → L mają uniwersytet Jagielloński i Uniwersytet Warszawski oraz wszystkie uczelnie medyczne należące do KRAUM: Gdański Uniwersytet Medyczny, Pomorski Uniwersytet Medyczny, Uniwersytet Medyczny w Białymstoku, Uniwersytet Medyczny w Lublinie, Uniwersytet Medyczny w Łodzi, Uniwersytet Medyczny w Poznaniu, Uniwersytet Medyczny we Wrocławiu, Śląski Uniwersytet Medyczny oraz Warszawski Uniwersytet Medyczny.

Stabilną kategorię B uzyskały dla trzech roczników studiów jednolitych magisterskich uczelnie związane z naukami teologicznymi: Akademia Katolicka, Chrześcijańska Akademia Teologiczna, Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Uniwersytet Papieski Jana Pawła II oraz uczelnie „aktorskie”: Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna w Krakowie i Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna w Łodzi.

Dla studiów II stopnia kategorię tę utrzymują akademie muzyczne w Bydgoszczy, Łodzi, Poznaniu, Katowicach, Krakowie, Wrocławiu i Uniwersytet Muzyczny Fryderyka Chopina. Ponadto uniwersytety Gdański, Łódzki i Wrocławski, dwie uczelnie medyczne: Pomorski Uniwersytet Medyczny i Uniwersytet Medyczny w Poznaniu, a także Akademia Pedagogiki Specjalnej, Akademia Wychowania Fizycznego i Sportu w Gdańsku. Spośród uczelni niepublicznych stabilną kategorię B mają Szkoła Wyższa im. Pawła Włodkowica w Płocku i Wyższa Szkoła Humanitas w Sosnowcu.

Żadna z analizowanych uczelni nie otrzymała stabilnej dla trzech roczników kategorii B → G.

W przypadku kategorii G → L stabilnie dla trzech roczników występują: Uniwersytet Warmińsko-Mazurski dla studiów jednolitych magisterskich oraz sześć politechnik dla studiów II stopnia. Są to politechniki: Krakowska, Lubelska, Rzeszowska, Śląska, Świętokrzyska oraz Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny i Lotnicza Akademia Wojskowa.

W najliczniejszej kategorii G → B, także wskazującej na poprawę ekonomicznych losów absolwentów stabilnie dla trzech roczników absolwentów studiów II stopnia, sklasyfikowana jest grupa uniwersytetów: Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II, Uniwersytet Jana Kochanowskiego, Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej, Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Uniwersytet Kazimierza Wielkiego, Uniwersytet Śląski, Uniwersytet Opolski, Uniwersytet Rzeszowski, Uniwersytet w Białymstoku, Uniwersytet Warmińsko-Mazurski, Uniwersytet Zielonogórski, a także Uniwersytet Papieski w Krakowie. Ponadto kategorię G → B dla trzech roczników absolwentów studiów II stopnia uzyskują: Akademia Sztuki w Szczecinie i Uniwersytet Artystyczny

w Poznaniu, politechniki Białostocka i Koszalińska, Akademia Techniczno-Humanistyczna w Bielsku Białej, Uniwersytet Techniczno-Humanistyczny w Radomiu. Spośród uczelni pedagogicznych kategorię tę ma Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie i Akademia Ignatianum, a spośród przyrodniczych Uniwersytet Przyrodniczy w Lublinie, Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu i Uniwersytet Rolniczy w Krakowie. Kategorię tę dla studiów II stopnia mają także stabilnie akademie wychowania fizycznego w Katowicach, Krakowie i Wrocławiu.

W przypadku jednolitych studiów magisterskich kategorię G→B dla trzech roczników mają trzy uniwersytety: Łódzki, Szczeciński i Śląski, dwie uczelnie przyrodnicze: Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego i Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu (dotyczy to kierunku weterynaria), a także Akademia Sztuk Pięknych w Katowicach.

Kategorię G dla trzech roczników mają akademie sztuk pięknych w Łodzi i Warszawie dla studiów II stopnia oraz Uniwersytet Rzeszowski dla jednolitych studiów magisterskich.

Podsumowując powyższe omówienie, można zauważyć, że większość spośród uczelni należących do KRASP lub stowarzyszonych z KRASP ma taką samą kategorię dla każdego z trzech roczników absolwentów. Przykładowo dla studiów II stopnia spośród 20 uczelni należących do KRUP 15 ma kategorię G→B, spośród 21 związanych z KRPUT 6 ma kategorię G→L, 8 kategorii B→L, a wśród należących do KRUA 8 spośród 19 ma kategorię B. Dla studiów jednolitych magisterskich wszystkie uczelnie należące do KRAUM mają kategorię B→L. Z jednej strony potwierdza to poprawność przyjętej metodologii, a z drugiej dowodzi, że „szybkie” zmiany kategorii są trudne. Wśród badanych uczelni dla trzech roczników absolwentów nie występują ścieżki zmian kategorii takie jak od kategorii G poprzez G→B do B, od G poprzez G→L do L albo B, B→L, L. Należy jednak odnotować jeden przypadek zmian negatywnych dotyczący Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi, która dla rocznika 2014 miała kategorię B, dla rocznika 2015 B→G, by dla rocznika 2016 spaść do kategorii G. Warto też odnotować kilkanaście przypadków „powolnych” zmian na korzyść. I tak sekwencja kategorii G – G→B – G→B dla kolejnych roczników związana jest z absolwentami Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu (studia II stopnia), Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego im. J. Długosza w Częstochowie (także studia II st.), Uniwersytetu Przyrodniczo-Humanistycznego w Siedlcach (studia II st.) oraz Uniwersytetu Opolskiego (jednolite studia magisterskie). Z kolei sekwencja B – B→L – B→L związana jest z Uczelnią Łazarskiego (studia II st.), sekwencja B – B – B→L z Warszawskim Uniwersytem Medycznym (studia II st.) oraz Wyższą Szkołą Gospodarki w Bydgoszczy (studia II st.). Przejście od kategorii G→B dla rocznika 2014 do kategorii B dla dwu kolejnych roczników odnotowują: Krakowska Akademia A.F. Modrzewskiego i Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego (w obu przypadkach studia II stopnia), natomiast z kategorii G→B dla roczników 2014 i 2015 do kategorii B Akademia Marynarki Wojennej, Akademia Morska w Szczecinie, Uniwersytet Szczeciński oraz Wyższa Szkoła Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie (wszystkie dla studiów II stopnia) oraz Akademia Pedagogiki Specjalnej (studia jednolite magisterskie).

Przejścia do kategorii L dotyczą Politechniki Opolskiej (studia II stopnia, sekwencja kategorii G→B, G→B, G→L) oraz Uniwersytetu Techniczno-Przyrodniczego w Bydgoszczy (studia II stopnia) i Uniwersytetu Mikołaja Kopernika (studia jednolite magisterskie) – w obu ostatnich przypadkach sekwencja kategorii to G→L, B→L, B→L.

Podsumowanie

Kategoryzacja trzech roczników absolwentów potwierdza ogólnie pozytywny obraz polskich uczelni akademickich: w znaczącej części absolwenci dostosowują się do oczekiwań pracodawców, uzyskując pięć lat po zakończeniu studiów przeciętnie lepsze wynagrodzenia niż bezpośrednio po studiach i będąc jednocześnie mniej zagrożonymi bezrobociem. W znaczącej części przypadków nie oznacza to jednak wynagrodzeń przeciętnie wyższych niż w powiatach zamieszkania i zagrożenia bezrobociem mniejszego niż w tych powiatach. Należy przy tym podkreślić, że chodzi o powiaty zamieszkania, a nie miejsce studiowania.

Wyniki kategoryzacji potwierdzają też, że na wartości wskaźników WWB i WWZ, a w konsekwencji na uzyskaną kategorię istotny wpływ ma tożsamość uczelni wydającej dyplom zdefiniowana przynależnością do konferencji rektorów.

Na koniec trzeba jeszcze raz podkreślić, że wyniki zaproponowanej kategoryzacji dotyczą uczelni, ale wynikają z ekonomicznych losów przeciętnych absolwentów poszczególnych uczelni.

ANEKS

Kategoryzacja uczelni

W prezentowanych tabelach wskazano konferencję rektorów, do której należy dana uczelnia; używane są nazwy, jakie uczelnie nosiły w październiku 2022 r.

Studia jednolite magisterskie

Uczelnie kategorii G:

KRUP	Uniwersytet Rzeszowski
------	------------------------

Uczelnie kategorii G→B:

KRUP	Uniwersytet Łódzki
KRUP	Uniwersytet Szczeciński
KRUP	Uniwersytet Śląski
KRUA	Akademia Sztuk Pięknych w Katowicach
KRURiP	Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego
KRURiP	Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu

Uczelnie kategorii G→L:

KRUP	Uniwersytet Warmińsko-Mazurski
------	--------------------------------

Uczelnie kategorii B:

KRUP	Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego
KRUP	Uniwersytet Papieski Jana Pawła II
KRUA	Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna w Łodzi
KRUA	Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna w Krakowie
	Chrześcijańska Akademia Teologiczna
	Akademia Katolicka w Warszawie

Uczelnie kategorii B→L:

KRUP	Uniwersytet Jagielloński
KRUP	Uniwersytet Warszawski
KRAUM	Gdański Uniwersytet Medyczny
KRAUM	Pomorski Uniwersytet Medyczny
KRAUM	Śląski Uniwersytet Medyczny

KRAUM	Uniwersytet Medyczny w Białymstoku
KRAUM	Uniwersytet Medyczny w Katowicach
KRAUM	Uniwersytet Medyczny w Lublinie
KRAUM	Uniwersytet Medyczny w Łodzi
KRAUM	Uniwersytet Medyczny w Poznaniu
KRAUM	Warszawski Uniwersytet Medyczny

Studia II stopnia:

2.1. Uczelnie kategorii G:

KRUA	Akademia Sztuk Pięknych w Łodzi
KRUA	Akademia Sztuk Pięknych w Warszawie

2.2. Uczelnie kategorii G→B:

KRUP	Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II
KRUP	Uniwersytet Jana Kochanowskiego
KRUP	Uniwersytet Kazimierza Wielkiego
KRUP	Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej
KRUP	Uniwersytet Mikołaja Kopernika
KRUP	Uniwersytet Opolski
KRUP	Uniwersytet Papieski Jana Pawła II
KRUP	Uniwersytet Rzeszowski
KRUP	Uniwersytet Śląski
KRUP	Uniwersytet Opolski
KRUP	Uniwersytet Rzeszowski
KRUP	Uniwersytet Śląski
KRUP	Uniwersytet w Białymstoku
KRUP	Uniwersytet Warmiński–Mazurski
KRUP	Uniwersytet Zielonogórski
KRPUT	Akademia Techniczno-Humanistyczna w Bielsku-Białej
KRPUT	Politechnika Białostocka
KRPUT	Politechnika Koszalińska
KRPUT	Uniwersytet Technologiczno-Humanistyczny w Radomiu
KRURiP	Uniwersytet Przyrodniczy w Lublinie
KRURiP	Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu
KRURiP	Uniwersytet Rolniczy w Krakowie
KRUPed	Akademia Ignatianum
KRUPed	Akademia Pomorska
KRUPed	Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie
KRUA	Akademia Sztuk Pięknych w Katowicach
KRUA	Akademia Sztuki w Szczecinie
KRUA	Uniwersytet Artystyczny w Poznaniu
KRAWF	Akademia Wychowania Fizycznego w Krakowie
KRAWF	Akademia Wychowania Fizycznego w Katowicach
KRAWF	Akademia Wychowania Fizycznego we Wrocławiu

2.3. Uczelnie, kategorii G→L:

KRPUT	Politechnika Rzeszowska
KRPUT	Politechnika Świętokrzyska

KRPUT	Politechnika Krakowska
KRPUT	Politechnika Lubelska
KRPUT	Politechnika Śląska
KRPUT	Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny
KRPUW	Lotnicza Akademia Wojskowa

2.4. Uczelnie kategorii B:

KRUP	Uniwersytet Gdański
KRUP	Uniwersytet Łódzki
KRUP	Uniwersytet Wrocławski
KRUPed	Akademia Pedagogiki Specjalnej
KRAUM	Pomorski Uniwersytet Medyczny
KRAUM	Uniwersytet Medyczny w Poznaniu
KRUA	Akademia Muzyczna w Bydgoszczy
KRUA	Akademia Muzyczna w Gdańsku
KRUA	Akademia Muzyczna w Katowicach
KRUA	Akademia Muzyczna w Krakowie
KRUA	Akademia Muzyczna w Łodzi
KRUA	Akademia Muzyczna w Poznaniu (2014,2015, 2016)
KRUA	Akademia Muzyczna we Wrocławiu
KRUA	Uniwersytet Muzyczny Fryderyka Chopina
KRAWF	Akademia Wychowania Fizycznego i Sportu
	Dolnośląska Szkoła Wyższa we Wrocławiu
	Górnośląska Wyższa Szkoła Handlowa
	Szkoła Wyższa im. P. Włodkowica w Płocku
	Wyższa Szkoła Humanitas w Sosnowcu

2.5. Uczelnie kategorii B→L:

KRUP	Uniwersytet Warszawski
KRPUT	Akademia Górniczo-Hutnicza
KRPUT	Politechnika Gdańska
KRPUT	Politechnika Łódzka
KRPUT	Politechnika Poznańska
KRPUT	Politechnika Warszawska
KRPUT	Politechnika Wrocławska
KRPUT	Wojskowa Akademia Techniczna
KRURiP	Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego
KRUE	Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie
KRUE	Uniwersytet Ekonomiczny w Poznaniu
KRUE	Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu
KRPUW	Wyższa Szkoła Policji w Szczytnie
	Collegium Civitas
	Wyższa Szkoła Finansów i Zarządzania w Warszawie

2.6. Uczelnie kategorii L:

KRUE	Szkoła Główna Handlowa
KRPUW	Szkoła Główna Służby Pożarniczej
KRPUT	Polsko-Japońska Akademia Technik Komputerowych

Prof. dr hab. Marek Rocki, ekonomista, Kolegium Analiz Ekonomicznych,
Instytut Ekonometrii SGH w Warszawie

Rozmowa z Błażem Ostoją Lniskim, rektorem Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie

„A” jak akademia

Myszę, że obecny system ewaluacji nie uwzględnia specyfiki szkół artystycznych, nawet w sytuacji, gdy są one ewaluowane metodą ekspercką.

„Istotny jest dla mnie moment, kiedy stare zostaje strącone w przeszłość, zdegradowane poprzez nałożenie nowej warstwy. Takie działanie sprawia, że zachodzi zjawisko prześwitywania, tu i teraz, versus tam i niegdyś. Każda nowa warstwa istnieje w takiej a nie innej formie dzięki swoim poprzednikom...”. Czy ten komentarz do pańskiej twórczości możemy odnieść także do sytuacji warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych?

Z całą pewnością nie można zapominać o tym, co było wcześniej, bo tak kształtuje się nasza tożsamość. Pochodzę z Kaszub, mogłem więc zdawać egzamin na uczelnię położoną bliżej mojego miejsca zamieszkania, wybrałem jednak Warszawę ze względu na tradycję i profesorów, u których chciałem studiować.

U kogo konkretnie?

W pracowni prof. Rajmunda Ziemskiego, który z kolei studiował u Artura Nachta-Samborskiego w warszawskiej ASP. Tu za mną, na ścianie, wisi obraz prof. Ziemskiego, obok prac innych artystów związanych z uczelnią. Wybierając póź-

niej litografię jako specjalizację dodatkową, także wpisałem się w pewną tradycję, która akcentuje związek tej dziedziny z malarstwem. Kulturowanie tradycji oczywiście nie wyklucza otwierania się na to, co nowe. Jeszcze jako dziekan Wydziału Grafiki wprowadziłem dużo dodatkowych zajęć fakultatywnych. Chociaż ukończyłem malarstwo, zajmuję się także grafiką, plakatem, książką, projektuję kroje pism. Aby się tego nauczyć, uczęszczałem na dodatkowe zajęcia, a widząc ich przydatność, także w sensie zawodowym, postanowiłem zainteresować nimi studentów. W Pałacu Czapskich mamy świetnie wyposażoną zecernię. Nie zapominamy o tradycyjnym drukowaniu, ale prowadzimy też na przykład otwartą dla wszystkich platformę kursownik.pl, gdzie można znaleźć filmy instruktażowe dotyczące oprogramowania przydatnego m.in. w tworzeniu fontów. Z tej darmowej platformy korzysta obecnie kilkadziesiąt tysięcy osób. Warsztat graficzny, ale także ogólnoplastyczny w połączeniu z najnowszymi technologiami dają szansę na realizację świetnych projektów o dużych walorach artystycznych.



Kandydując na stanowisko rektora ASP, swój program wyborczy wyraził pan w dwóch kluczowych hasłach: **Akademia Otwarta i Akademia Użyteczna. Co to oznacza w praktyce?**

Akademia Otwarta to program, który realizujemy w Pałacu Czapskich, czyli w miejscu, gdzie się obecnie znajdujemy. Pałac przeszedł gruntowną rewitalizację, zakończoną w czerwcu 2021 r. Wydarzeniem, które zainaugurowało nowe otwarcie, było 27. Międzynarodowe Biennale Plakatu w Warszawie. Można powiedzieć, że tym samym biennale wróciło do siebie, do swoich źródeł. Bardzo zależało nam, aby odbywało się właśnie w tej lokalizacji i w bieżącym roku planujemy jego trzecią odsłonę.

Obecnie w odkopanych piwnicach pałacu funkcjonuje Galeria –1, mamy także Galerię Salon Akademii, a powyżej pomieszczeń rektoratu mieści się siedziba Muzeum ASP, które gromadzi bogatą kolekcję prac z różnych dziedzin sztuk plastycznych oraz zbiory dokumentalne związane z historią uczelni. Akademia Otwarta zakłada udostępnienie pałacu jako miejsca organizacji różnych wydarzeń artystycznych, kulturalnych i naukowych. Działamy bardzo intensywnie, wspomnę chociażby o Festiwalu *Niepodległa* czy corocznym otwartym przeglądzie młodej sztuki *UpComing* – wystawy wybranych dyplomów ze wszystkich wydziałów naszej uczelni, której towarzyszy katalog ukazujący prace w kontekście wnętrz pałacowych. Pałac jest nieco oddalony od Krakowskiego Przedmieścia, rewitalizacja objęła więc także oś komunikacyjną, żeby zainteresować i zachęcić przechodniów do odwiedzenia nas. Otwartość Akademii przekłada się na jej użyteczność. Prowadzimy np. kursy dla osób w różnym wieku, które chciałyby korzystać z warsztatów ceramicznych czy rzeźbiarskich. Akurat zakończyły się zapisy, limity już się wyczerpały. W warsztatach będzie uczestniczyć aż 120 osób. Organizujemy też różne imprezy dla dzieci. Działamy więc na wszystkich frontach. Wspomnę jeszcze o współpracy ze spółką Pałac Saski przy planowanej odbudowie pałacu, a także rekonstrukcji rzeźb z Pałacu Brühla. Mam świadomość, że zdania w sprawie odbudowy są podzielone, nie byłoby jednak dobrze, gdyby pałac powstał, a Akademia nie miała w tym swojego udziału. Listy intencyjne są podpisane, rozmawiamy już z rzeźbiarzami, którzy niebawem będą jeździć do kamieniołomów i wybierać odpowiednie materiały. Praca wre.

Jak ocenia pan aktualny system ewaluacji uczelni artystycznych? Konsekwencją ubiegłorocznej ewaluacji były liczne odwołania. Ostatecznie warszawskiej Akademii przyznano kategorię A.

Uważam, że ewaluacja powinna być wyraźnie powiązana z jakością kształcenia, z tym jak uczelnia i jej pracownicy funkcjonują w środowisku artystycznym. Mówiąc o dydaktyce w szkolnictwie artystycznym trzeba dostrzegać dwie płaszczyzny, bo dydaktyk musi także odnaleźć się jako artysta. Trzeba jednak zacząć od tego, że sztuka jest dziedziną nauki, oczywiście w sensie uregulowań formalnych, a nie swej istoty. Jak wiemy, na uczelniach są etaty badawcze, dydaktyczne i badawczo-dydaktyczne. Pojawia się pytanie, czy sami badacze są nam potrzebni? Niedawno rozmawiałem na ten temat z prof. Alojzym Z. Nowakiem, rektorem Uniwersytetu Warszawskiego. Doszliśmy do wniosku, że jeżeli zatrudnimy tak wielu świetnych badaczy, którzy są chlubą naszych uczelni, to jest rzeczą kluczową, aby studenci mieli z nimi kontakt. Myślę, że obecny system ewaluacji nie uwzględnia specyfiki szkół artystycz-

nych, nawet w sytuacji, gdy są one ewaluowane metodą ekspercką. W takim systemie ewaluacyjnym sami siebie oceniamy, co nie jest dobre. Na spotkaniach Konferencji Rektorów Uczelni Artystycznych pojawiają się głosy, że to powinno być zmienione.

Czy za nimi idą jakieś konkretne inicjatywy?

Tak. W ramach KRUA powołano trzy zespoły: dla artystów, muzyków i aktorów, pracujemy nad konkretnymi rozwiązaniami, a wnioski będą przedstawione ministerstwu. Uważam także, że osoby zatrudnione na stanowiskach dydaktyczno-badawczych przed zamknięciem okresu rozliczeń nie powinny mieć możliwości wycofania swoich osiągnięć, bo to w konsekwencji wpływa na liczbę N. Niestety czasami tak się dzieje. Druga sprawa to wspomniane już połączenie ewaluacji z jakością kształcenia. Jak widzimy, w ostatniej ewaluacji najbardziej straciły duże uczelnie. Jeżeli mamy spore środowisko dydaktyków, wówczas rekordy rozkładają się inaczej niż w przypadku niewielkich jednostek. Nie należy zapominać, że uczelnie artystyczne są dobrem narodowym, kulturowym, o które należy dbać. Nie może być tak, że z powodu braku pieniędzy będą musiały się zadłużać i rezygnować z badań naukowych.

Na szczęście zmiana kategorii zmienia także sytuację finansową uczelni.

Tak, ale kiedy wpłyną środki? W czerwcu? Tymczasem musimy bazować na prognozie zeszłorocznej. A weźmy chociażby rachunki za prąd, które wzrosły prawie dziesięciokrotnie. Jak myśleć o misji Akademii, gdy brakuje środków na podstawowe funkcjonowanie i nawet ewaluacja znacząco nie poprawi tej sytuacji?

Niektóre uczelnie przeszły w zimie na hybrydowy tryb nauczania.

Ale jak uczelnia artystyczna może rezygnować np. z warsztatów? To tak jakby muzykowi, który gra na organach, powiedzieć, że teraz będzie ćwiczył w domu na flecie. To nie ma sensu. Wracając do ewaluacji, dostrzegam także niebezpieczeństwo uzależnienia oceny od miejsca ekspozycji prac. Już nie jest ważne kto, ale gdzie wystawia. Nie ma przecież oficjalnego rankingu galerii, muzeów czy innych instytucji, choć w środowisku wiemy mniej więcej, co jest na topie, a co niekoniecznie. Poza tym, dlaczego wartościować dzieło np. Leona Tarasewicza czy Mirosława Bałki, które raz będzie wystawiane w warszawskiej Zachęcie, a innym razem w Grodzisku Mazowieckim. Czy to dzieło traci? Oczywiście, że nie. Ale jeśli chodzi o ewaluację – traci i to bardzo.



Ten sam problem dotyczy oceny dokonań młodych artystów.

Tak, często zastanawiam się, jak pomóc młodym. Pensja profesorska od 1 stycznia br. została zwiększona do 7210 zł, a pensja asystencka nie może wynosić mniej niż 50% pensji profesorskiej. Co za tym idzie, po podniesieniu najniższej pensji krajowej, asystent zarabia o 5 zł więcej niż najniższa krajowa wynosi. Jak przekonać go, żeby intensywnie angażował się w działalność dydaktyczną i artystyczną? Sprawy kadrowe są ważne, jesteśmy dużą uczelnią, mamy sześćset pracowników: czterystu dydaktyków i dwustu pracowników administracyjnych, a studiuje u nas tysiąc pięćset osób.

Czy zmniejsza się zainteresowanie absolwentów podjęciem pracy na uczelni?

Tak, w sytuacji, gdy widać, jak młodzi pracownicy awansują i nie idzie za tym nic albo niewiele. W dodatku nie wszyscy z nich mogą być zatrudnieni na pełnych etatach. Wielu pracowników jest spoza Warszawy, muszą dojeżdżać albo ponosić koszty wynajmu. Czasami są zmuszeni dorabiać poza uczelnią, żeby wszystko się dopinało. Nie chciałbym być teraz w skórze młodego pracownika. Może kiedyś sytuacja się poprawi. Oby jak najszybciej.

A jakie zmiany obserwuje pan w kształceniu artystycznym? Jakie jest miejsce malarstwa i rysunku w Akademii w kontekście sztuki nowych mediów i kierunków projektowych?

Pomimo ogólnej tendencji do redukcji godzin malarstwa i rysunku, u nas jest na odwrót, zwłaszcza jeśli są to przedmioty kierunkowe. Uważam za dużą wartość, jeśli student np. z wydziału grafiki po zajęciach korektowych wraca do pracowni malarsko-rysunkowej, gdzie może się realizować i uwrażliwiać. Szukając analogii z kształceniem muzycznym: zmniejszyć liczbę zajęć malarsko-rysunkowych to tak, jakby ograniczyć muzykom dostęp do sali ćwiczeń. Ktoś idzie na zajęcia, pokazuje co potrafi, jest korekta, ale to nie wystarczy, przecież później musi gdzieś ćwiczyć. Dużą wartością jest to, że pracownie prowadzą świetni pedagodzy i nawet jeśli student wybiera projektowanie, zajmuje się nie tylko tzw. designem, ale przez cały czas uprawia sztukę. Uważam, że to jest bardzo cenne i zamierzam o to dbać, jak długo będę rektorem.

Czy ta koncepcja znajduje wyraz w programie studiów?

Tak. Od pierwszego do czwartego roku mamy pełen zakres malarsko-rysunkowy, a jeśli ktoś wybierze aneks, wówczas uczestniczy w takich zajęciach także na ostatnim roku. Pracownie malarsko-rysunkowe są na każdym wydziale. Mamy więc wszystko, co jest potrzebne, aby jeszcze bardziej pogłębić wrażliwość studentów. Można oczywiście kumulować zajęcia, ale na pewno nie jest dobrze, jeśli ktoś rozpoczyna zajęcia z rysunku np. od trzeciego czy czwartego roku. Widać to także w pracy ze studentami, którzy przyjeżdżają z zagranicy w ramach programu Erasmus.

W polskim szkolnictwie artystycznym kształcenie w zakresie sztuk czystych jest jeszcze doceniane, wbrew trendom dostępnym na niektórych uczelniach zachodnioeuropejskich.

Gdy wyjeżdżaliśmy z kolei na wschód, na przykład na Ukrainę, widzieliśmy, że w tamtejszych uczelniach jest bardzo mocny nacisk na akademizm. Jesteśmy więc trochę w szpary – pomiędzy Wschodem a Zachodem.

Paradoksalnie, to chyba dobra pozycja?

Otóż to. Możemy być silni w różnych dziedzinach.

Jakie kierunki cieszą się obecnie największym zainteresowaniem kandydatów?

Z rekrutacją nie mamy problemów. Z reguły największym powodzeniem cieszy się grafika, ostatnio mieliśmy ośmiu kandydatów na jedno miejsce. Na malarstwie na jedno miejsce przypadało pięciu kandydatów. Najmniej jest chyba na rzeźbie, ale jak na razie nie widzę zagrożenia. Prowadzimy także Wydział Badań Artystycznych i Studiów Kuratorskich, na którym studenci mają możliwość uczestniczenia w zajęciach teoretycznych i ogólnoplastycznych, biorą też udział w rozmaitych zajęciach pracowniowych, aby uzyskać szerszą perspektywę tego, co dzieje się w Akademii. Jak dobrze działa taka formuła, widać przy okazji różnych wydarzeń organizowanych przez studentów, którzy przyjmują wówczas rolę kuratorów. Są bardzo kreatywni i myślę, że właśnie to jest siłą naszej uczelni.

Rozmawiała Krystyna Matuszewska
Zdjęcia z archiwum warszawskiej ASP.



Czytelnia czasopism

Słowa pełne jadu

Przemoc nie oznacza wyłącznie agresywnych czynów i zadawanych ran. Jest też widoczna w języku. Trudno się oprzeć wrażeniu, że właśnie ta jej niematerialna odmiana w ostatnich czasach notuje zwykłą tendencję. Zalewająca świat mowa nienawiści czyni tak dużo złego, że coraz więcej osób zaczyna głośno mówić o tym, że należy w sposób zdecydowany się jej przeciwstawić. Do tego zdania przychyliła się także dr hab. Wiktor Dróżdź, prof. UMK. W rozmowie z czasopismem Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu „Głos Uczelni” (nr 11-12/2022) interlokutor podkreśla, że nie wolno zaprzestawać troski o wyeliminowanie hejtu z przestrzeni publicznej, albowiem jego skutki są długofalowe i niezwykle groźne. Chociaż ofiarą



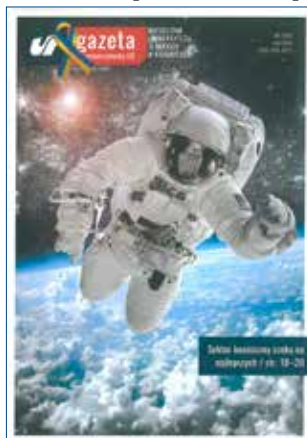
nienawistnych komentarzy może stać się każdy, to grupę najbardziej podatną na ich skutki stanowią osoby młode, które dopiero wkraczają w dorosłe życie. Wiadomo, że w tym wieku rówieśnicy są ważnym punktem odniesienia, nie może więc dziwić, że każdy przejaw braku akceptacji z ich strony, odrzucenie, brutalna krytyka, a także ośmieszanie, deprecjonowanie, upokarzanie czy zastraszanie i zniesławianie,

są szczególnie trudne do wytrzymania. Szybkemu rozprzestrzenianiu się przemocy słownej sprzyja przeniesienie niezwykle dużej części komunikacji międzypolepczej do przestrzeni cyfrowej, w której łatwiej o anonimowość.

A kim jest hejter? W zarysie sylwetki takiej osoby dominują narcystyczne cechy osobowości, przecenianie swojej wartości i odgrywanej roli, a także przejawianie zdolności do manipulacji. To może być także ktoś, kto jest pełen złości i frustracji, kto kieruje się w życiu zawiścią i nienawiścią, kogo celem jest krzywdzenie innych.

Prewencja dla roślin

Grzyby czy bakterie chorobotwórcze to zмога wielu osób zajmujących się uprawami. Używanie do walki z patogenami różnego rodzaju środków nie zawsze dobrze się kończy. Wystarczy spojrzeć na negatywne skutki zarówno dla środowiska, jak i człowieka, spowodowane na przykład długotrwałym używaniem pestycydów. Mając



świadomość takiego stanu rzeczy naukowcy z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach zainteresowali się problematyką ochrony roślin, która pozwoli skutecznie przeciwdziałać szkodnikom, nie wywołując przy okazji destrukcyjnych następstw. W ten sposób narodziła się idea stworzenia biologicznej szczepionki dla roślin.

Okazało się, że ważną rolę w przygotowaniu skutecznego i bezpiecznego środka prewencji mają do odegrania bakterie endofityczne. Ich zaletą jest to, że produkują m.in. hormony roślinne stymulujące wzrost czy związki ułatwiające pobieranie niektórych pierwiastków. Potrafią także tworzyć pęcherzyki, które w sposób szczególnie zainteresowały badaczy. W tych swoistych banieczkach zamykane są bowiem najróżniejsze cząstki. Naukowcom zależy, by nauczyć się pobudzać bakterie tak, by wytwarzały pożądane przez nich rodzaje pęcherzyków, czyli takich, które będą zawierać substancje o znaczeniu leczniczym. Odpowiednio ukształtowane pęcherzyki można by potem potraktować jako rodzaj transmiterów dostarczających szczepionkę do wnętrza rośliny. W ten sposób ma szansę powstać kolejna biologiczna metoda zapobiegająca rozwojowi groźnych chorób powodujących niszczenie upraw. Co ważne, metoda bezpieczna, służąca środowisku i wszystkim się w nim znajdującym. Więcej informacji na temat prowadzonego projektu i jego potencjału aplikacyjnego znaleźć można na łamach miesięcznika „Gazeta Uniwersytecka UŚ” (nr 5/2023).

O nauce inaczej

Robienie szumu wokół poszczególnych osób to zjawisko powszechne. W ten sposób kreuje się ich popularność. A jak zrobić szum wokół fizyki? O tym opowiada pismu Politechniki Poznańskiej „Głos Politechniki” (nr 5/2022) dr inż. Adam Buczek, prof. PP, który jest popularyzatorem tej dziedziny nauki i autorem wielu wydarzeń edukacyjnych. Rozmówca zdradza sekrety ich organizacji i podkreśla, że udany pokaz wymaga przede wszystkim dobrego pomysłu, takiegoż samego przygotowania i wreszcie doskonałej organizacji. Ważne jest, by na każdym z etapów nie zaniedbać niczego, począwszy od spraw



technicznych, które wydawać by się mogły banalne, jak chociażby zabezpieczenie i transport sprzętu, na wybraniu atrakcyjnych i równocześnie bezpiecznych doświadczeń, skończywszy. Trzeba dobrze przemyśleć wszelkie szczegóły, aby nie okazało się na przykład, że to, co wychodzi w małej pracowni, w dużej sali może okazać się niewypałem. O ostatecznym sukcesie mogą zdecy-

dować detale. Czasem wystarczy powiew powietrza albo specyficzne warunki oświetleniowe, by trzeba było zrezygnować z jakiegoś konkretnego doświadczenia.

Nie do przecenienia jest oczywiście postać popularyzatora. Dr Buczek podkreśla, że powinien on być przede wszystkim dobrym wykładawcą, któremu nie straszne jest występowanie na scenie. Ponadto musi być przebojowy i mieć poczucie humoru, które przydaje się w najbardziej niespodziewanych momentach. Bez wątpienia fizyka, uważana dzisiaj przez wielu uczniów za jeden z najtrudniejszych przedmiotów w szkole, ma szansę po takich pokazach diametralnie zmienić swój status.

Aneta Zawadzka

Nie każdemu, nie wszystko, nie zawsze

Redaktor musi być tego subiektywizmu świadomy i z jednej strony uważać, aby mimo woli nie stać się częścią cancel culture, usuwającej niektóre głosy poza nawias i będącej formą mało wyrafinowanej cenzury, a z drugiej nie dać się szantażować moralnie tym, że jego postawa nie jest „obiektywna”.

Pisałem już na tych łamach o wybranych etycznych zagadnieniach związanych z pisaniem i publikowaniem artykułów naukowych, jednak głównie o obowiązkach autorów. Obowiązki redaktora wynikające z pryncypiów etyki zawodowej były zaś wspomniane przede wszystkim w kontekście namawiania przez (niemających najczęściej złych intencji) autorów do zrobienia wyjątku dla artykułu niespełniającego jakiegoś wymogu (często chodzi np. o zmianę kolejności autorów czy dodanie autora już po przyjęciu artykułu do druku).

Jednak redaktor nie jest surowym sędzią, oceniającym autora i jego postawę, on także może złamać prawo, wykroczyć przeciw przyjętym w branży standardom, a także zachować się wbrew zwykłej ludzkiej przyzwoitości, nawet jeśli dane zachowanie nie jest karalne. Niektóre przytaczane przykłady odnoszą się do publikacji innych niż stricte naukowe, ale mają zastosowanie przy każdym typie redagowanych tekstów.

Najważniejszą zasadą etyki edytorskiej, obowiązującą zarówno przy pracy nad samymi tekstami, jak i podczas kontaktów z autorami, jest ścisła poufność. Ja sam sporadycznie mam kontakt z treściami wrażliwymi ze względów osobistych (nie mam uprawnień tłumacza przysięgłego czy sądowego), ale ujawnianie osobom postronnym (tj. innym niż współautorzy tekstu i uprawnieni członkowie zespołu redakcyjnego) treści zarówno redagowanych manuskryptów, jak i korespondencji z autorami jest niedopuszczalne. W przypadku artykułów naukowych takie ujawnienie (o ile autor nie udostępnił już tekstu w formie preprintu) mogłoby znacząco zaszkodzić interesom autora, jeśli inni badacze dowiedzieliby się w ten sposób o recenzowanym lub redagowanym artykule i opublikowali wcześniej tekst na podobny temat, co zmniejszyłoby nowatorstwo i oryginalność (novelty) danej publikacji. Tradycyjne listy oraz e-maile od autorów, a także treść rozmów telefonicznych i wiadomości przekazywanych w inny sposób objęte są tajemnicą komunikowania się, chronioną także prawnie. Jeśli autor pisze tylko do mnie, ma prawo oczekiwać, że będę to czytał tylko ja. Ponadto, ponieważ korespondencja w tym zawodzie nie ma tak sformalizowanego charakteru jak np. oficjalna korespondencja urzędowa, może się zdarzyć, że znajdują się w niej tre-

ści bardziej osobiste (ze strony autora). Stwierdzenie, że redaktor bywa do pewnego stopnia powiernikiem, a nawet swego rodzaju terapeutą autora, nie jest kpinią z cudzej wrażliwości, ale opisuje stan faktyczny. Bywa, że autorzy w zaufaniu dzielą się ze mną np. wątpliwościami co do sensu ich pracy lub czysto prywatnymi przemyśleniami. Mają wówczas prawo oczekiwać, że tego rodzaju korespondencja nie będzie udostępniana innym członkom zespołu redakcyjnego (nawet redaktorowi naczelnemu).

Nie ma miejsca na uprzedzenia

Nie trzeba chyba dodawać, że tajemnicą objęte są też wszelkie informacje dotyczące procesu oceny artykułu. Redaktorzy nie ujawniają osobom trzecim treści recenzji ani werdyktów recenzentów, jeśli polityka czasopisma nie zakłada ich publikacji wraz z artykułem. Artykuły ostatecznie niedopuszczone do publikacji pozostają w redakcyjnym archiwum (współcześnie – w komputerowym systemie do zarządzania manuskryptami), ale nie są udostępniane na zewnątrz. Redaktor i cała redakcja mają obowiązek zachowywać bezstronność w kwestiach związanych z narodowością autorów, nawet jeśli z autorami z konkretnych krajów czy regionów świata dany redaktor ma gorsze doświadczenia. Faworyzowanie manuskryptów z konkretnych uczelni, krajów lub kontynentów, jakkolwiek uzasadniane, nie może mieć nigdy miejsca. Aby nie być gołosłownym: mimo wszczęcia przez Rosję wojny napastniczej z Ukrainą i mimo zerwania przez większość polskich instytucji naukowych wszelkich form współpracy z instytucjami rosyjskimi, nie mam prawa odrzucać artykułów napisanych przez rosyjskich badaczy w związku z paszportami czy afiliacjami autorów ani traktować takich manuskryptów czy ich autorów surowiej w jakimkolwiek sensie. W pracy redaktora nie ma miejsca ani na uprzedzenia, ani na odpowiedzialność zbiorową, nawet motywowaną najszlachetniejszymi przesłankami.

Naganne jest obgadywanie (to właściwy tu czasownik) autorów mających problemy ze spełnieniem niektórych wymagań czy słabiej znających język, w którym publikują. Przejawiamy arogancji wobec autorów (np. sugerowania, że nie powinni w ogóle próbować publikacji w renomowanych czasopismach)

nie będę nawet komentował, a niestety wiem, że takie sytuacje mają miejsce, choć rzadko. Tak, zdarzają się autorzy, których ponoszą emocje, gdy coś dzieje się nie po ich myśli. Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi, ale redaktorowi nie wolno nigdy odpowiadać tym samym. Można i należy być w pewnych sytuacjach stanowczym, ale nigdy nie może to wykraczać poza przyjęte zasady dobrych obyczajów. Nie może być też przejawem wyższości kamiennie spokojnego redaktora nad rozemocjonowanym autorem – jesteśmy sobie równi, ale aby nie dopuścić do eskalacji sytuacji, trzeba zacząć od siebie i swojego zachowania, a nie przerzucać odpowiedzialność na drugą stronę. Jak napi-

sał Antoni Słonimski: „Gdy nie wiem, co robić, to na wszelki wypadek wolę zachować się przyzwoicie”.

W mojej redaktorskiej praktyce, zwłaszcza przy redagowaniu lub tłumaczeniu materiałów popularnonaukowych lub czysto publicystycznych, stykałem się też jednak z sytuacjami mniej oczywistymi. Pozwolę tu sobie na uwagę o charakterze tzw. filozofii potocznej. Nie pretenduję do obiektywnego oglądu świata, mam świadomość, że mój obraz rzeczywistości ma w dużej części subiektywny charakter, a część wyznawanych przeze mnie wartości nie jest podzielana przez wielu czytelników tego tekstu. Uważam jednak, że mam prawo – tak jak



każdy – kierować się w życiu, także życiu zawodowym, tym, co rozpoznaję jako wartości, i robić to bez poczucia winy. Nie chcę formułować wyłącznie suchych reguł głoszonych ex cathedra. Redaktor pracuje na tekstach napisanych przez konkretnych ludzi i skierowanych do realnych, a nie tylko wyobrażonych, konstruowanych w tekście odbiorców, zatem jego praca nie jest mechanicznym przetwarzaniem wypowiedzi, ale zawsze obejmuje też sferę etyki i wartości, i to na różne sposoby.

Zachować wewnętrzną wolność

Klauzula sumienia kojarzy się raczej z osobami wierzącymi, które z racji przekonań nie chcą wykonywać niektórych usług lub czynności w ramach pracy. Najczęściej mowa jest w tym kontekście o lekarzach i farmaceutach. Choć może to być zaskakujące, również w moim zawodzie zdarza się, że ktoś nie przyjmuje jakiegoś zlecenia, gdyż przyczyniłby się w ten sposób do rozpowszechniania treści, które uważa za fałszywe, szkodliwe lub nawołujące do nienawiści.

Ja znalazłem się w takiej sytuacji szereg razy. Kilka lat temu zaproponowano mi tłumaczenie i redakcję kilku artykułów z amerykańskiej prasy religijnej, zachwalających tzw. terapie konwersyjne, czyli „leczenie” homoseksualizmu. Po zapoznaniu się z nadesłanymi materiałami zasugerowałem wynajęcie kogoś innego – sumienie nie pozwala mi przyłożyć ręki do promowania działań mających w świecie nauki opinię traumatyzującej szarlatanerii. Wskazałem nawet osobę o bardziej pasującym do takich koncepcji oglądzie świata, która faktycznie zgodziła się przetłumaczyć i zredagować teksty. Nie chciałem uprawiać prywatnej cenzury poprzez blokowanie publikacji, ale nie mogłem też sam wziąć w tym udziału. Tłumacz ani redaktor to nie automat, który za pieniądze przyjmie do obróbki wszystko. Warto, nawet gdy ma się problemy z płynnością finansową i dramatycznie potrzebuje się zleceń, zachować wewnętrzną wolność, o której Witoldowi Długoszowi, głównemu bohaterowi *Przygodki* Kiesłowskiego, mówi w ostatniej rozmowie telefonicznej umierający ojciec: „Pamiętaj, nic nie musisz”. Z tego samego powodu odmawiam redagowania materiałów podważających zasadność szczepień przeciw chorobie SARS-CoV-2 czy szczepień w ogóle. Nie jestem specjalistą w tej dziedzinie i mój ogląd tego zagadnienia jest subiektywny i niepełny, ale sumienie (to wielkie słowo, ale muszę je tutaj użyć) nie pozwala mi postąpić inaczej, a nikomu jak dotąd nie udało się przekonać mnie do zmiany zdania.

Nigdy nie przyjmuję też do redagowania ani tłumaczenia tekstów, w których w moim rozumieniu (co ważne: nie tylko „odczuciu”) ktoś lub jakaś grupa ludzi jest etykietowany lub wprost pozbawiany godności. Jakiś czas temu zostałem poproszony o przełożenie na niemiecki krótkiego tekstu publicystycznego. Zleceniodawca nie był w stanie zrozumieć, że po niemiecku nie ma odpowiednika słowa „lewak” jako pogardliwego określenia osoby o lewicowych poglądach. W słowniku znajdziemy *der/die Linksradikale*, ale to „lewak” w pierwotnym, niepogardliwym znaczeniu, czyli skrajna lewica po II wojnie światowej na Zachodzie, tj. Frakcja Czerwonej Armii, Czerwone Brygady czy Che Guevara. Ostatecznie słowo to może oznaczać osobę o ostro lewicowym spojrzeniu, ale nie każdego o lewicowej wrażliwości. Po angielsku można użyć słowa *leftie* ze świadomością, że w American English częstsze jest w takim kontekście określenie adwersarzy mianem „socjalistów” lub „komuchów” (*commies*). Po dłuższej wymianie e-maili zdałem sobie sprawę, że zleceniodawca nie rozumie, że nazwanie kogoś „lewakiem” jest obraźliwe, ale wtedy tym bardziej nie jestem w stanie pomóc. W tym przypadku ograniczenia języka były dodatkowym argumentem, ale przede wszystkim różnica światopoglądowa między mną a zleceniodawcą była

zbyt duża. Przyjmuję do wiadomości, że dla wielu Polaków takie określanie osób o lewicowej wrażliwości jest po prostu nazywaniem rzeczy po imieniu, ale zarówno moje rozumienie etyki zawodu redaktora, jak i zwykła ludzka przyzwoitość nie pozwalają mi wziąć w tym udziału. Z kolei znajomy tłumacz odmówił przyjęcia zlecenia na przekład niemieckojęzycznego artykułu, w którym duchowny podejrzan o przestępstwa seksualne wobec nieletnich był określany jako *der Schwarzrock* i *der Pfaffe* (najpopularniejsze po niemiecku odpowiedniki wyzwiska „klecha”). Mową nienawiści mogą posługiwać się osoby o bardzo różnych poglądach i w każdym przypadku należy się temu przeciwstawiać.

Dylematy etyczne są silnie naznaczone subiektywizmem

Najmniej typowy dylemat etyczny, jaki stał się moim udziałem, dotyczył redakcji dłuższego anglojęzycznego artykułu o kilku nigdy nierozwiązanych zagadkach zaginięć w USA w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Po zapoznaniu się z tekstem zgodziłem się nad nim pracować, zwróciłem jednak autorowi uwagę na bardziej ogólną cechę jego wywodu: traktował on wciąż żywą jeszcze tragedię rodziny i bliskich tej osoby jak fikcyjną zagadkę kryminalną, którą osoby zainteresowane mogą dla rozrywki próbować rozwiązać w wolnym czasie. W pełni rozumiem ekscytację autora tym tematem: niewyjaśnione zaginięcia są zaprzeczeniem fabuł tradycyjnych powieści i filmów kryminalnych, a także gier wideo o takiej tematyce. Liczne tropy tworzą linie, które z punktu widzenia odbiorcy nigdy się nie przecinają. Są jak rzeki Hadesu w monologu Piłata z filmu *Jeżus z Montrealu* (Kanada-Francja 1989, reż. Denys Arcand): „Być może nie mają ani końca, ani drugiego brzegu, i po prostu znikają gdzieś w ciemnościach”. Nie uzależniałem pracy nad artykułem od wprowadzenia tej zmiany, zasugerowałem ją na wstępie, bo mogła oznaczać poważne modyfikacje w całym tekście po stronie autora, a zatem rozpoczynanie redagowania bez ustalenia tego mogłoby być stratą czasu. Podkreśliłem też, że to tylko moje zdanie, i wielu innych redaktorów uznałoby to za przewrażliwienie. Ku mojemu zdziwieniu autor zgodził się jednak ze mną i po kilku tygodniach przysłał gruntownie zmieniony artykuł, który nadal prezentował fascynującą zagadkę, ale jednocześnie wyraźnie podkreślał, że jej rozwiązanie jest tym istotniejsze, że chodzi o realne osoby.

Zagadnienia związane z etyką w zawodzie redaktora da się ująć w twarde reguły tylko w aspektach powiązanych z regulacjami prawnymi lub regulaminami pracy w poszczególnych wydawnictwach. Normą jest wpisywanie obowiązku zachowania w tajemnicy treści redagowanych manuskryptów zarówno do umów o pracę, jak i zleceń czy umów o dzieło. Dylematy etyczne dotyczące treści i wymowy samych tekstów są silnie naznaczone subiektywizmem, nawet jeśli wypływają z wartości, które uważamy za obiektywne (takich jak prawda czy dobro). Redaktor musi być tego subiektywizmu świadomy i z jednej strony uważać, aby mimo woli nie stać się częścią *cancel culture*, usuwającej niektóre głosy poza nawias i będącej formą mało wyrafinowanej cenzury, a z drugiej nie dać się szantażować moralnie tym, że jego postawa nie jest „obiektywna”. Pełny obiektywizm czy pełna spójność lub konsekwencja w poglądach to w najlepszym razie tylko platońskie ideały, w najgorszym – horyzont (czyli linia urojona, która oddala się w miarę, jak próbujemy się do niej przybliżyć). Warto pamiętać, że ci, którzy w ten sposób próbują nas przekonać, sami nie są obiektywni, spójni ani konsekwentni – po prostu nie chcą tego zobaczyć lub przyznać. Zawód redaktora wymaga pogodzenia się ze swoją niedoskonałością, ale też siły do obrony samego siebie takim, jakim się jest – właśnie niedoskonałym.

Jarosław Jarzewicz

O architekturze Pomorza Zachodniego w średniowieczu

Kościół Mariacki w Stargardzie

Kościół jest bazyliką. A przy tym jest to bazylika mająca także cechy hali, na przykład bardzo wysokie arkady. Jest to zatem synteza najbardziej nowatorskich rozwiązań, wpisująca się jednocześnie w dialog z tradycją.

Książka *Architektura średniowieczna Pomorza Zachodniego* (Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 2019) jest efektem wieloletniej fascynacji architekturą Pomorza Zachodniego. Wprowadzenie w tę problematykę zawdzięczam mojemu Mistrzowi – profesorowi Szczęsnemu Skibińskiemu, z którym w połowie lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia prowadziliśmy wielotygodniowe badania terenowe tego regionu. Jeszcze obecnie (a cóż dopiero wówczas) dla historyków sztuki region ten jest ciągle ziemią „do odkrycia”. Nie tylko zresztą dla historyków sztuki. Bogactwo architektonicznej spuścizny wieków średnich na tym obszarze może być źródłem głębokich przeżyć estetycznych także dla wszystkich amatorów dawnej sztuki.

Tkwi w mojej pamięci potężne wrażenie, jakie zrobiła na mnie widziana po raz pierwszy ponad czterdzieści lat temu bazylika Mariacka w Stargardzie, trudne do opisanego wrażenie wzniosłości, przenikającego materię blasku i piękna. To pierwotne odczucie stało się swego rodzaju zaproszeniem ze strony dzieła sztuki do pogłębionej refleksji, próby zrozumienia, w jaki sposób niektóre ludzkie wytwory mają takie właściwości, że nawet kilkaset lat po ich powstaniu oddziałują na odbiorców z taką siłą. Wspomniana książka jest próbą zrozumienia poprzez zarysowanie wielostronnego i możliwie pełnego obrazu architektury Pomorza Zachodniego, jej głównych nurtów i problemów. Jest publikacją przeznaczoną nie tylko dla wąskiego grona specjalistów, kolegów „po fachu”, lecz także dla możliwie szerokiego kręgu zainteresowanych architekturą i jej historią.

Powołaniem historyków sztuki, a być może w ogóle przedstawicieli dyscyplin humanistycznych, jest przekazywanie owoców ich dociekań: contemplata aliis tradere, jak to lapidarnie sformułował św. Tomasz z Akwinu. Chodzi tutaj nie

tylko o popularyzację nauki, która jest działaniem szlachetnym, potrzebnym i godnym poparcia. W przypadku tworzenia i upowszechniania wiedzy umożliwiającej zrozumienie, a zatem także pełniejszy odbiór dzieł sztuki, czyli najcenniejszych wytworów pozostawionych nam przez poprzednie pokolenia, mamy do czynienia z działaniem, które może być porównywane do wykonania dzieła muzycznego, czyli „interpretacji”. Dzieło muzyczne w formie materialnej (jako partytura) dla niefachowca pozostaje zwykle niedostępne; dopiero wykonanie czyni je czytelnym, dostępnym dla zmysłów odbiorcy. Praca historyka sztuki polega między innymi na „otwieraniu oczu” widzów. Analogia ta jest jednak tylko do pewnego stopnia adekwatna. Dzieła architektury działają także niezależnie od woli i nastawienia odbiorcy, choćby jako fizyczne ograniczenia ruchu w przestrzeni, a także w odbiorze: swoją skalą, materią i proporcjami.

Podobnie jednak jak w przypadku dzieł innych sztuk, ich rozumienie poprzez postępowanie analityczne i interpretacyjne, osadzenie we właściwym kontekście jest drogą do pełnego, właściwego (czy raczej: właściwszego) odbioru. Dzieła architektury mają i miały funkcje użytkowe, ale użyteczna strona nie wyjaśnia ich i nigdy nie stanowiła ich wyjaśnienia, gdyż dopiero przekroczenie prostej funkcjonalności czyni z wytworów ludzkich dzieła sztuki. Wszystkie przedmioty materialne są „jakieś”, mają określoną formę. Dzieła sztuki mają pewien „nadmiar” formy, skłaniający odbiorcę do skupienia na niej uwagi – w idealnym stanie do kontemplacji, a najczęściej do chwilowego choćby zatrzymania się i uważniejszego oglądu. Dzieła sztuki, przede wszystkim architektury, bo ta dziedzina jest przedmiotem rozważań w książce, zostały stworzone do

oglądania, podziwiania; przy czym ten aspekt nie stał zazwyczaj w opozycji do funkcji użytkowej, lecz był jej realizacją.

Oczywiście funkcji architektury historycznej (a także współczesnej) nie można sprowadzić do wąsko pojętego utylitaryzmu. Przykładowo, średniowieczny zamek zazwyczaj miał nie tylko zabezpieczać mieszkańców przed napadami wrogów i wpływami natury, lecz także „mówić”, wyrażać znaczenie, władzę i dostojęstwo dysponenta. W przypadku budowli sakralnych wyrażane przez nie znaczenia są znacznie bardziej skomplikowane, gdyż odnoszą się nie tylko do aspektów prawnych i politycznych (oczywiście istotnych), lecz przede wszystkim do wielorakich funkcji i znaczeń religijnych. Znaczenia te, oczywiście dla twórców i fundatorów, muszą być po upływie setek lat rekonstruowane na drodze dociekań naukowych, gdyż żadne z historycznych dzieł sztuki nie istnieje w warunkach, w których powstało, w swoim pierwotnym kontekście.

Analiza stylu

Historia sztuki skupiająca się na artystycznych aspektach przedmiotów nazywanych dziełami sztuki może dać wgląd w aspekty przeszłości niedostępne w inny sposób. Tak jak same dzieła sztuki ujawniają aspekty rzeczywistości niedostępne doświadczeniu w inny sposób. Sens dzieł sztuki, przedmiotów, którym nadano specyficzne jakości po to, aby były one kontemplowane, aby ich przesłanie było odczytywane, nie wyczerpuje się jednak w słownej, dyskursywnej interpretacji. Jeśli byłoby to w pełni możliwe, cały wysiłek materialnej realizacji dzieł sztuki byłby zbędny, a wszystkie budowle, rzeźby i obrazy mogłyby pozostać w formie językowo sformułowanej idei. Choć do końca nie jesteśmy w stanie zrełozżyć formy dzieł sztuki na formuły językowe, to nie możemy zaprzestać prób w tym kierunku, gdyż tylko za pomocą języka (struktur pojęciowych) jest możliwe zrozumienie i komunikowanie treści zawartej w materialnym kształcie. Dodajmy – treści, która w inny sposób nie może istnieć. W związku z tym analiza formy nabiera szczególnego znaczenia. To właśnie w formie, w oglądowej strukturze dzieł sztuki są „zapisane” szczególnie ważne informacje. Analiza stylistyczna (albo inaczej: morfologiczna, formalna) pozostaje podstawowym narzędziem historii sztuki. Styl jest jakby rodzajem „języka” złożonego z elementów i zasad ich zestawiania. Jest tym, co pomaga twórcy wynaleźć wizualny ekwiwalent przedmiotu mającego zostać przedstawionym lub funkcji, która ma zostać zrealizowana, ekwiwalent, który odpowiadałby zarazem nastawieniu, przyzwyczajeniom oraz możliwościom percepcyjnym odbiorców i był zrozumiały. Zaznaczmy dla uniknięcia nieporozumień, że przedmiot, temat przedstawienia w obrazie średniowiecznym nie musiał być przedmiotem w sensie dosłownym, czyli elementem świata doświadczonego empirycznie. Podobnie racją istnienia dzieł architektury nie była funkcja w sensie modernistycznego utylitaryzmu, ale raczej naoczne wyrażanie idei i treści niemożliwych do wyrażenia w innym medium.

Inaczej mówiąc, styl jest jakby systemem reguł, które twórcy pomagają wytwarzać, a odbiorcom rozumieć dzieła, formy artystyczne. To, co w jakimś dziele sztuki może być określane jako styl, jest efektem oddziaływania społecznych i artystycznych norm, ideałów, zasad, wyobrażeń i celów. Zaliczają się do nich oczywiście także wymagania stawiane przez przedmiot, temat, zadanie (rodzaj zlecenia), technikę, materiał etc. Te normy, zasady itd. nie działają jednak automatycznie, są zawsze zapośredniczone przez zaangażowanych w wytworzenie dzieła ludzi, przede wszystkim zlecających i artystów. Dzięki nim stają się realnymi kształtami. Wytwory artystów kierujących się tymi samymi (lub podobnymi) systemami wartości, zasadami



i konwencjami, stawiających sobie podobne cele, operujących w ramach określonej wspólnej tradycji przybierają często podobne względy podobne kształty. To jest źródło zaistnienia ponadindywidualnych stylów (stylu epoki, stylu regionalnego etc.). Pojęcie stylu jest zatem także pewnym sposobem ustalenia relacji pomiędzy poszczególnymi dziełami, będącymi zbiorem pokrewnych rozwiązań określonego problemu albo inaczej: reakcją na podobne wyzwanie (sytuację problemową). Rolą historii sztuki jest między innymi teoretyczna rekonstrukcja tych ideałów i uwarunkowań tej sytuacji problemowej jako jednego z kontekstów w interpretacji dzieł sztuki.

Jednym z celów niniejszej rozprawy jest przedstawienie procesów, których rezultatem było powstanie na Pomorzu Zachodnim możliwych do wyodrębnienia grup dzieł – stylów regionalnych.

Najwspanialsze dzieło średniowiecznej architektury na Pomorzu

Architektura murowana na Pomorzu Zachodnim pojawiła się stosunkowo późno, dopiero u schyłku XII w. Podobnie jak w przypadku innych obszarów położonych poza limesem warunkiem sine qua non była chrystianizacja. Przez dłuższy czas region nasz przyjmował zewnętrzne wpływy artystyczne idące z wielu kierunków, przede wszystkim od zachodu wzdłuż wybrzeża. U schyłku XIV wieku sytuacja uległa istotnej zmianie: na Pomorzu ukształtował się wysoce oryginalny regionalny styl reprezentowany przez grupę wybitnych realizacji, będący źródłem inspiracji dla budowniczych na obszarach ościennych. Ten styl oddziaływał na sąsiednie regiony: Wielkopolskę (np. kościół NMP na Ostrowie Tumskim w Poznaniu, kolegiata w Kórniku) i Brandenburgię (np. kościół św. Katarzyny w Brandenburgiu). Choć tradycyjnie wiązany jest z postacią szczecińskiego architekta Hinricha Brunsberga, którego potwierdzonym przez inskrypcję dziełem jest korpus kościoła w Brandenburgiu ukończony w 1401 r., to jednak za właściwego twórcę tego stylu należałoby uznać anonimowego projektanta chóru kościoła Mariackiego w Stargardzie, który został zaczęty ok.

1380 r. i jest nie tylko dziełem najwcześniejszym, ale też najznakomitszym w tej regionalnej grupie.

Kościół Mariacki w Stargardzie pozostaje najwspanialszym dziełem średniowiecznej architektury na Pomorzu, a jego ranga wyrasta znacznie poza środowisko lokalne. To jedno z najwybitniejszych dzieł europejskiej architektury średniowiecznej. Jest podsumowaniem wcześniejszego rozwoju, ale inicjuje też nową epokę.

Główne partie bryły odpowiadają z grubsza zasadniczym etapom jego budowy. W dolnych częściach korpusu nawowego zachowały się znaczne relikty pierwotnej hali z końca XIII wieku: filary międzynałowe, skarpy (wtopione obecnie w mury międzykaplicowe), a także sklepienia naw bocznych. U schyłku XIV wieku rozpoczęto wielką przebudowę, przy czym prace były koncentrowane na krańcach budowli. Wzniesiono bazylikalne, obejściowe prezbiterium na wschodzie i masyw wieżowy na zachodzie. Później, do połowy XV wieku, przebudowano korpus nawowy, przekształcając go w bazylikę. W planie prezbiterium wyodrębniła się nawa główna, składająca się z dwóch przęseł poprzecznie prostokątnych i przęśła zamykającego na rzucie pięciu boków ośmioboku. Ośmioboczne w przekroju filary oddzielają nawę główną chóru od obejścia. Dwa zachodnie przęśła w południowej i północnej nawie obejścia mają plan zbliżony do kwadratu. Od wschodu zewnętrzny zarys obejścia został wytyczony na planie sześciu boków szesnastoboku. Na obwodzie części wschodniej umieszczono wiele prostokątnych kaplic, które znajdują się pomiędzy skarpami. Skarpy te stają się tym samym wewnętrznymi murami międzykaplicowymi. Konsekwencją takiego rozplanowania obejścia jest efekt „zdublowania” podpór zewnętrznych (skarpy) w stosunku do wewnętrznych podpór (filarów). Skarpy wypadają zatem nie tylko naprzeciw filarów, lecz także naprzeciw interkolumniów – skarpa pojawia się też na głównej osi kościoła.

W korpusie nawowym trzy nawy są podzielone na cztery przęśła. Zachowując generalną dyspozycję planu podobną do prezbiterium, korpus wykazuje jednak w stosunku do niego również istotne różnice. Także tutaj poprzecznie prostokątne przęśła nawy głównej są niemal dwa razy szersze od prawie kwadratowych, tylko lekko wydłużonych przęseł w nawach bocznych, a wzdłuż naw bocznych biegną szeregi prostokątnych kaplic pomiędzy skarpami. Partię zachodnią stanowią przyziemia kwadratowych w rzucie wież. W każdej z nich znajdują się krzyżowe w rzucie wnętrza, łączące się z przedłużeniem nawy głównej pomiędzy wieżami. Zewnętrzny zarys masywu wieżowego jest bardzo zwarty i odpowiada szerokości korpusu nawowego. Dyspozycja planu w oczywisty i podstawowy sposób warunkuje ukształtowanie bryły i przestrzeni, jednak nie warunkuje ich całkowicie, pozostaje trzeci wymiar. Na tym samym planie w Stargardzie wzniesiono halę, a potem bazylikę. Nie było to zresztą niezwykle, a raczej dość często spotykane w historii wielkich kościołów z Niżu Nadbałtyckiego.

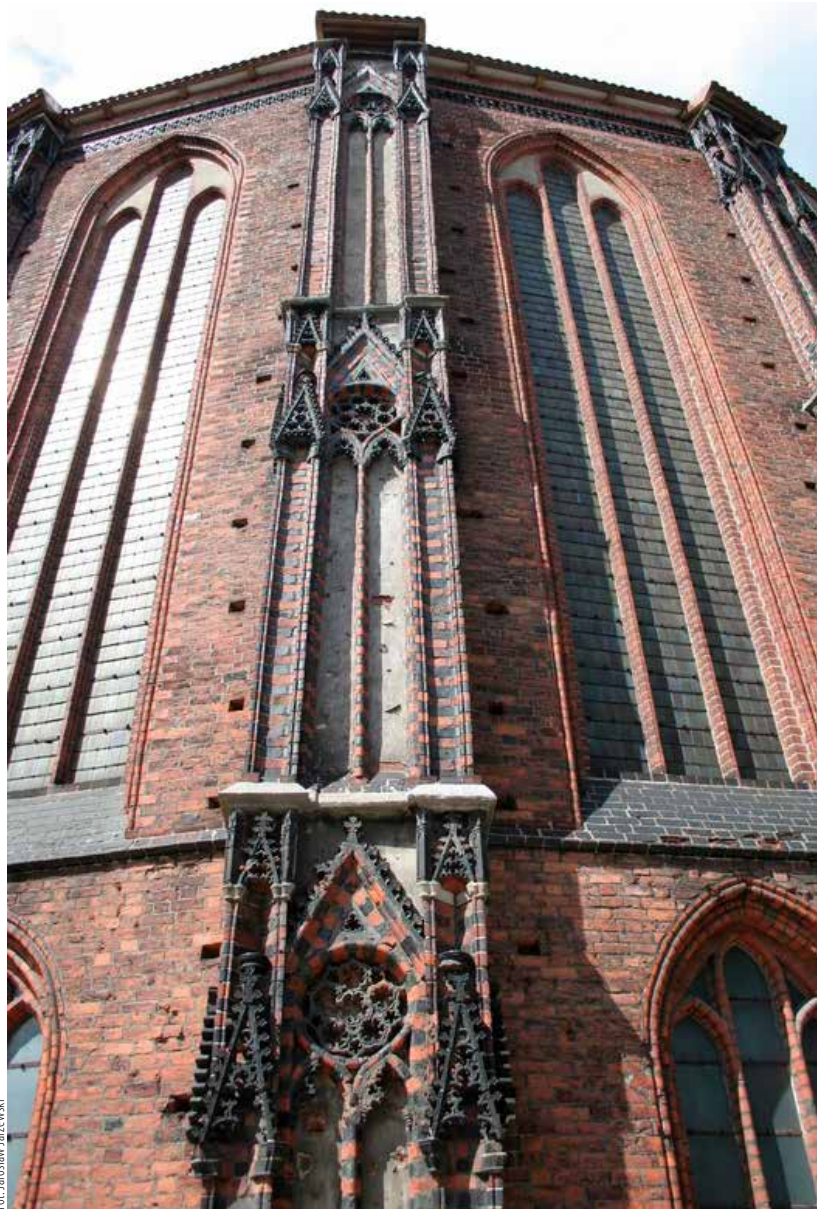
Wyniosłą bryłę kościoła można zobaczyć jako całość jedynie z oddalenia: wielka sylwetka z nawą wypiętrzającą się nad niższymi partiami naw bocznych i obejścia, z kulminacyjnym akcentem wyższej północnej wieży w dwuwieżowej fasadzie. Ciągi kaplic przy nawach bocznych tworzą niższy stopień bryły. Kaplice przyobejściowe są natomiast równie wysokie jak obejście i mają z nim wspólny dach. W partii korpusu nawowego mamy więc bryłę trzykondygnacyjną: kaplice, partie naw bocznych i nawy głównej rozdzielone jednolitymi połaciami dachów pulpitowych i zwieńczone dachem dwuspadowym. W części wschodniej mamy tylko dwa poziomy: dolny, obejmujący kaplice i obejście, i górny, obejmujący nawę główną chóru.

Dolna kondygnacja części prezbiterialnej odpowiada wysokości dwóch kondygnacji przy korpusie.

Część zachodnią kościoła stanowi monumentalny masyw dwuwieżowy, który w dolnej partii stanowi jednolity blok. Dopiero powyżej wysokości naw bocznych wyodrębniają się właściwe, czworoboczne wieże.

Generalną zasadą organizującą kompozycję elewacji jest rytm ostrołukowych okien w płaszczyznach ceglano-muru, rozdzielonych pionowymi akcentami skarp lub lizen. Skarpy występują pomiędzy oknami naw bocznych, lizeny w dolnej części prezbiterialnej; ani skarp, ani lizen nie ma natomiast na ścianach nawy głównej i środkowej nawy chóru. Dekoracja architektoniczna jest skupiona jakby na dwóch biegunach kościoła: w dolnej partii części wschodniej i górnej części masywu wieżowego.

Wrażenie niezwykle bogactwa uzyskano poprzez bardzo umiejętne operowanie zestawem standardowych, prefabrykowanych elementów. Mistrzostwo opracowania i jubilerska niemal precyzja detalu zapraszają do skupionego i drobiazgowego oglądu. W górnych partiach wież powtarzają się niektóre motywy zastosowane w lizenach chórowych: dwudzielna i trój-kondygnacyjna kompozycja, wielolistne wypełnienie kolistych maswerków, wimpergi.



Fot. Jarosław Jarzewski



Fot. Jarosław Jarzewski

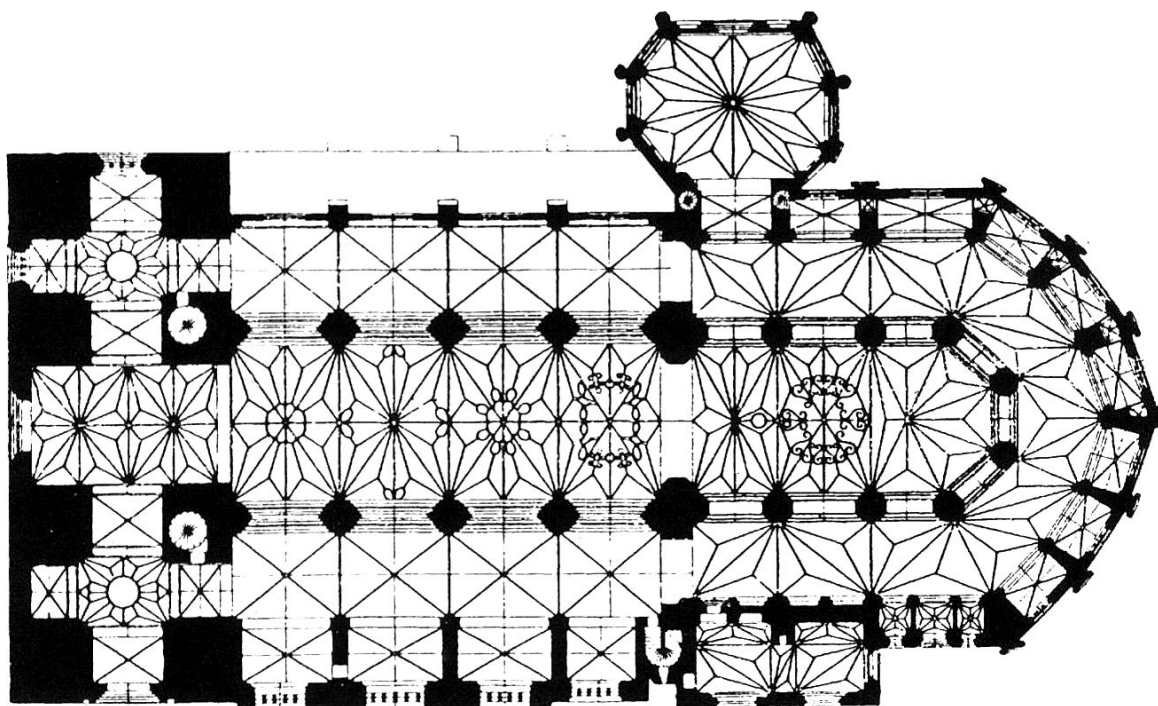
Zaobserwowane cechy świadczą o precyzji i finezji projektu, nie wykraczają jednak poza rozwiązania przyjęte i znane już wcześniej w ceglany gotyku. Nie można tego samego powiedzieć o zupełnie niezwykłym w gotyckiej architekturze ceglanej motywie triforium (motyw ten powszechny we francuskim gotyku katedralnym, na wschód od Renu i na północ od Dunaju występuje – poza Stargardem – jedynie w katedrach w Pradze i Poznaniu). Kondygnację okienną, niewiele wyższą od triforium, rozwiązano w formie ostrołukowych wnęk. W przyściennych filarach pomiędzy wnękami znajdują się przejścia, dzięki czemu na wysokości okien utworzono dodatkowy ganek. Stosunkowo niewielkie, ale szerokie czterodzielne okna zostały umieszczone w cienkiej ścianie zamykającej niszę. Strefa okienna w korpusie nawowym jest jakby redukcją bogatszego wariantu prezbiterialnego. Tutaj także mamy głębokie nisz (arkady przyścienne) z gankiem „przeprutym” przez filary przyścienne (przynajmniej we wschodnim przęśle, co świadczy o zarzuconym zamiarze kontynuacji tego motywu w nawie). Tutaj nie ma jednak triforium, dlatego kondygnacja okienna stała się znacznie wyższa. Same okna nie są większe od prezbiterialnych, większą część powierzchni zajmuje płaszczyzna ściany. Również tutaj profile ościeży okiennych zostały sprowadzone do poziomu ganku, wskutek czego wydaje się, że większość „potencjalnej” powierzchni okna jest zasłonięta ścianą. Oczywiście jest to zdeterminowane wysokością dachu nad nawą boczną, ale zdecydowano się na taki właśnie efekt estetyczny. Okna nawy głównej mają jeszcze jedną cechę godną odnotowania. Otóż ich łuk jest załamany u nasady. Inaczej rzecz ujmując: łuk szerokiej arkady przyściennej, obramiający wnękę, w której umieszczono okna, jest zarazem w środkowej części łukiem

okna. Łaski podziałów okiennych biegną wprost do podłuczca. Ta uproszczona forma jest wyrazem pewnej postawy estetycznej, którą można by określić „estetyką techniczną”. Zdecydowano się na wyeksponowanie formy, której determinantą były względy techniczne: dzięki eliminacji odrębnych łuków okiennych redukowano nakład pracy, a tym samym koszty. Precedens kościoła Mariackiego w Stralsundzie, w którym takie formy zastosowano wcześniej, niewątpliwie miał znaczenie dla decyzji budowniczych w Stargardzie.

Jakby sama architektura świeciła

Wnętrze imponuje wielkością i przede wszystkim jasnością. Chodzi tutaj nie tylko o liczbę i wielkość okien (jest ich rzeczywiście wiele i są duże), lecz także – przede wszystkim – o specyficzną aranżację światła. Zauważmy, że dla widza znajdującego się w nawie głównej źródła światła (czyli po prostu okna) są w większości przypadków właściwie niewidoczne lub prawie niewidoczne: zasłonięte filarami lub schowane w głębokich wnękach. Jedynie trzy okna na zamknięciu prezbiterium zostały w pełni wyeksponowane. Wielkie okna kaplic przybojeściowych są natomiast zupełnie ukryte, ich obecności domyślamy się, widząc rozświetloną przestrzeń za arkadami prezbiterium. A właściwie należałoby chyba ten efekt opisać inaczej: efekt wizualny jest taki, jakby sama architektura świeciła. Dla uzyskania tego efektu architekt zdecydował się na zastawienie osi kościoła skarpą i inne wynikające z tego komplikacje. W kościele stargardzkim zestawiono ze sobą dwa rodzaje światła: pośrednie i bezpośrednie. To pierwsze, sączące się miękko z okien ukrytych w kaplicach międzyskarpowych, opisuje plastycznie i „rzeczowo” elementy architektoniczne (filary). To dru-





Reprodukcja z: H. Lutsch, *Mittelalterliche Backsteinbauten Mittelpommerns*, Berlin 1890

gie wpada mocno i bezpośrednio przez górne okna. To światło jakby „dematerializuje” strefę sklepienia, zmieniając ją w system linii.

Opisany powyżej ostateczny kształt kościoła nie powstał od jednego rzutu i nie jest efektem jednego planu, a jednak ma sens jako całość, nie zaś przypadkowo narosła sekwencja różnych faz. Fascynujące jest także i to, że właśnie mimo długiego czasu realizacji i wielu etapów budowy oraz zmieniających się koncepcji mogła powstać taka spójna całość. Główne partie bryły kościoła odpowiadają z grubsza zasadniczym etapom jego budowy. W dolnych częściach korpusu nawowego zachowały się znaczne relikty wcześniejszego kościoła halowego. Fasada tej pierwotnej hali była bezwieżowa, zwieńczona uskokowym szczytem, z blendami. Masyw wieżowy został dostawiony do pierwotnej hali. Łuk tęczy w dolnej części wspierają filary złożone jakby z połówek filarów międzynawowych, również one należą do pozostałości pierwotnej hali. Wynika z tego jednoznacznie, że miała ona chór jednonawowy, jednak jego kształt (długość i sposób zamknięcia wschodniego) jest jednak nieznanymi. Budowlę tę wzniesiono zapewne przed 1324 rokiem, wówczas jest wzmiankowana fundacja ołtarza bocznego. Powodem podjęcia budowy dużego halowego kościoła była prawdopodobnie powtórna lokacja miasta w 1292 roku. Obecna część wschodnia kościoła, która zastąpiła wcześniejsze prezbiterium, powstała natomiast u schyłku XIV wieku. Punktami orientacyjnymi są tu wzmianki o uposażeniu kaplic lub fundacji na rzecz ołtarzy. W latach 1384 i 1388 wzmiankowane są kaplice przy obejściu, a kaplica Mariacka (centralna) w 1403 roku. Ta ostatnia informacja jest o tyle istotna, że kaplica Mariacka została ewidentnie wtórnie dobudowana do istniejącego już obejścia. Początek budowy musiał nastąpić odpowiednio wcześniej, być może na początku lat 80. XIV stulecia.

W tym samym czasie w pobliskim Szczecinie wznoszono zaczęty nieco wcześniej olbrzymi kościół farny św. Jakuba (obecna katedra), w którym po raz pierwszy zastosowano nowatorski typ obejściowej hali z dwukondygnacyjnymi kaplicami o wysokości obejścia. Mieszczanie stargardzcy, konkurujący ze

Szczecinem (a nawet toczący z tym miastem wojny handlowe), podjęli także konkurencję na polu architektonicznym. Uczynili swój kościół równie nowoczesnym i oryginalnym jak szczeciński, ale nadali mu jeszcze bardziej wyrafinowaną formę. Co więcej, ich kościół jest bazyliką. A przy tym jest to bazylika mająca także cechy hali, na przykład bardzo wysokie arkady. Jest to zatem synteza najbardziej nowatorskich rozwiązań, wpisująca się jednocześnie w dialog z tradycją.

Czy jest to dzieło Hinricha Brunsberga? Nie sposób referować wszystkich argumentów i stanowisk. Trzeba stwierdzić, że po pierwsze nie mamy żadnych wzmianek źródłowych o osobie architekta kościoła stargardzkiego, po drugie stylistyczne analogie z jedynym potwierdzonym źródłowo jego dziełem – kościołem św. Katarzyny w Brandenburgu – narzucają się jako oczywistość (podobnie zresztą jak z siostrzanym kościołem NMP w Chojnie). Natomiast wskazać można także istotne odmienności zarówno w zakresie techniki, jak i formy artystycznej. Projektant kościoła Mariackiego w Stargardzie niewątpliwie należy do najwybitniejszych architektów swojej epoki (i nie tylko tej epoki); jeśli był on tożsamy z autorem pozostałych dwóch, to najprawdopodobniej nazywał się Brunsberg. Jednak wydaje się bardziej prawdopodobne, że oba późniejsze dzieła są zredukowanymi naśladownictwami, dziełami uczniów naśladowujących pomysły swojego nauczyciela, Mistrza Chóru Stargardzkiego. W tym wypadku właśnie jemu należy przypisać dokonanie przełomu stylowego w architekturze Pomorza i stworzenie niezwykle oryginalnego dzieła. Co najmniej równie ważną rolę w jego powstaniu należy przypisać stargardzkim mieszczanom, którzy poważyli się na tak wielkie, długotrwałe i kosztowne z pewnością przedsięwzięcie, powierzając je niezwykle oryginalnemu twórcy. Epoka, w której budowany był ten kościół, obfitowała zresztą w wielkie i oryginalne dzieła architektury w miastach Pobrzeża Bałtyku, aż do naszych czasów określiła artystyczne oblicze wielu spośród nich.

Prof. dr hab. Jarosław Jarzewicz, historyk sztuki, kierownik Zakładu Historii Sztuki Starożytnej i Średniowiecznej, Wydział Nauk o Sztuce UAM w Poznaniu

Grzegorz Tokarz

Wojna na Ukrainie

Próba nowego spojrzenia na problemy bezpieczeństwa kulturowego

Wojna na Ukrainie w istotny sposób wpłynęła na postrzeganie sytuacji geopolitycznej i gospodarczej na kontynencie europejskim. Zmusza ona do przedefiniowania dotychczasowych, wydaje się obowiązujących zasad. Odnosi się to również do traktowania bezpieczeństwa kulturowego.

Definicji bezpieczeństwa kulturowego jest wiele. Na potrzeby niniejszego artykułu należy przyjąć tę, która traktuje je jako ochronę tożsamości narodowej, a także przeciwdziałanie zagrożeniom dla kultury, religii czy języka (A. Dawidczyk, J. Czaputowicz). Na początku chciałbym przeanalizować aspekt sytuacyjny, związany z wydarzeniami w Europie Środkowej i Wschodniej, następnie zaś omówić kilka zagadnień o charakterze bardziej ogólnym.

Przez kilkaset lat kształtowanie się oryginalnych kultur w Europie Wschodniej było utrudnione. Było to związane z działaniami politycznymi państw zaborczych, które obawiały się wszelkich ruchów o charakterze odśrodkowym. Przy czym z jednej strony mieliśmy do czynienia z kulturami już okrzepniętymi, które w wyniku działań politycznych znalazły się w strefie wpływów kultury imperialnej, z drugiej zaś z tymi, które dopiero powstawały. W czasie dominacji ZSRR starano się je zniszczyć, jeśli zaś nie przynosiło to rezultatu, uczynić częścią kultury imperialnej. Sytuacja po 1989 r. uległa zmianie. Pojawiły się na gruzach ZSRR nowe państwa, których obywatele stanęli przed problemem samodzielnego, bez opresyjnych wpływów, rozwoju tożsamości kulturowej. Problem zdefiniowania, co jest istotą rodzimej kultury, wymagał dyskusji trwającej kilka pokoleń. Z tym też wiązało się wprowadzenie odpowiednio skorelowanych działań na rzecz zachowania oryginalności, jak również tych, które w sposób bezpośredni wpływały na rozwój wartości uznanych za ważne.

Atak Federacji Rosyjskiej przerwał w dużej części samostne kreowanie tożsamości kulturowej między innymi Ukrainy. Strona atakująca w sposób jednoznaczny zanegowała tożsamość narodową Ukraińców, uznając, iż nie stanowią oni oddzielnego narodu, odwołującego się do własnych, oryginalnych wartości. W środowiskach rosyjskich zaczęto głosić tezę, iż język ukraiński jest dialektem rosyjskiego. Biorąc powyższe pod uwagę, musiało to doprowadzić do podjęcia przez stronę ukraińską radykalnych działań, które chroniłyby duchową warstwę kształtującego się narodu.

Bezpieczeństwo kulturowe to jest między innymi promowanie literatury w języku narodowym. Dzieł, które wzmac-

niają, kreują tożsamość narodową. W tym też kontekście należy rozumieć usuwanie z bibliotek ukraińskich książek wydanych jeszcze w czasach ZSRR, w języku rosyjskim. Tę lukę postanowiono zastąpić publikacjami wydawanymi po ukraińsku. Podkreślano przy tym, iż usuwano te pozycje książkowe, których autorzy popierali atak na Ukrainę. W tym kontekście pojawiła się kwestia obecności w przestrzeni kulturowej takich twórców rosyjskich jak Aleksander Puszkina czy Fiodor Dostojewski. Pojawiły się określenia, iż jest to literatura szkodliwa (dyrektor Ukraińskiego Instytutu Książki). Znaleźć powinna się w bibliotekach uniwersyteckich czy naukowych, aby można je badać jako te dzieła, z których wyrastało zło, totalitaryzm. Tutaj też nasuwa się wiele interesujących zagadnień ważnych dla badacza bezpieczeństwa kulturowego. Czy działania strony ukraińskiej mogą przynieść oczekiwane rezultaty, czyli ochronę własnej tożsamości.

W Europie Środkowej

Innym przypadkiem jest kwestia zapewnienia bezpieczeństwa kulturowego innych krajów, będących w przeszłości członkami ZSRR, których odmiennosc, tożsamość kulturowa była już ugruntowana. Wspomnieć w tym kontekście należy kraje nadbałtyckie. Niewątpliwie ważnym aspektem jest zachowanie własnego języka, upowszechnianie go, dbanie o jego czystość. Władze Łotwy przez lata dążyły do sytuacji, w której język rosyjski (pamiętać należy o silnej mniejszości rosyjskiej w tym kraju) zostałby zmarginalizowany. Tutaj zauważyć należy, iż inwazja Rosji na Ukrainę doprowadziła do sytuacji, w której zaczęto zakazywać używania języka rosyjskiego w poszczególnych ministerstwach. Planuje się zmiany w systemie oświatowym odnośnie do nauczania języków obcych. Wspomnieć również trzeba o fakcie zerwania współpracy kulturalnej Łotwy i Rosji.

Podobnie rzecz się ma z Estonią, tam również podjęto działania na rzecz zmniejszenia znaczenia języka rosyjskiego w systemie edukacyjnym. Szczególnie interesująco ten problem wygląda w Norwegii, mieście położonym przy granicy z Rosją. Mimo iż 95% mieszkańców posługuje się w domu językiem rosyjskim, nauczanie w placówkach oświatowych odbywa-

się ma w języku estońskim (jak powiedziała jedna z nauczycielek, szczególnie w tym mieście, tuż przy granicy, zadaniem szkoły jest ochrona języka i kultury kraju). Oczywiście w kontekście powyższych krajów ograniczenia związane z używaniem języka rosyjskiego wynikają między innymi z obaw stricte politycznych. Jednak należałoby zbadać kontekst bezpieczeństwa kulturowego.

Wspomnieć należy o próbach zapewnienia dostępu do języka rodzimego mniejszości węgierskiej na Ukrainie. Budapeszt protestuje przeciwko likwidacji szkół prowadzonych przez mniejszość węgierską oraz ograniczaniu przedmiotów wykładanych w tym języku. Pojawia się pytanie, na ile dążenia do zachowania tożsamości Węgrów (ich bezpieczeństwo kulturowe) na Ukrainie wpłynę na decyzje polityczne Budapesztu, na jego stosunek do konfliktu rosyjsko-ukraińskiego.

Podkreślić przy tym należy, że język rozumiany jako narzędzie wpływu kulturowego, a także jeden z najważniejszych elementów tożsamościowych odgrywa ważną rolę w kontaktach między państwami Europy Środkowo-Wschodniej, których relacje wydają się bardzo dobre. Wspomnieć trzeba w tym kontekście Polskę i Litwę. Konflikt rosyjsko-ukraiński, wydaje się, ma wpływ na postrzeganie bezpieczeństwa kulturowego przywódców obu państw. Premier Litwy stwierdziła, iż dobrym rozwiązaniem byłoby zastąpienie języka rosyjskiego jako obcego językiem polskim. Tutaj wspomnieć należy, iż około 70% uczących się na Litwie wybiera właśnie język rosyjski. Co ważne, rozwiązano między innymi spór o pisownię nazwisk nielitewskich. Była to kość niezgody między Litwinami i tamtejszą mniejszością polską. Prezydent Litwy stwierdził, że wprowadzono równowagę między zachowaniem wyjątkowości języka litewskiego, a prawami człowieka. Wspomnieć trzeba w tym kontekście obawy Litwinów, datujące się od setek lat, przed nazwijmy rzecz po imieniu, dominującym wpływem kultury polskiej na kulturę litewską, iż oryginalność może ulec osłabieniu. Z pewnością można mówić o odczytywaniu na nowo czy też powrocie do tych aspektów, które łączyły Polskę, Litwę czy Ukrainę. Wiąże się to z polityką historyczną, niewątpliwie skorelowaną z bezpieczeństwem kulturowym. Polska i Litwa wspólnie obchodziły 160. rocznicę powstania styczniowego – wspólnej walki Polaków i Litwinów z zaborcą rosyjskim. Wydaje się, że jest to kolejne pole do badań. W jaki sposób atak Federacji Rosyjskiej może przeddefiniowywać dotychczasowe rozumienie bezpieczeństwa kulturowego w tych krajach w powiązaniu z polityką historyczną. Szczególnie zaś działania praktyczne dla jego zapewnienia w krajach graniczących ze sobą, należących do Unii Europejskiej.

Jak można rozumieć, w kontekście bezpieczeństwa kulturowego, np. fakt, iż ministrowie kultury Polski, Litwy, Łotwy, Estonii, Słowacji, Czech, Słowenii i Rumunii uznali za konieczne zawieszenie współpracy kulturalnej z Rosją. Należy się nad tym zastanowić właśnie w kontekście bezpieczeństwa kulturowego.

Chronić oryginalność kultury napadniętego państwa

Wspomnieć należy o działaniach strony polskiej wobec obecności kultury rosyjskiej w III Rzeczypospolitej po ataku Federacji Rosyjskiej na Ukrainę. Jedna ze stacji radiowych w Polsce (nadająca głównie muzykę klasyczną) przestała nadawać utwory Rosjan. Wycofano dzieła rosyjskich kompozytorów, np. w Operze Narodowej odwołano operę *Borys Godunow*. Pojawia się pytanie, jakie znaczenie mają te działania. Czy bokot ten ma charakter stricte polityczny, mający na celu „ukaranie Rosji”, czy „uświadomienie” jej obywatelom charakteru rządów ich prezydenta. Często dzieła powyższe są traktowane przez rosyjskie elity polityczne jako wpisujące się w politykę imperialną Rosji, stają się swoistego rodzaju orężem. Pozytyw-

nymi bohaterami niewątpliwie wybitnych w skali światowej dzieł bywają osoby, które negatywnie są postrzegane w innych krajach. Inną kwestią jest to, jak w Polsce zostałyby odebrane upowszechnianie poematu Tarasa Szewczenki zatytułowanego *Hajdamacy*, czy nie wzbudziłyby to protestu, biorąc pod uwagę postrzeganie przez Polaków swojego dziedzictwa narodowego.

Biorąc pod uwagę konflikt zbrojny we Wschodniej Europie, szczególnie ważne są działania podejmowane przez Parlament Europejski. To właśnie w projekcie jednej z rezolucji wspomniano, iż działania zbrojne podjęte przez Rosjan są również atakiem na tożsamość europejską. Doprowadzić mogą do zniszczenia tak ważnej wartości jak różnorodność europejska. Ponadto inwazja Rosji stwarza zagrożenie dla artystów, jak również tych, którzy zajmują się zawodowo problemami związanymi z szeroko rozumianą kulturą. Wspomnieć należy,



że we wspomnianej rezolucji stwierdzono, iż niszczenie dóbr kulturowych, jak również ich kradzież, prowadzą do osłabienia tożsamości kulturowej ograbianych. Podkreślono, iż to właśnie dzięki kulturze może dochodzić do zrozumienia między różnymi społecznościami i zachowania pokoju. W rezolucji stwierdzono, iż należy docenić fakt, że zarówno UE jak również poszczególne kraje tej struktury decydują się pomóc, również finansowo, ludziom kultury, którzy opuścili z powodów toczącej się wojny rodzimy kraj. W rezolucji wspomniano o inicjatywie powołania do życia Funduszu Kultury Solidarności: Ukraina. Nazwano to inicjatywą szybkiego reagowania. Uznano za konieczne, aby wspomagać ukraińskie organizacje działające w sektorze kulturowym. Służyć to będzie zachowaniu dotychczasowego dorobku. Również jednak uzyska się możliwość dalszego rozwoju tych wartości, które są ważne dla zachowania tożsamości kulturowej.

Wspomnieć należy o wykreowaniu planów, których celem byłyby odbudowa tkanki kulturowej.

Powyższa rezolucja wydaje się ciekawym przykładem tego, w jaki sposób organizacja międzynarodowa może się angażować w działania mające na celu zapewnienie bezpieczeństwa kulturowego jednego z krajów europejskich. Należałoby oczywiście zbadać, na ile powyższe stwierdzenia będą mieć przełożenie na rzeczywistość. Czy są one wystarczające, aby chronić oryginalność kultury napadniętego państwa i społeczeństwa. Kwestia jest ciekawa pod względem badawczym, ponieważ dotyczy krajów europejskich, konfliktu w ramach szeroko rozumianego etnosu europejskiego. Pojawia się również interesujący aspekt badawczy polegający na możliwościach, w jaki sposób można, dzięki inicjatywie wielu państw, efektywnie, ale jednak w pewien sztuczny sposób odbudowywać wspomnianą



Rys. Sławomir Makal

już wyżej tkankę kulturową. Jak osiągnąć porozumienie, co stanowi jego istotę? Owszem, w przypadku kultury materialnej sprawa wydaje się prosta (w rezolucji wspomniano między innymi o potrzebie dokumentowania niszczenia dóbr kulturowych, a także konieczności digitalizacji i cyfrowej dokumentacji dziedzictwa kulturowego), jednak inaczej ma się rzecz, gdy analizujemy warstwę duchową.

Obrona relatywnie młodej tożsamości kulturowej

Badania należałoby podjąć również nad tym, jaki wpływ na działania Unii Europejskiej, biorąc pod uwagę zapewnienie bezpieczeństwa kulturowego Ukrainie, mają relacje polityczne i gospodarcze z Federacją Rosyjską.

Ciekawie wygląda sprawa związana z zachowaniem i rozwijaniem rodzimej kultury białoruskiej. Wydaje się, że szczególnie dzisiaj problem ten nabiera ogromnego znaczenia, w głównej mierze w kontekście zachowania, jak również upowszechniania języka białoruskiego. Jakie należy podjąć działania, aby uchronić rodzimą kulturę białoruską, poddaną przemożnym wpływom ze strony Rosji? Przy czym inicjatywy te są często prowadzone poza państwem białoruskim. Na przykład poprzez wspieranie w Polsce Festiwalu Niezależnej Kultury Białoruskiej.

Pamiętać należy o kolejnym aspekcie związanym z badaniami nad bezpieczeństwem kulturowym, jakże aktualnym w Europie Środkowo-Wschodniej. Nie można abstrahować od zagrożeń, które w literaturze są wymieniane od wielu lat. W tym kontekście wymienić należy między innymi globalizację. Może ona dotknąć szczególnie społeczności, które są w trakcie konstruowania lub też wzmacniania relatywnie młodej tożsamości kulturowej. Skuteczna obrona tej ostatniej przez kraje byłego Związku Radzieckiego w żaden sposób nie znosi zagrożeń płynących z innych kierunków. W tym kontekście można wspomnieć na przykład o westernizacji. Problem ten zresztą odnosi się do bardzo wielu krajów europejskich. Należałoby zatem podjąć działania koncepcyjne, które zminimalizowałyby potencjalne zagrożenia. Najpierw oczywiście w odpowiedni sposób je zdefiniować i sklasyfikować. Postawić można tezę, że inne kraje również używają kultury jako instrumentu, chcąc uzyskać dzięki niemu wymierne zyski o charakterze politycznym czy gospodarczym. Temu mogą służyć strefy wpływów, wciąganie oryginalnych kultur w orbitę swojego oddziaływania. Obecny przykład ukraińsko-rosyjski może obrazować bardziej uniwersalne zagrożenia.

W zachowaniu bezpieczeństwa kulturowego poszczególnych społeczności zastanowić się należy również nad obroną tego, co określić można jako kulturę europejską (bynajmniej nie będąc jej w tym momencie definiował). Jak ją chronić w kontekście wielości kultur narodowych, które często są w trakcie krzepnięcia, poddane przemożnym wpływom odmiennych, nieeuropejskich idei. Na ile można, w ramach zachowania tożsamości europejskiej, próbować w nie ingerować?

Kolejne problemy badawcze

Podkreślić należy, iż dotychczas omawiałem polityczno-administracyjne aspekty działań odnośnie do bezpieczeństwa kulturowego. Pojawia się jednak szereg innego rodzaju zagadnień, które należy wziąć po uwagę. Przede wszystkim na ile działania polityczne czy administracyjne wpływają na kształtowanie się kultury, w zamyśle, chronionej społeczności. Na ile działania mające zachować jej bezpieczeństwo są w stanie wpłynąć na niemierzalny przecież przepływ idei kulturowych, niezależnie od stawianych barier. Ponadto, czy stosowanie określonych mechanizmów politycznych i administracyjnych nie będzie mieć również negatywnego wpływu na kształtowanie się kultury bronionej. Pamiętać przy tym należy, że wiele kra-

jów ma charakter wielokulturowy. W państwach byłego bloku radzieckiego na terenach nowo powstałych krajów żyją społeczności pielęgnujące różne wartości. W przypadku między innymi Ukrainy, Łotwy, Estonii mamy do czynienia ze społecznościami odwołującymi się do etnosu rosyjskiego. Również one mają prawo do rozwijania i pielęgnowania wartości kulturowych dla nich bliskich. Pytanie, w jaki sposób działania ochronne dominującej kultury będą na nie mieć wpływ? Zarówno na trwanie, jak i kierunki rozwoju. Ponadto, mimo obecnych konfliktów, kultury społeczeństw obecnie rywalizujących mają sobie wiele do zaoferowania. Wzajemne przenikanie może się przyczynić do ich rozwoju.

Podkreślić przy tym należy, że o kierunku działań związanych z bezpieczeństwem kulturowym decydują politycy. Przy całym szacunku do ich kompetencji, z daleko idącą ostrożnością należy traktować odgórne, często sytuacyjne działania związane z kierunkami rozwoju czy określaniu tego, co jest istotą danej kultury, a także środków służących jej obronie.

Kolejnym aspektem badawczym może być analiza, na ile przepływy różnych, odmiennych idei kulturowych ma nadal miejsce, mimo prób pewnego ograniczenia zjawiska. Kultura rosyjska nadal będzie oddziaływać na polską, ukraińską, czeską czy łotewską, także tę, którą chcielibyśmy nazwać zachodnią. Niewątpliwie kluczową kwestią jest również badanie, w jaki sposób kultura jest instrumentem polityki imperialnej. Problem nie jest nowy, jednak należałoby przeanalizować go w kontekście obecnych wydarzeń w Europie Wschodniej.

Pojawia się w tym kontekście kolejny problem badawczy. Polityka imperialna zakłada również walkę o własne bezpieczeństwo kulturowe. Jednak broni się w tym przypadku kultury o zabarwieniu imperialnym.

Kolejny problem dotyczy efektywności działań, które mają na celu zachowanie bezpieczeństwa kulturowego. Czy można skonstruować odpowiedni plan? Niewątpliwie kolejną płaszczyzną badawczą to weryfikacja podjętych działań. Na ile osiągnięto cele, przy czym przeanalizować również „straty”.

Przede wszystkim działania związane z ingerowaniem w samoistny rozwój kultury (w ramach zachowania jej bezpieczeństwa) musi wywoływać uzasadnione obawy. W kręgu europejskim przenikanie kultur, zrozumienie i akceptacja samoistności rozwoju kulturowego są jednymi z podstawowych wartości. Nie zmienia to jednak faktu, iż problem bezpieczeństwa kulturowego pojawił się zarówno w kontekście politycznym, jak i naukowym.

Kolejnym aspektem związanym z bezpieczeństwem kulturowym, jest ochrona twórczości, która umyka prostym podziałom etnicznym czy narodowym. Dotyczy to tej, którą możemy nazwać roboczo „kosmopolityczną”. Traktowana ona może być zarówno jako zagrożenie, jak i pozytyw. Badaczom nie może umknąć ten szczególnie ważny aspekt. Również tym, których sercem bliska jest ochrona tożsamości narodowej. Zastanowić się należy nad zaangażowaniem badacza w ochronę kultury, z którą się utożsamia. Pamiętać bowiem należy o ogromnym niebezpieczeństwie, które określamy jako cenzurę.

Na zakończenie chciałbym podkreślić, że niezależnie od działań związanych z bezpieczeństwem kulturowym czytać i słuchać należy dzieł twórców rosyjskich, ukraińskich, białoruskich, niemieckich, francuskich i wszystkich innych. Najlepszym rozwiązaniem w kontekście bezpieczeństwa kulturowego wydaje się ukazywanie, na ile kultura inna jest wykorzystywana do celów politycznych i imperialnych.

Dr Grzegorz Tokarz, Zakład Studiów nad Bezpieczeństwem, Instytut Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Wrocławskiego

Rozmowa z dr hab. Moniką Płużyczką, prof. UW z Instytutu Komunikacji Specjalistycznej i Interkulturowej Wydziału Lingwistyki Stosowanej Uniwersytetu Warszawskiego

Uchem i okiem

Moim zdaniem tłumaczenie a vista jest jednym z bardziej interesujących typów tłumaczenia. Łączy ono w zasadzie dwa typy tłumaczeń: pisemne i ustne. Występuje tu bowiem bodziec wizualny, gdyż tekst wyjściowy jest w formie pisemnej, z kolei tekst tłumaczenia jest produkowany w formie ustnej. A jako że bodziec wizualny jest jednym z najsilniej oddziałujących na nas bodźców, to tłumaczowi czytającemu tekst i równocześnie tłumaczącemu go ustnie bardzo trudno jest oderwać się od formy i języka tekstu wyjściowego. Ten typ tłumaczenia jest wbrew pozorom bardzo wymagający pod względem mentalnym.

Jakie to jest uczucie wyjść z cienia? Pytam w kontekście obecnej sytuacji tłumaczy. Zauważalna w ostatnim czasie zmiana postrzegania ich roli, szczególnie widoczna w obrębie literatury, gdzie nazwiska translatorów coraz częściej pojawiają się na okładkach książek, nie pozwala już myśleć o tłumaczu jak o niewidocznej postaci pełniącej, można by rzec, usługową funkcję w stosunku do autora.

Faktycznie kiedyś było tak, że uczono tłumaczy – a mówię tu o tłumaczach ustnych, do których grona należą – że w trakcie różnych wystąpień muszą usunąć się w cień i niejako wtopić się w tło. Powinni też być ubrani w kolory nierzucające się w oczy i zając miejsce za mówcą. Teraz wygląda to tak, że tłumacz często stoi lub siedzi obok mówcy. Myślę, że ostatnie lata przyniosły widoczną zmianę i rzeczywiście nastąpiło skupienie na translatorze. W 1995 roku Venuti w swej książce *Niewidzialność tłumacza: historia przekładu* wzywał już tłumaczy, by stali się „widzialni” i mieli większą wolność w wykonywanych tłumaczeniach, szczególnie literackich. W 2009 roku Chesterman zaproponował nawet w anglojęzycznym świecie naukowym termin „translatOR studies”, który podkreśla rolę tłumacza i skupia badania na nim. Aczkolwiek chcę zauważyć, że antropocentryczna teoria translatoryczna, którą wyznają i staram się poszerzać, od początku, czyli od lat 70. XX wieku, koncentrowała się na tłumaczu jako elemencie centralnym, a procesy mentalne zachodzące podczas tłumaczenia i właściwości umożliwiające mu tłumaczenia stanowiły główny przedmiot badań tej nauki.

A jeśli położylibyśmy na szali alternatywę, talent czy wykształcenie, to wówczas odpowiedź na pytanie kim jest tłumacz, mogłaby oscylować wokół kwestii: artysta czy dobrze wyedukowany teoretyk przekładu?

To jest bardzo ciekawe pytanie. Dopiero po I wojnie światowej, gdy powstawała Liga Narodów, zauważono potrzebę profesjonalizacji tłumaczy. A przecież tłumaczeniem zajmowano się od czasów antycznych. W Lidze Narodów zostały przyjęte dwa oficjalne języki, francuski i angielski, i nagle zaistniała konieczność znalezienia tłumaczy na te języki z kilkudziesięciu innych języków. Potrzeba ta dotyczyła zarówno tłumaczy ust-

nych, jak i pisemnych – i to nie jak dotąd literatury, ale przede wszystkim dokumentów specjalistycznych. Mimo to nawet po II wojnie światowej, kiedy powoli następowała profesjonalizacja zawodu tłumacza, choć nie był on jeszcze formalnie usankcjonowany, uważano cały czas – tak jak stulecia wcześniej – tłumaczenie za sztukę. To skutkowało twierdzeniem, że nie trzeba go nauczać. Takie przekonanie można zresztą jeszcze dzisiaj usłyszeć. Przełom nastąpił w Polsce w latach 60. XX wieku, kiedy zaczęły powstawać szkoły kształcenia tłumaczy. W Europie były to lata 30.

Czy któraś z tych opcji jest pani bliższa?

Uważam, że na pewno trzeba uczyć tłumaczenia. Na kierunkach kształcących tłumaczy, oprócz prezentowania wiedzy praktycznej, pomagamy studentom rozwijać ich talenty i budzić kreatywność. Moim zdaniem, sam talent i predyspozycje, mimo że są szalenie istotne, nie wystarczą. Samorodek, który wyjdzie na scenę razem z kimś, kto był uczony tłumaczenia, przy założeniu, że obie te osoby mają mniej więcej podobne umiejętności językowe, które są, rzecz jasna, absolutnie niezbędne, otóż ten samorodek nie będzie tak dobry jak profesjonalista.

Dlaczego?

Przed wszystkim nie będzie znał technik i strategii tłumaczeniowych. Nie będzie też wiedział, jak się zachować i co robić w momencie, kiedy czegoś nie usłyszy albo nie wpadnie mu natychmiast ekwiwalent do głowy. Co bardzo istotne, zabraknie mu umiejętności na przykład dobrego improwizowania czy wyćwiczonej podzielności uwagi, czyli tego, co w tłumaczeniu ustnym niezbędne, czy choćby sprawnego dodawania albo ujmowania informacji dla odbiorców kultury docelowej, biorąc pod uwagę ich wiedzę na temat danego zagadnienia.

Kiedy powiedziała pani o tłumaczeniu ustnym, przypomniały mi się słowa jednego z translatorów, który powiedział, że w procesie przekładu chodzi o to, żeby podążać za językiem. Nietrudno się domyślić, że w przypadku tłumaczenia na żywo podążanie odbywa się w wyjątkowo szybkim tempie.

Mogę tylko sobie wyobrazić, jak bardzo stresującym czynnikiem jest wówczas presja czasu.

Kiedys nawet porównano poziom stresu tłumacza ustnego do poziomu stresu, który odczuwa kontroler lotów, i okazało się, że oba zawody pod względem stopnia narażenia na stres są do siebie zbliżone.

Można się do tego jakoś przyzwyczaić?

Z pewnością. W sukurs przychodzą oczywiście posiadane i doskonalone wciąż zasoby. W przypadku tłumaczenia konsekutywnego, które polega na tym, że mówca wygłasza pewien fragment tekstu i zostawia nam czas na tłumaczenie, przydaje się dobrze wyćwiczona pamięć i umiejętności parafrazy. Z kolei przy tłumaczeniu symultanicznym, gdy podążamy ze swoją wypowiedzią w sposób ciągły, mniej niż sekundę za mówcą, liczy się umiejętność szybkiego przetwarzania informacji i podzielność uwagi.

A jak sobie poradzić, kiedy nagle zostaje się z pustką w głowie i nie można znaleźć odpowiedniego słowa? Zdarzyło się pani znaleźć kiedyś w takiej sytuacji?

Tak, i to nie raz.

I co się wówczas robi?

Można wtedy wybrnąć za pomocą jakiejś techniki tłumaczeniowej, np. generalizowania. Kiedys uczestniczyłam w tłumaczeniu politycznym. Po całodziennym towarzyszeniu rosyjskojęzycznemu ministrowi rolnictwa, który przyjechał do Polski, byłam zmęczona i bardzo głodna. Siedząc już ze wszystkimi w restauracji, wiedziałam, że powinienam poczekać z jedzeniem, aż skończy się rozmowa ministrów albo będzie przerwa. Ale potrzeba zaspokojenia łaknienia przeważyła i chwyciłam za sztucce. Wtedy właśnie padło bardzo fachowe wąskospecjalistyczne słowo, nie pamiętam już dokładnie jakie, ale przypominam sobie, że tak mnie ono zaskoczyło, że nie byłam w stanie znaleźć odpowiedniego ekwiwalentu.

Wyobrażam sobie, że w tym momencie chęć na posiłek szybko minęła?

Mimo głodu – tak. Zawiesiłam się i ze zmęczenia i stresu trzęsącymi rękoma zaczęłam nieświadomie objąć sztuczkami o talerz. Na szczęście dość szybko się opanowałam i powiedziałam to, co należy, ale w sposób opisowy, nie używając fachowej terminologii, czyli właśnie dokonałam generalizacji. Tym bardziej było to stresujące, że dźwięk talerza, który brzmiał jak chęć zaanonsowania przemówienia, skupił na mnie i moim tłumaczeniu uwagę całego stołu.

Pozostając niejako w klimacie szeroko pojętych kulinariów, chciałam zapytać, czy chlebem powszednim pracy tłumacza nie są także przejęzyczenia.

O tak. Sama miałam ich sporo, ale myślę, że były głównie wynikiem niecodziennej sytuacji. Tak było chociażby w przypadku pewnego tłumaczenia kynologicznego. Zdarzyło się, że pojechałam z przedstawicielami białoruskiej straży granicznej i ministrami do znajdującego się kilkadziesiąt kilometrów od Warszawy ośrodka szkolenia psów, w którym trenuje się zwierzęta m.in. w wykrywaniu narkotyków. Przygotowana do tłumaczenia nie spodziewałam się jednak, że będziemy biegać po olbrzymim terenie za psami.

I?

Proszę sobie wyobrazić sytuację, w której ja, oczywiście elegancko ubrana, w butach na obcasach, a rzecz cała działa się pewnego deszczowego listopadowego dnia, muszę biec przez

bloko, w którym oczywiście się zapadam. Za mną biegnie grupa ministrów, równie szykownie ubranych, a całemu korowodowi, też w biegu, przewodzi trener psów, którego wypowiedź miałam tłumaczyć, a który wydawał między innymi komendy psom.

Wygląda to jak scena z jakiejś zwirowanej komedii.

Rzeczywiście wyglądało to naprawdę zabawnie, jak wyreżyserowane przez Bareję. Myślę, że biorąc pod uwagę okoliczności, nie może dziwić to, że zdarzyło mi się zrobić kilka przejęzyczeń. W końcu byłam zajęta jednocześnie biegiem, trzymaniem parasolki, próbą wychwycenia słów biegnącego przede mną trenera kynologicznego i odwracaniem się do gości, by im tłumaczyć. Pomimo tego, że mam dość dobrą podzielność uwagi, tu chyba było zbyt dużo bodźców, nawet jak na mnie.

Dziś mówi pani o tym z uśmiechem. Rozumiem, że rozbrajanie trudnych sytuacji za pomocą humoru jest przydatną umiejętnością w pracy tłumacza?

Z całą pewnością, tak jak w życiu. Obracanie pomyłek w żart, a w przypadku bardzo oficjalnych spotkań regulowanych protokołem dyplomatycznym traktowanie ich z lekkim uśmiechem, pozwala wyjść cało z wielu trudnych sytuacji.

Pomówmy teraz o prowadzonych przez panią badaniach. Używa pani w nich okulografu, urządzenia, które umożliwia przyjrzenie się procesowi przekładu z perspektywy tłumacza.

Rzeczywiście za pomocą eye trackera, czyli właśnie okulografu, który pozwala śledzić ruchy gałek ocznych i analizować określone parametry wzrokowe, jak chociażby fiksacje, sakady czy średnicę źrenicy, możemy wnioskować o tym, jakie procesy mentalne zachodzą w trakcie tłumaczenia. Metoda ta umożliwia nam w sposób obiektywny, bo rejestrujący procesy psychofizjologiczne, określenie na przykład obciążenia kognitywnego.

Czyli dokładnie czego?

Tego, jak trudne jest dane zadanie dla tłumacza z uwagi na wymagania mentalne i czy nie powoduje ono u niego przeciążenia mentalnego, czyli czy nie przekracza ono jego możliwości przetwarzania. Chodzi o to, że w pewnym momencie, kiedy tłumacze się zawieszają – a rzecz dotyczy szczególnie osób stawiających pierwsze kroki w zawodzie, ale nie tylko – to widać, że dostarczonych informacji mogło być za dużo, być może nie zdążyli ich wychwycić, zgubili się w tekście, nie przyszło im do głowy, jak mogą coś wyrazić. Właśnie takie sytuacje nazywamy przeciążeniem. W praktyce oznacza to tyle, że tłumacze nie mieli w tym momencie wystarczających możliwości kognitywnych, aby w określonym czasie przetworzyć otrzymane informacje. W badaniach eyetrackingowych możemy poszukać odpowiedzi, dlaczego tak się stało. Możemy zbadać nie tylko stopień obciążenia, ale także powiązać typ tłumaczenia z jego poziomem, jak również zidentyfikować elementy tekstowe, które to spowodowały, czy eksplorować specyfikę mentalną procesu, która na to wpłynęła. Ciekawie to wygląda w badanym przeze mnie tłumaczeniu a vista.

Czy to jest jakiś specjalny rodzaj przekładu?

To jest przekład polegający na czytaniu informacji w jednym języku i od razu, bez wcześniejszego zapoznawania się z tekstem, na symultanicznym z czytaniem jej tłumaczeniu.

Ale czyta się ją w całości czy jakimiś partiami?

W całości, bez robienia przerw. Oznacza to, że tłumacz musi jakby udawać, że czyta ją w drugim języku, chociaż jest ona napisana w pierwszym, czyli języku wyjściowym. Moim zdaniem tłumaczenie a vista jest jednym z bardziej interesują-



Mimo tego, że na pozór wydaje się prostsze, bo tekst ma się przed oczami.

Właśnie. A jednak tak nie jest. Posiadany tekst oczywiście trochę odciąża pamięć długotrwałą tłumacza, ale przy tak szybkim tłumaczeniu translator aż tak mocno się na niej nie opiera. Dodatkowo ów bodziec wzrokowy jest tak silny, że robi się kalki, czyli interferencje, co powoduje, że tłumaczenie nie jest do końca dobre.

Dlaczego?

Bo często brzmi tak, jakby było tłumaczeniem roboczym. Jest w nim właśnie bardzo dużo kalek językowych, składni typowej dla języka wyjściowego, nie zaś dla tego, na który się tłumaczy. Bodziec wizualny w postaci tekstu powoduje właśnie przenoszenie form z jednego języka do drugiego. W trakcie prowadzonych badań odkryłam też jeszcze inną, niezwykle ciekawą rzecz. Otóż, kiedy oglądałam zarejestrowane przez okulograf obrazy ścieżek wzroku, które są nałożone na tekst czytany przez badanego, to okazało się, że oprócz tego, że występują fiksacje i sakady na tekście – sakady to są przeskoki między fiksacjami, a fiksacje to zatrzymanie wzroku – to występowało również wiele sakad, które „uciekały” w różne strony, szczególnie w górę i w boki, poza tłumaczony tekst. To oznacza, że badani w pewnych momentach kierowali wzrok gdzieś poza tekst, uciekając jakby od niego wzrokiem. Zaś przyjmuje się, że przetwarzamy element tekstowy podczas fiksacji na nim. To było o tyle intrygujące

cych typów przekładu. Występuje tu bowiem zarówno bodziec wizualny, od którego trzeba się „oderwać”, by móc przetworzyć informacje i wyrazić je w innym języku, jak i element audialny, gdyż tekst tłumaczenia produkujemy w formie ustnej. Trudność polega na tym, że mamy jednocześnie dwa różne kanały, wejściowy wzrokowy i wyjściowy audialny, a ponadto trzeba działać tak szybko, jak w przypadku tłumaczenia symultanicznego tradycyjnego, a nie zapominajmy, że w tym ostatnim mamy do czynienia wyłącznie z kanałem słuchowym.

I zapewne umiejętność poradzenia sobie z tym podwojeniem stanowi największe wyzwanie dla tłumacza?

Dokładnie tak. Ono bowiem może powodować pewne zakłócenia, może podnosić stopień trudności, a z całą pewnością zwiększa obciążenie kognitywne. A nie zapominajmy o tym, że przecież jeszcze duży wysiłek mentalny tłumacza jest inwestowany w zarządzanie językami, czyli wyhamowywanie języków, które znamy, żeby nie wpływały na tekst tłumaczenia, np. w formie kalek. Bo ustalenia neurobiologów są takie, iż nie „przełączamy” się z języka na język, a wszystkie języki, które znamy w stopniu zaawansowanym, są aktywne w mózgu. Cała sztuka polega na hamowaniu jednych, gdy używamy innych, jak również sprytnym zarządzaniu nimi, czym zajmuje się m.in. nasze jądro ogoniaste. I to zwiększa obciążenie kognitywne. Zresztą to, ile obszarów w mózgu i w jakim stopniu jest zaangażowanych w tłumaczenie, to oddzielny, również fascynujący temat. Kiedy rozpoczynałam badania, postawiłam początkową hipotezę, którą chciałam zweryfikować, że tłumaczenie a vista jest jednym z trudniejszych typów tłumaczenia.

spostrzeżenie, że w trakcie procesu tłumaczenia nie ma czasu, żeby się odwrócić, uciec od bodźca i zastanowić, bo trzeba tłumaczyć w trybie ciągłym. Wtedy zastanowiło mnie, dlaczego tak się dzieje i co oznaczają te „przeustrzenie” – jak je nazwał – ruchy sakadowe. Tym bardziej że badając czytanie, takich ruchów odtekstowych w ogóle nie zarejestrowałam.

I co się okazało?

Bardzo długo szukałam wytłumaczenia. Na początku stawałam na to, że chodzi o uniknięcie dystrakcji. Myślałam, że może dostarczany bodziec wizualny jest tak mocny, że tłumacz chce od niego uciec, by się skupić. Ale to założenie zostało bardzo szybko obalone, bo okazało się, że ruchy sakadowe boczne i górne występują nawet przy zamkniętych oczach, przy zadaniu określonych pytań. Później weryfikowałam jeszcze wiele innych teorii. Wreszcie pojawiła się jedna, która się sprawdziła. Chodzi w niej o to, że kiedy skanujemy, czyli metaforycznie mówiąc „przeoglądamy” naszą pamięć długotrwałą, to wykonujemy ruchy sakadowe, uciekając wzrokiem od bodźca, na podobieństwo tych, jakie wykonujemy podczas skanowania otoczenia dookoła nas, gdy czegoś szukamy. Wynika to z teorii ewolucyjnej, która zakłada, że system przeszukiwania pamięci długotrwałej nadbudowany został na systemie wzrokowego przeszukiwania otoczenia, stąd też przy obu tych działaniach wykonujemy określone ruchy sakadowe. W rozmowie z kimś można je zaobserwować w prosty sposób, gdy zadamy komuś pytanie, co na przykład robił dwa tygodnie temu o tej samej porze, wtedy nieświadomie skieruje on swój wzrok do góry lub w bok. Kiedy przeglądałam nagrania video z badania, to wyraź-

nie było można zaobserwować, że kiedy jego uczestnicy zastanawiali się nad ekwiwalentem, czyli próbowali sobie go przypomnieć, to wówczas uciekali wzrokiem zazwyczaj w górę i w bok.

A czy teoria NLP, czyli programowania neurolingwistycznego, że jeśli patrzymy do góry w prawo, to kłamiemy, a jeśli w lewo, to przypominamy sobie coś, jest w ogóle w jakikolwiek sposób zasadna?

No właśnie nie. Jak dotąd nie udało się tego potwierdzić naukowo. To tzw. pseudonaukowa teoria. Moje eksperymenty również przeczą temu, byśmy mogli wykryć kłamstwo na podstawie kierunku ruchów oczu. Mimo że powstało wiele filmów, m.in. *Lie to me (Magia kłamstwa)*, które wykorzystywały między innymi to założenie w fabule. Badając tę hipotezę, sprawdziłam, czy są jakiegokolwiek korelacje między kierunkiem tych „uciekających” zazwyczaj w górę od bodźca ruchów sakadowych a poprawnością ekwiwalentów. Jeśli bowiem ekwiwalent byłby poprawny, to stawiałam tezę, że student przypomniał go sobie nawet mimo trudności. Jeśli był zaś fałszywy, to badany go zmyślił, czyli odpowiadałoby to „kłamaniu” czy „wymyślaniu”. Żadnej korelacji kierunku patrzenia z przypominaniem sobie bądź wymyślaniem ekwiwalentów nie znalazłam.

W tym co pani mówi, okulograf jawi się jako niezwykle pomocne narzędzie badawcze. Czy można liczyć na to, że w przyszłości w jakimś stopniu usprawni pracę tłumacza?

Okulograf to urządzenie, które skanuje ruchy gałek ocznych światłem podczerwieni i później nakłada je na oglądany albo czytany obraz. Okulografia jako metoda badawcza funkcjonuje od około stu pięćdziesięciu lat, ale dopiero niedawno dostępne urządzenia stały się nie tylko wygodne i bezproblemowe w użytkowaniu, ale zaczęły także charakteryzować się dużą precyzją. W projekcie ELIT, który obecnie prowadzę, stworzyliśmy międzynarodowe interdyscyplinarne studia doktoranckie, by kształcić nowe pokolenia naukowców korzystających właśnie z takich nowoczesnych aparatów badawczych. Obecnie okulograf występuje w różnych formach. Bywają okulografy stacjonarne z konstrukcją do stabilizacji głowy, kiedy potrzebna jest bardzo duża częstotliwość próbkowania, np. 2000 Hz. Ale bywają też okulografy w formie panelu montowanego pod monitorem, jak i małego, wąskiego paneliku, który kładzie się na laptopie. Takie okulografy w żaden sposób nie ingerują w swobodę badanego. Są też dostępne okulary eyetrackingowe. Przy wykorzystaniu okulografu w postaci takich okularów planuję teraz z partnerem z Uniwersytetu w Leuven badania na tłumaczach ustnych. Jeśli wygramy złożony grant, to jesienią rozpoczynamy eksperymenty. Będą polegać na sprawdzeniu, czy bodziec wizualny, czyli w tym przypadku prezentacja, którą mówca pokazuje na konferencji, jest dla tłumacza pomocna, czy raczej nie. Interesuje nas także sama postać mówcy. Chcemy wiedzieć, czy lepiej jest dla tłumacza, kiedy widzi prelegenta, czy też nie.

Rozumiem, że w tym ostatnim przypadku chodzi o zbadanie, czy mówca nie jest rodzajem rozpraszacza?

Dokładnie tak. Chodzi o to, czy nie jest on wbrew pozorom, mimo ewentualnej pomocy w postaci komunikatów niewerbalnych, dystrakcyjny. Odpowiedź na tak postawione pytanie pozwoliłaby optymalnie zaaranżować środowisko tłumaczenia ustnego. Jest to też cenna informacja dla tłumacza.

A jak jest teraz? Każdy tłumacz może sobie wypracować własną koncepcję zagospodarowania przestrzeni?

Nie ma takiego wyboru. Kiedy wchodzimy do sali konferencyjnej, kabiny są już ustawione i w środku zaaranżowane. Cza-

sami widzimy mówcę, a czasem – z uwagi na odległość – nie mamy takiej możliwości. Ale takie badania mogłyby udzielić wskazówek praktycznych dla osób aranżujących tę przestrzeń. Jednak tu należy też wziąć pod uwagę możliwe różnice indywidualne. Choć to należy właśnie jeszcze zbadać. Dla mnie na przykład najlepiej jest, kiedy liczba bodźców jest ograniczona.

Z jakichś szczególnych powodów?

Wynika to z faktu, że kiedy coś widzimy, to możemy bardzo szybko skupić się na myśli związanej z obiektem, na który patrzymy, a w tłumaczeniu symultanicznym zawsze chodziło i chodzi o bycie tu i teraz. Idea mindfulness, która jest teraz niezwykle popularna, od początku była obecna w środowisku translatorów, którzy byli uczeni, żeby nie przywiązywać uwagi do myśli. One muszą – pozwolę sobie użyć sobie metafory – przelatywać jak obłoki po niebie, bo inaczej nie może być mowy o skupieniu na treści przekazu. Kiedyś miałam taką sytuację, która właśnie mnie nauczyła, jak ważne jest, by w trakcie tłumaczenia ustnego ograniczać bodźce, puszczać myśli i skupiać się jedynie na przekazie. Zostałam zaproszona do tłumaczenia pewnego wydarzenia konferencyjnego, które odbywało się w hotelu w Warszawie. Charakterystyczne jest w tym miejscu to, że sala konferencyjna ma szklane szyby, które są od strony ruchliwej ulicy w centrum, i właśnie siedziałam w kabinie usytuowanej przy jednej z nich. Wszystko było w porządku do momentu, w którym patrzyłam na mówiącego. Jednak w pewnej chwili spojrzałam w okno. I tak sobie obserwowałam przechodzących ludzi, jednocześnie tłumacząc symultanicznie. Do czasu kiedy nie pojawił się ktoś, kto by mnie jakoś specjalnie zainteresował, nie przywiązywałam się do myśli o przechodniach. Ale kiedy zauważyłam pana idącego w cylindrze na głowie – co mnie niebywale zaskoczyło – nastąpiła dystrakcja. Po prostu się zawiesiłam, gdyż wpadła mi myśl, dlaczego ów jegoś ma na głowie cylinder. Wówczas na sali zapadła cisza, a publiczność spojrzała na mnie.

Ale udało się wrócić?

Tak, i to na szczęście dość szybko.

Kiedy tak pani słucham, to nie wyobrażam sobie, aby przy konieczności zachowania niezbędnego przeciw ogromnego skupienia można było się obyć bez praktycznej znajomości technik koncentracji.

Tak, bez nich nie byłoby możliwe dobre tłumaczenie. Kiedy uczę tłumaczenia ustnego, to próbuję wycwiczyć u studentów umiejętność skupiania, tzw. puszczenia myśli, ale również podzielność uwagi i pamięć. Robię na przykład ćwiczenie polegające na tym, że kiedy czytam tekst, który studenci powinni tłumaczyć symultanicznie, to każę im jednocześnie notować liczby od tysiąca do tyłu.

Ale przyzna pani, że jednak nic nie zastąpi kompetencji językowych na wysokim poziomie. Bez nich raczej nie można marzyć o zostaniu profesjonalnym tłumaczem.

Oczywiście. Dlatego właśnie plan zajęć jest tak ułożony, że na początku szkoli się język. Moim zdaniem, jeśli chce się tłumaczyć ustnie, to wymagana jest prawie natywna znajomość języka obcego oraz oczywiście dogłębna znajomość kultury danego kraju. Liczy się także to, żeby być na bieżąco z wiadomościami. Uważam, że tłumaczenie ustne jest fascynujące nie tylko z powodu jego specyfiki mentalnej, czyli zaangażowania tyłu procesów kognitywnych w jego wykonanie, ale również tego, jak ogromny zasób wiedzy musi posiadać tłumacz.

Rozmawiała Aneta Zawadzka

Marcelina Smużewska

Noblista z Wilna

Andrew V. Schally

Kiedy Andrew Schally dowiedział się o przyznaniu mu Nagrody Nobla, w pierwszym odruchu poczuł wdzięczność i wzruszenie. Potem napłynęły gratulacje od kolegów i koleżanek z całego świata. Pojawiła się też radość.

Andrzej Wiktor Schally urodził się 30 listopada 1926 roku w Wilnie. Jego ojcem był generał Kazimierz Schally (ur. w 1895 w Nowym Sączu, zm. w 1967 r. w Edynburgu), pochodzący z żydowskiej rodziny o korzeniach austriackich, węgierskich, szwedzkich i francuskich. Kazimierz Schally walczył w Legionach i za swoje męstwo został odznaczony licznymi orderami, w tym *Virtuti Militari*. Po wybuchu II wojny światowej wraz z rodziną ewakuował się do Rumunii, a potem do Francji i Szkocji, gdzie angażował się w misje wojskowe alianckich sił zbrojnych. Matką Andrzeja była Maria z Łąckich. Była to druga żona generała Schally'ego. Oprócz syna, państwo Schally mieli także córkę – Halinę (urodzoną w 1929 r.).

Wileńskie początki

Andrzej Schally rozpoczął edukację w Wilnie. Tam chodził do Gimnazjum im. króla Zygmunta Augusta, tego samego, do którego uczęszczali Czesław Miłosz i Melchior Wańkowicz. W 1935 roku rodzina Schally przeniosła się do Warszawy i tam dzieci kontynuowały naukę. W młodości Andrzej posługiwał się językiem polskim i rumuńskim (z racji zamieszkania), jidisz (z racji wyznania), niemieckim, rosyjskim i francuskim (w efekcie szkolnej edukacji), lecz większość tych umiejętności uległa zatarciu w dorosłym życiu. Po wybuchu II wojny światowej rodzina Schally wędrowała po Europie, by ostatecznie osiąść w Szkocji. Tam w 1946 roku Andrzej opanował język angielski i ukończył liceum Beaconhurst School. Przez kolejne cztery lata studiował chemię na uniwersytecie w Londynie. Jak wspominał w swojej noblowskiej autobiografii, mimo że warunki powojenne były trudne, Wielka Brytania wydawała mu się rajem, bo szanowano tam prawa człowieka. Dlatego też Schally czuł ogromną sympatię do Brytyjczyków. Cenił sobie angielską i szkocką piłkę nożną i nawet próbował sił jako napastnik. Od Brytyjczyków zaczerpnął też dbałość o kondycję fizyczną. Schally od lat 40. pływał codziennie i uprawiał wiele innych sportów. Także w czasie pobytu w Wielkiej Brytanii nauczył się słuchać muzyki klasycznej, którą ceni do dziś.

Z Wielkiej Brytanii do Ameryki

W 1950 roku jako 23-latek Schally rozpoczął pracę w Narodowym Instytucie Badań Medycznych w Mill Hill w Londynie. Tam zetknął się z wieloma wybitnymi uczonymi

z dziedziny chemii, fizjologii i medycyny. Okres ten nazywał „chrztem bojowym”. To właśnie tam nabył techniczną umiejętność prowadzenia badań naukowych. W maju 1952 roku Schally przeniósł się do Montrealu, gdzie podjął pracę w McGill University. Tam zainteresował się endokrynologią, która będzie mu towarzyszyła do końca kariery zawodowej. W szczególności skupił się na studiowaniu zależności między mózgiem a aktywnością hormonalną. Najnowsze teorie wskazywały, że różne części mózgu generują różne substancje (tzw. releasing factors), które mają hamować lub stymulować wydzielanie hormonów w innych jego częściach. Najwięcej czasu poświęcił na badanie funkcji podwzgórza mózgu, które nie były ówczesnie zbyt dobrze znane, oraz ich relacji z przysadką mózgową, która wydziela wiele różnych hormonów, w tym odpowiedzialne za funkcjonowanie tarczycy, płodność i popęd seksualny, wzrost czy nawet prolaktynę – hormon odpowiadający za laktację. Zgodnie z teorią Schally'ego i jego nauczycieli, hormony kierują nie tylko pracą ciała, ale zwrótnie oddziałują na mózg.

W 1955 roku Schally – razem z innym naukowcem, dr. Murrayem Saffranem – zauważyli istnienie czynnika regulującego uwalnianie kortykotropiny, hormonu przysadki mózgowej. Udało im się dostarczyć dowodów na istnienie hormonów podwzgórza, które regulują funkcje m.in. przysadki mózgowej. Na bazie tych badań Schally uzyskał doktorat w 1957 roku i przeniósł się do Baylor University College of Medicine w Teksasie, by kontynuować prace nad CRF, czynnikiem, który powoduje uwalnianie się wspomnianej kortykotropiny (CRF – corticotropin releasing factor). Tam poznał dr. Rogera Charlesa Luisa Guillemina (ur. 1924), który także zajmował się funkcjami podwzgórza i jego wpływem na przysadkę mózgu. W tym samym roku odkryli CRF. Guillemin był wtedy wykładowcą na uczelni, Schally świeżo upieczonym doktorem nauk medycznych. Później staną się rywalami i będą się ścierać w badaniach, a ostatecznie podzielił się Noblem.

Historię ich rywalizacji opisano w książce Nicholasu Wade'a *The Nobel Duel* (1981). Pracami Guillemina w Instytucie Salka w Kalifornii interesował się także znany francuski filozof Bruno Latour, który razem ze Stevenem Woolgarem opublikował w 1979 roku książkę *Laboratory Life*. Publikacja była antropologicznym zapisem prowadzenia badań naukowych w labora-

torium Guillemina. Badacze traktowali naukowców jak obce plemię, próbowali zrozumieć ich język i sens wykonywanych czynności. Projekt stał się początkiem dla słynnej teorii aktora-sieci (actor-network theory, ANT). Latour i Woolgar udowodnili, że za odkryciami naukowymi stoi wiele osób, ich wzajemne relacje, a także sprzęt i relacja ludzi z nim. Fakty naukowe są konstruowane, a odkrycia naukowe bywają pełne sprzeczności i nie są pozbawione błędów i nieścisłości.

Badania naukowe w Ameryce

W latach 1957-1962 Andrew Schally był adiunktem w dziedzinie fizjologii i starszym pracownikiem naukowym na Uniwersytecie Baylora w Waco, a od 1962 roku pracował w Nowym Orleanie. Był kierownikiem laboratorium polipeptydów i endokrynologii w Szpitalu Weteranów oraz profesorem Tulane University. Wade pisze, że jego laboratorium przypominało fabrykę. W 1962 Schally przyjął obywatelstwo amerykańskie, co zapewne ułatwiało mu liczne podróże naukowe. W 1966 roku uzyskał tytuł profesora. Zainteresował się wtedy innym hormonem wydzielanym przez podwzgórze, somatostatyną, która była m.in. inhibitorem (hamulcem) hormonu wzrostu. Uwalniała lub hamowała też wydzielanie tyreotropiny (TRH). Odkryto w tym czasie także gonadoliberynę (LH-RH lub LRF od ang. luteinizing-hormone-releasing hormone). Wspomniane substancje można było nazwać antykoncepcyjnymi, ponieważ wpływały na płodność. Wstrzyknięcie LH-RH do mózgow szczurów powodowało, że w krótkim czasie rozpoczynały one kopulację. Późniejsze kierunki badań poszły jednak w inną stronę. Zamiast poszukiwać skutecznego środka antykoncepcyjnego, zaczęto eksperymentować z lekami na różne nowotwory.

Tego jednak Schally nie mógł wtedy wiedzieć, więc w pierwszej kolejności skupił się na ustaleniu, czym są odkryte przez niego hormony podwzgórza. TRH było zbudowane z trzech aminokwasów: kwasu glutaminowego, histydyny i proliny. Schally ustalił to w 1966 roku, Guillemine ogłosił te same wyniki trzy lata później. Bohater niniejszego tekstu nie uważał się za biochemika, jednak osobiście wykonał prace związane z izolacją TRH, LH-RH, somatostatyny i innych hormonów. Uważał, że tylko osoba, która ma silne przekonanie i cierpliwość, jest w stanie przeprowadzić wymagającą i wieloetapową procedurę izolacji. A miał podstawy, by tak sądzić, bo na pierwszy swój sukces czekał aż czternaście lat.

W substancji pochodzącej z podwzgórza mózgu ilość hormonów była niewielka. Samo podwzgórze jest niewielkie, wielkości małego palca. W 1971 roku na postawie stanowiącej zaledwie 800 mikrogramów wyodrębnionej ilości LH-RH udało się ustalić jego budowę strukturalną, czyli wzór chemiczny. Zdaniem Schally'ego było to jedno z największych osiągnięć w jego życiu. LH-RH to złożony hormon peptydowy. Ma w swoim składzie 10 aminokwasów.



Andrew V. Schally

Zródło: Wikipedia

Kulisy tego osiągnięcia są fascynujące. Obaj naukowcy, Guillemine i Schally, ścigali się, by ustalić wzór chemiczny tego hormonu. Obydwaj mieli już wtedy wielkie laboratoria. Guillemine w San Diego, Schally w Nowym Orleanie. Pracowały dla nich dziesiątki naukowców. Żeby uzyskać LH-RH (który w książce Wade'a określany jest jako LRF), ekipa Schally'ego zużyła 160 tys. podwzgórz świńskich. Guillemine wykorzystał pewnie również wiele podwzgórz owczych, bo na takim materiale właśnie pracował. O przewadze Schally'ego przesądziła grupa japońskich chemików. Jak sądził Wade, stały za tym czynniki kulturowe. Naukowcy z Azji byli nawykli do ciężkiej pracy i posłuszeństwa. Co ciekawe, początkowo obie ekipy zrobiły ten sam błąd, sądząc, że LH-RH składa się z dziewięciu aminokwasów, gdy w rzeczywistości było ich dziesięć. Błąd zauważyli Japończycy, rozbijając peptyd różnymi środkami chemicznymi. Mieli szczęście, bo użyli akurat skutecznych substancji. To doprowadziło do ustalenia struktury chemicznej peptydu. Sprawdzenie efektów końcowych odbyło się z wykorzystaniem metod opracowanych przez Rosalyn Yalow (1921-2011), która, jak się okaże, dostanie potem Nobla razem z obydwoima endokrynologami. Wyniki udało się uzyskać w kwietniu 1971 roku, ale trzymano je w tajemnicy do 24 czerwca 1971 roku. Tak właśnie Schally chciał zatriumfować nad Guilleminem.

W czerwcu 1971 odbywała się konferencja Towarzystwa Endokrynologicznego w San Francisco. Ekipa Guillemine miała występować przed Schallym. Sam Guillemine był moderatorem tego modułu konferencji. Ludzie Francauz ogłosili, że LH-RH

składa się z dziewięciu aminokwasów i że pracują nad wzorem strukturalnym. Wtedy na scenę wkroczył Schally, ogłaszając, że udało im się zsyntetyzować LH-RH i przybliżyć jego budowę. Dla Guillemina było to wielkie osobiste rozczarowanie, ponieważ zdał sobie sprawę, że przegrał wyścig. Pogratiulował jednak Schally'emu odkrycia. Zwycięstwo Polaka skomplikowało nie tylko sytuację Guillemina, ale także innych, mniejszych zespołów. Wade wspomina endokrynologa, który niemal stracił pracę, ponieważ nie zdążył uzyskać takich wyników jak Schally.

Od 1971 roku Schally kontynuował badania nad enzymami podwzgórza, ale nie dało to bardziej spektakularnych rezultatów. Tymczasem badania nad somatostatyną weszły w fazę kliniczną, głównie w Europie. Okazało się, że somatostatyna wpływa na uwalnianie kwasu żołądkowego, pepsyny, hormonów dwunastnicy, sekretyny i cholecystokininy. W międzyczasie powstał też znany podręcznik dla endokrynologów napisany przez Schally'ego we współautorstwie z dr. Williamem Lockiem *Podwzgórze i przysadka w zdrowiu i w chorobie (The Hypothalamus and Pituitary in Health and Disease)*, wydany w 1972 roku.

Badania nad enzymami podwzgórza i ich chemicznymi odpowiednikami były prowadzone głównie w Ameryce Łacińskiej i Hiszpanii. W USA nie wolno było testować zwłaszcza środków antykoncepcyjnych. W Meksyku już jednak takich trudności nie było i testowano peptydową antykoncepcję na dużą skalę. W zamian pacjenci otrzymywali darmową opiekę lekarską. Schally często kontaktował się z medycznymi środowiskami z tych rejonów świata, w czym pomogła mu znajomość hiszpańskiego i portugalskiego. W Brazylii poznał w połowie lat 70. endokrynolożkę Anę Marię de Medeiros-Comaru. Niedługo później została żoną przyszłego noblisty.

Wyróżnienia

Za osiągnięcia zawodowe Schally otrzymał liczne nagrody, m.in. od Amerykańskiego Stowarzyszenia Tarczycy, Towarzystwa Endokrynologicznego, Uniwersytetu w Toronto, Międzynarodowej Fundacji Gairdnerów, Stowarzyszenia Amerykańskich Medycznych Szkół Wyższych, nagrodę Laskera za prowadzenie podstawowych badań medycznych. Nagrodę Nobla przyznano mu w 1977 roku wspólnie ze wspomnianymi wcześniej Rogerem Guilleminem i Rosalyn Sussman Yalow. Kiedy Andrew Schally dowiedział się o przyznaniu nagrody, w pierwszym odruchu poczuł wdzięczność i wzruszenie. Potem napłynęły gratulacje od kolegów i koleżanek z całego świata. Pojawiła się też radość. Schally nie sądził jednak, że Nobel w jakiś sposób wpłynie na jego dotychczasowe prace. Nadal był zdeterminowany, by pracować na polu endokrynologii i szukać nowych odkryć.

W tym samym roku i w tej samej dziedzinie Nobla otrzymał również Roger Guillemin, co można uznać za swoisty „chicot losu”. Akademia przyznała im po jednej czwartej nagrody za ich „odkrycia dotyczące produkcji hormonów peptydowych w mózgu”, co równało się kwocie 145 tys. dolarów. Francuz udowodnił, tak jak Schally, że przysadka jest regulowana przez wydzielanie hormonów podwzgórza. Odkrył też endorfiny – białka zaangażowane w odczuwanie bólu, somatokryninę – hormon uwalniający hormon wzrostu, zwany też GHR lub GHRF (znalazł on zastosowanie w leczeniu niedoborów wzrostu u dzieci). Podobnie jak Schally, prowadził eksperymenty z somatostatyną (GHIH), hormonem hamującym hormon wzrostu, który znalazł m.in. zastosowanie w hamowaniu krwawienia wewnętrznego podczas zabiegów chirurgicznych. Guillemin badał również aktywiny i inhibiny – peptydy pomagające regulować cykl menstruacyjny oraz fibroblasty (FGF) – substancje stosowane w leczeniu chorób oczu.

Z kolei Yalow dostała pół nagrody i wyróżnienie za „opracowanie radioimmunologicznych testów hormonów peptydowych”, które wykorzystał do swojego odkrycia m.in. Schally. Jeszcze w latach 50. wraz ze współpracownikami opracowała analityczną metodę techniki radioizotopowej (RIA), która umożliwiała ilościowe oznaczenie substancji biologicznych w płynach ustrojowych. Dzięki RIA Yalow odkryła także nieznanne wcześniej fakty na temat wpływu insuliny na układ odpornościowy. RIA jest wykorzystywane obecnie do badań krwi, wykrywania obcych w niej substancji, bezpiecznego poziomu dawkowania leków i – last but not least – wykrywania problemów hormonalnych właśnie.

Życie po Noblu/ z Noblem

W latach 1972-1978 udało się Schally'emu opracować chemiczne zamienniki LH-RH, a na początku lat 80. przetestować je na szczerach chorujących na raka prostaty. Okazało się, że substancja rzeczywiście hamuje wzrost nowotworu. Rok później prowadzono już pierwsze próby na ludziach. Okazało się, że stosowanie hormonów LH-RH jest skuteczne w 70% przypadków, a mniej drastyczne niż kastracja. Schally podążył tą ścieżką, tworząc odpowiedniki różnych enzymów LH-RH, bombezyny i somatostatyny, które mogą być wykorzystywane w walce przeciwko nowotworom i ich przerzutom. Skuteczność tych substancji odnotowano także przy raku sutka, trzonu macicy i jajnika. Praca nad tymi substancjami miała pomóc w prowadzeniu mniej wyniszczających chemioterapii.

W 2004 roku zmarła na raka tarczycy żona Schally'ego. To było dla niego druzgocące doświadczenie, dlatego postanowił kontynuować pracę nad substancjami, które pomagają zwalczać nowotwory. W laboratorium Schally'ego powstały różne substancje syntetyczne zastępujące peptydy przeciwnowotworowe.

Do końca kariery badawczej Schally działał na polu neuroendokrynologii. Okazało się, że wyjściowy model teoretyczny jest znacznie bardziej skomplikowany. Nie jest tak, że jedna substancja peptydowa z podwzgórza decyduje o uwolnieniu lub hamowaniu konkretnego hormonu mózgowego. Czasem potrzeba kilku substancji. Niekiedy ma to nieprzewidziane skutki uboczne. Co więcej, okazało się, że hormony wykryte w podwzgórzu i przysadce są produkowane także w innych narządach, m.in. w układzie pokarmowym. Problemem peptydów hormonalnych jest także ich nietrwałość, przez co trudno opracować leki o właściwej skuteczności. Kolejna sprawa wiąże się z ich dostarczaniem, jeśli mają oddziaływać na mózg, nie da się ich podawać dojelitowo, a raczej w formie zastrzyków bezpośrednio skierowanych do mózgu lub wziewnych sprayów. Tak przynajmniej wtedy sądzono. Nieznana była jeszcze relacja neuroprzekazników i peptydów mózgowych, co także dostarczało trudności w opracowaniu skutecznych leków.

Historia Andrew Victora Schally'ego jest interesująca nie tylko ze względu na jego polskie korzenie i dokonane odkrycia naukowe. Pokazuje także, że nauka w XX wieku stała się przedsięwzięciem zdecydowanie zbiorowym, przypominającym niemal pracę w fabryce. Zarówno Schally, jak i jego opONENT Guillemin byli znani jako świetni organizatorzy i menedżerowie. Choć nagrodzono Noblem tylko dwóch endokrynologów, za odkryciem peptydów mózgowych stały dziesiątki, jeśli nie setki wybitnych uczonych z całego świata. Sądzę, że współcześnie trend ten ulega wzmocnieniu. Mamy już do czynienia nie z wyścigami poszczególnych laboratoriów pod wodzą jednego uczonego, ale z rywalizacją międzynarodowych klastrów laboratoriów pod kierownictwem interdyscyplinarnych zespołów lub rad.

Wśród ludzi systemu

Według Krawczyka wydanie mojej pracy zależało pośrednio od wyników rozmów w Moskwie, które w imieniu władz partyjnych prowadził wspomniany Artur Bodnar w sprawie oceny stalinizmu. Jeżeli będzie zgoda na krytyczne ujęcia, wtedy też będą jakieś możliwości wydania mojej pracy habilitacyjnej.

W okresie stanu wojny komunistów z własnym społeczeństwem (13 XII 1981 – 22 VII 1983) znalazłem niszowe warunki w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN, gdzie bez żadnych trudności znalazłem środki na etat, zarezerwowane przez Komisję do spraw Krzywdzących Decyzji, działającą przy Prezydium PAN. Trafiłem do ulokowanego ponownie w PAN (1976) Zakładu Prakseologii. Dodano w jego nazwie „i Naukoznawstwa”. Śmierć Tadeusza Kotarbińskiego (3 X 1981) osłabiła wysiłki Komitetu Naukoznawstwa PAN, by wspierać badania nad nauką. Niepowodzenia ukazał przygotowany przeze mnie raport z badań, prowadzonych pod patronatem Komitetu Naukoznawstwa PAN. Nie uległem presji kierownika zakładu Wojciecha Gasparskiego, by zająć się merytorycznie prakseologią. Musiałem jednak przenieść się do drugiego „pionu” w instytucie – do Zakładu Socjologii Nauki, kierowanego przez Salomeę Kowalewską.

Po ukazaniu się mojej pierwszej książki – o I Kongresie Nauki Polskiej, doktoratu opublikowanego po dziesięciu latach (1983) – zacząłem intensywnie, rozdział po rozdziale, pisać pracę habilitacyjną o systemie polityki naukowej 1944-1953. Badając problemy stalinizmu w Polsce, znalazłem się w roli outsidera, poza środowiskiem historyków, tych z Instytutu Historii PAN i tych z Wydziału Nauk Historycznych UW. Interesowałem się nie „wszystkim”, łączonym z zarysami podręcznikowymi, lecz ze sprawami organizacji nauki. Miałem doświadczenie z kwerend archiwalnych, zwłaszcza z Archiwum Akt Nowych, gdzie zebrałem wyciągi z około stu tysięcy dokumentów. Jako prawnik radziłem sobie z materiałami biurowymi, a te – ukazując proces decyzyjny – stanowiły podstawę portretowania „systemu władzy”.

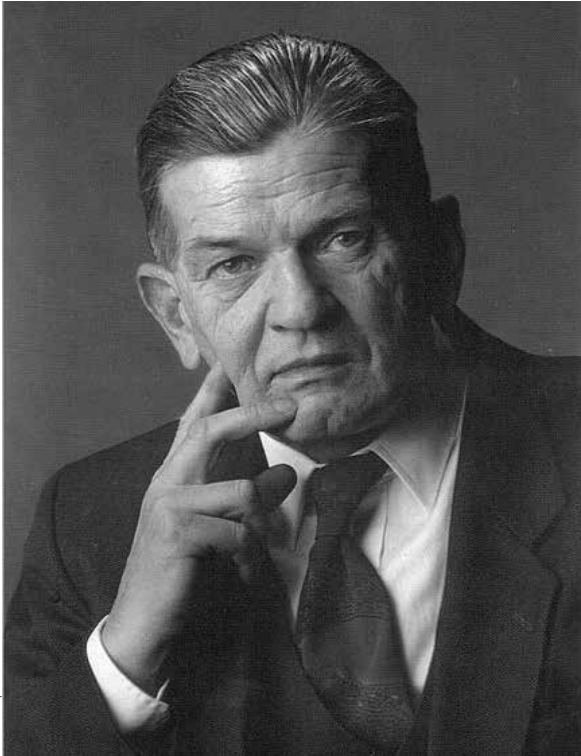
Ciekawi goście

Będąc nieobecny w środowisku, tym bardziej musiałem ciekawić jego autorytety. Odwiedziła mnie w mieszkaniu na Ursynowie Krystyna Kersten. Większe zainteresowanie moim warsztatem wykazał Marcin Kula. Przeczytał wypis archiwalny, jaki znalazłem o jego ojcu, w którym Stefan Żółkiewski planował wciągnąć do partii Witolda Kulę. Syn bronił tezy o niezależności intelektualnej ojca i oczekiwał, że nie będę widział w nim fellow traveller. Odmówiłem. Nadal pisałem o kręgu „ludzi systemu”. Marcin Kula opublikował w „Polityce” list *Bronię Ojca*. Miał takie prawo, ale przy okazji ostrzegął przed mną środowisko. Podobną presję napotkałem po przygotowa-

niu dla Stefana Kieniewicza artykułu *Przebudowa nauk historycznych w Polsce (1947-1953)* („Przegląd Historyczny” 1987, nr 3). Wymieniając partyjnych historyków, nie kryłem, że wielu z nich nie miało wykształcenia i występowało pod zmienionymi nazwiskami. W ocenie redakcyjnej Marian Małowist sugerował mój antysemityzm, wycofałem więc w druku podawanie macierzystych nazwisk. W tym samym numerze pisma została wydrukowana polemika Małowista, sugerująca moje braki warsztatowe. W rzeczywistości chodziło o pozytywny bilans stalinizmu i kontynuację ataku na dorobek Władysława Konopczyńskiego i innych „przedwojennych” historyków.

Do mojego mieszkania trafiali też badacze z dobrą intencją. Najbardziej szokujący był korzystający ze spaceru Stefan Kieniewicz, moralny autorytet środowiska. Przyszedł z własnej inicjatywy, bez zapowiedzi, z pilną informacją. Okazało się, że rozmawiał z Gerardem Labudą, wiceprezesem PAN. Ten też poparł sprawę druku książki, podobnie jak Jan Szczepański, który przyjął mnie w mieszkaniu w towarzystwie Edmunda Osmańczyka. Poszedłem więc z opiniami Szczepańskiego i Labudy, dwóch wiceprezesów PAN, do Józefa Szaflika, który był wtedy zastępcą sekretarza Wydziału Nauk Społecznych PAN. Tak więc sprawa zaczęła biec drogą służbową. Szaflik był ludowcem, wychowankiem Henryka Jabłońskiego – ówczesnie bardzo wpływowej osoby. Zauważyłem, że podczas spotkania miał kalendarz z zaplanowanymi spotkaniami. Przy moim nazwisku widniało duże „S”. To „S” mogło oznaczać „sprawa specjalna”, czyli kwestia była omawiana na wyższym szczeblu władzy. Zorientowałem się – i z kontekstu rozmowy to wynikało – że wezwano mnie, żeby odmówić druku i to mimo ogromnego poparcia władz korporacyjnych Akademii. Można to wyjaśnić tak, że ówczesną Akademią i uczelniami rządili nie uczeni, a politycy.

Rozmowa z Szaflikiem przebiegała w charakterystyczny sposób. Najpierw próbował mnie postraszyć. Nie wiedział, że wszelkie tego rodzaju naciski działają na mnie odwrotnie. Usztyniam się. Choć znam ludzi, którzy w takich sytuacjach wpadają w panikę. Boją się o wszystko, zwłaszcza o pracę. Zastosował także chwyt, na który akurat byłem przygotowany. Zapytał, czy jeżeli jutro trzeba by złożyć pracę do druku, to bym ją oddał. Potwierdziłem, że jest gotowa i czeka od dwóch lat. To były trzy tomy maszynopisu. Pytanie miało na celu zablokowanie druku pracy habilitacyjnej, a nie skierowanie jej na ścieżkę wydawniczą. Po tym zesłano moją sprawę na szczebel Instytutu Filoz-



Źródło: Wikipedia

Józef Szaflik

fii i Socjologii PAN. Ówczesny dyrektor instytutu Kazimierz Doktor wezwał mnie na rozmowę. Powiedział, że nie podpisze i nie da partyjnego zezwolenia na druk tej pracy. Nie dawał mi żadnych nadziei. Wsławił się prymitywnym traktowaniem kobiet. Organizacja partyjna instytutu dała mu za to nagane, co nie zmieniło postępowania Doktora. Wydawało się, że Kazimierz Doktor w strukturach instytutowych jest „nie do ruszenia”, bo wykladał też socjologię na uczelni wojskowej. Jednak poszedł na jakiś bankiet w PAN, gdzie decydenci byli z żonami. Pod wpływem alkoholu zaczął zaczepiać żonę decydenta wyżej niż on ulokowanego. To był koniec kariery Kazimierza Doktora.

Gdy zawiodły starania wybitnych uczonych

Praca habilitacyjna cieszyła się zainteresowaniem nawet z zagranicy. Trafił do mnie stypendysta z Uniwersytetu w Berkeley John Connelly, dziś profesor. Dotarł do mnie, tak jak wielu innych, poprzez adres prywatny – dzwoniąc do drzwi. Był to mądry i miły człowiek. Uczęszczał do archiwów, nie opierał się na opracowaniach. Wielu innych chciało tylko wiadomości ode mnie, rezygnując z samodzielnych poszukiwań. On był zaciekawiony moimi ustaleniami. Zapoznał się z nimi dzięki znajomości języka polskiego, sam też szukał dokumentów w archiwach. Gdy wyjeżdżał w 1986 roku na dłuższy czas poza Warszawę, zapytałem, czy mogę mu jakoś pomóc. Z wielkim skrupowaniem odpowiedział, że potrzebował rolki papieru toaletowego – nie do kupienia w sklepach i kioskach. John dziwił się, że trzy tomy maszynopisu pracy o polityce naukowej oprawiłem u intrologatora, co oznaczało, że widzę brak szans na druk w ówczesnych realiach ustrojowych.

Gdy zawiodły starania wybitnych uczonych, pojawiło się rozwiązanie zastępcze, związane z problemem resortowym promowanym przez Werblana, a realizowanym przez Gładysza z zespołem. Były one zweryfikowane partyjnie, co tworzyło dla mnie możliwość druku, bez którego nie można było przeprowadzić habilitacji. Przygotowałem więc opracowanie *Nauka polska po II wojnie światowej – idee i instytucje*. Tytuł wskazywał na znaczące ujęcie, ale tekst podporządkowany był

„beznamiętnej” relacji z zachodzących wtedy procesów, które można sprowadzić do niszczenia nauki akademickiej. Uzyskałem wsparcie od Włodzimierza Strzeмиńskiego – to była taka „szara eminencja Solidarności”. Miał wiele kontaktów w różnych grupach opozycyjnych, zarówno w Polsce, jak i za granicą. Znałem go z konferencji socjologii nauki. Działał w Centralnym Ośrodku Metodycznym Nauk Politycznych przy UW. Była to partyjna komórka, bardzo wpływowa. Jej kierownikiem był Artur Bodnar. Innym socjologiem, który działał życzliwie w mojej sprawie, był Zbigniew Krawczyk, ówczesnie rektor Akademii Wychowania Fizycznego, który interesował się socjologią nauki. Najpierw wydano tom *Socjologia nauki*. To były referaty zbiorowe. Według Krawczyka, wydanie mojej pracy zależało pośrednio od wyników rozmów w Moskwie, które w imieniu władz partyjnych prowadził wspomniany Artur Bodnar – w sprawie oceny stalinizmu. Jeżeli będzie zgoda na krytyczne ujęcie, wtedy też będą jakieś możliwości wydania mojej pracy habilitacyjnej. W tle toczyła się walka o głośność i pieriestrojke, prowadzona od 1985 roku pod patronatem Michaiła Gorbaczowa. Roboczy pobyt Bodnara w Moskwie trwał około miesiąca. Gdy wrócił, dostałem wiadomość, że można tekst drukować. Wydrukowano na powielaczu niewiele egzemplarzy, systemem małej poligrafii. Praca ta stała się podstawą habilitacji. Wniosek złożyłem w Instytucie Historii Nauki, Oświaty i Techniki PAN. Recenzje były pozytywne, habilitacja przeszła pomyślnie. Władza komunistyczna w Polsce upadła (ale nie ludzie systemu) 4 czerwca 1989 roku, habilitację przeprowadzono 22 czerwca. Wymagała zatwierdzenia przez Centralną Komisję do spraw Stopni i Tytułów Naukowych. Jej recenzent, Władysław Kwaśniewicz, wskazał, że nie jest w stanie ocenić pracy, co było swego rodzaju blokadą postępowania. Na ile wiem, przewodniczący komisji Jan Baszkiewicz przejął funkcję recenzenta – uzyskałem zatwierdzenie habilitacji, o czym dowiedziałem się dopiero na początku 1990 roku. Była to już nowa epoka, po upadku systemu władzy komunistycznej.

Upadek władzy nie oznaczał ani upadku systemu na poziomie działań instytucjonalnych, ani też utraty pozycji przez ludzi systemu. Był to zamierzony efekt obrad w Magdalence. Popularna była formuła „tylko krowa nie zmienia poglądów”. Za tą cyniczną formułą kryła się zatracona pamięć o czasach i ludziach stalinizmu. Na małą skalę zetknąłem się z tym problemem podczas dalekich od akademickości zajęć w warszawskiej Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej (1 X 1990 – 30 IX 1991). Poszukując – już jako etatowy urzędnik – jakichkolwiek zajęć ze studentami, zgodziłem się przez rok zastępować Stefana Mellera. Początkowo miałem zajęcia z grupą teoretyków teatru. W szkołach artystycznych kształcą się nie tylko aktorów, ale także krytyków teatru. Młodzież, z którą pracowałem, była rozwichrzona, „luzacka”. Kompletnie jej nie interesowała historia kultury XIX i XX wieku. A co więcej, kiedy przeszedłem do problematyki kultury w Polsce Ludowej, okazało się, że było tam co najmniej dwoje dzieci z dawnej elity władzy. Jedno z nich złożyło na mnie skargę, że źle mówię o Leszku Kołakowskim. Z archiwaliów wiedziałem, kiedy działał pozytywnie, a kiedy nie. W okresie stalinizmu przyczynił się do upadku tradycyjnych kół studenckich na Uniwersytecie Łódzkim. W roku 1950 był na UW animatorem nagonki na Władysława Tatarkiewicza. Po krytyce takich działań Kołakowskiego przeprowadził ze mną rozmowę wyjaśniającą jeden z zatrudnionych w PWST historyków kultury. W kolejnym semestrze było już lepiej, ponieważ uczyłem grupę znanych dziś aktorów. Dostrzegałem jednak, że pamięć historyczna wymaga debat na temat stalinizmu, a wiedza o realiach tej „epoki” nie budzi odpowiedniego zainteresowania. W szczególności dotyczyło to dawnych, usilnych prób budowy języka „nowej nauki”.



Piotr Müldner-Nieckowski

No fault – co to takiego i po co

Dziwne rzeczy się dzieją. Sejm i Senat debatują nad ustawą dotyczącą jakości w medycynie, w praktyce lekarskiej, losów lekarzy i pacjentów. I mało kto o tym coś wie. Nawet nie podaje się definicji obracanych przy tym pojęć, o których większość lekarzy nawet nie słyszała.

Bodaj najwięcej nieudomówień i kontrowersji wywołuje pojawiające się w ustawie wyrażenie „no fault” (dosłownie „bez winy”; wym. noł-fot), tym bardziej że chodzi jednak o coś więcej, tzn. o „no-fault compensation”, czyli „system odszkodowawczy bez orzekania o winie kogoś (lekarza) lub czegoś (instytucji medycznej)”. Co dyskutant, to inne rozumienie tych pojęć. Trudno się dziwić, bo w różnych krajach też różnie się to definiuje, choć w każdym kraju jednak jednolicie, nie różnie – jak w Polsce. Amerykanie rozumieją to po amerykańsku, Nowozelandczycy po nowozelandzku. Nasza opozycja polityczna ostro po swojemu, strona rządowa z uporem po rządowemu, w związku z czym o jakiś błąd prawniczy, nawet kardynałny, nietrudno.

Problem niepoprawnych ocen działania medycznego, który Ministerstwo Zdrowia próbuje usunąć, gnębi naszą służbę zdrowia od zawsze. A za komuny opowiadano sobie bajki o Ameryce (jak to jest tam źle) i kpiono z tamtejszej opieki zdrowotnej, że rzekomo nie dba o biedaków. Kiedy w 1987 r.jechałem na stypendium do USA, krajowi koledzy ostrzegali też przed systemem „kar za medycynę”: jak zobaczysz kogoś, kogo potrafił samochód albo kto został trafiony kulą z colta lub ma zawał serca, to się odwracaj i uciekaj w drugą stronę, udając, że nie jesteś lekarzem, bo jeśli udzielisz pomocy, to cię skują, oskarżą i każą zapłacić takie odszkodowanie, że do końca życia się nie wypłacisz.

Na miejscu okazało się jednak, że to tylko jedna dziesiąta prawdy. W klinice Uniwersytetu Harvarda w Bostonie opowiadano mi, jak to w drugiej połowie lat 70. nasz profesor (a ongiś mój starszy kolega ze Szpitala Wolskiego w Warszawie) Zbigniew Religa, wychodząc po dyżurze, zobaczył wciągana z karetki na noszach pacjentkę o całkiem siennej twarzy. Podszedł, zbadał, domyślił się, co jej jest, wrzasnął (dosłownie) „gimme a knife!” („dawajcie jakiś nóż”), otworzył jej klatkę piersiową, przeciął mięsień serca i palcem wnicował zastawkę tętnicy głównej, tak że krew wypychana przez lewą komorę ruszyła na obwód ciała. Dziewczyna ożyła. Z palcem w sercu doszedł już warunkach koledzy dokończył ratowanie. Jakież było zdumienie Religi, kiedy po kilku dniach bogaty ojciec uratowa-

nej zaproponował solidną nagrodę. „Żle cię w Polsce poinformowali” – na końcu tej opowieści dodał amerykański kolega – „gdyby Religa jej nie uratował, to i tak by o nim z atencją mówiono, tyle że nie grzmiałyby o tej historii telewizje i radia, i to przez dwie pełne doby”. Tam się zyskuje sławę nawet w ciągu kwadransa, pod warunkiem że jest za co, choćby to była tylko próba ratowania życia w nietypowej sytuacji.

U nas jest awantura i niektórych nie interesuje fakt, że chodzi tu zarówno o dobro pacjentów, jak i tym samym lekarzy. Jeśli rzecz zostanie rozwiązana źle, obie strony będą cierpieć. Dr Piotr Pawliszak, prezes Okręgowej Izby Lekarskiej w Warszawie, podkreśla, że „w Polsce próbuje się pociągać lekarzy do odpowiedzialności karnej z artykułów 155, 156 i 160 Kodeksu karnego. Jednak z danych Prokuratury Krajowej wynika, że wśród wszystkich spraw o tzw. błędy medyczne, zakończonych wydaniem decyzji merytorycznej, tylko w ok. 7 proc. przypadków skierowano do sądu akt oskarżenia lub wnioski o dobrowolne poddanie się karze. Oznacza to, że w ponad 90 proc. takich spraw nie dopatrzono się cech przestępstwa. Stąd logicznym jest, że karanie za błędy medyczne następuje jedynie w przypadkach moralnie uzasadnionych, czyli głównie rażącego niedbalstwa (tzn. gdy przewinienia są tak ewidentne, że ich ocena nie wymaga wiedzy szczególnej). W pozostałych – nie służy ani lekarzom, ani pacjentom, ani państwu”. Jeśli prawodawca tego nie pojmie, to lekarze będą się bali leczyć trudne przypadki, a pacjenci w wielu sytuacjach pozostaną bez pomocy. Medycyna w większości przypadków jest sferą wysokiego ryzyka, dlatego rozstrzygnięcie o winie w wypadku jakiegokolwiek katastrofy jest nieraz wręcz niemożliwe.

Jest jednak wiele sposobów, żeby ograniczyć wadliwość oceny moralnej działań lekarskich. Pierwszym krajem, w którym o tym pomyślano, była w latach 70. Nowa Zelandia. Istotą dobrego systemu no-fault jest zbieranie informacji o przyczynach i skutkach zdarzeń niepożądanych i opatrywanie ich definicjami, które następnie będą podstawą rozpoznawania istoty błędów i ich skutków w związku z postawą lekarza itp. Nie chodzi o to, żeby obciążać lekarzy winą lub nie robić tego, ale orzekać o poprawnej podstawie rekompensat; aby ustalić, jak to wszystko ma działać. Trzeba jednak dużo dobrej woli i odcięcie się od opinii uczestników debaty, jeśli kierują się chwilowym interesem politycznym. Chodzi o to, żeby doprowadzić do zmniejszenia liczby błędów w postępowaniu medycznym.

e-mail: lpj@lpj.pl

Senat ufa swojej młodzieży



O historii Politechniki Gdańskiej powstało wiele opracowań, mimo to Piotr Abryszeński, publikując rezultat badań naukowych zwieńczonych obroną rozprawy doktorskiej na Uniwersytecie Gdańskim, dowiódł, że o Politechnice można napisać... dużo. Przeprowadził owocną analizę materiałów archiwalnych, w tym ogromnej pod względem ilościowym dokumentacji aparatu partyjnego i urzędów państwowych, relacji pracowników i studentów aktywnie zaangażowanych w życie uczelni. Wszystkie te elementy ułożył tak, by wykreować

możliwie wierny portret społeczno-polityczny PG lat 1968-1980.

Istotę publikacji stanowi analiza wydarzeń 1968 i 1970 roku oraz procesów jej poprzedzających i ich następstwa. Marzec 1968 r. to czas gwałtownych protestów w całej Polsce – w Gdańsku to studenci Politechniki zainicjowali strajki, domagając się zmian w systemie edukacji i poprawy warunków socjalnych. Do przebiegających w pokojowych (!) nastrojach protestów dołączyły wkrótce inne gdańskie uczelnie, ale i tutaj władze PRL postanowiły stłumić je siłą oraz gasić dalsze przejawy oporu poprzez represje w formie aresztowań studentów, relegowanie ich z uczelni, zmuszanie do emigracji. Wielu pracowników Politechniki straciło pracę lub doznało innych represji za udział i wsparcie studenckich protestów.

Także protesty robotnicze i strajki grudniowe 1970 r. odbiły się echem w życiu Politechniki, gdy władze komunistyczne podjęły decyzję o wprowadzeniu tzw. nowej formuły, zakładającej zmniejszenie liczby studentów na uczelniach technicznych, w tym na Politechnice Gdańskiej. Decyzji miała przyswiecać lepsza jakość kształcenia i kondensacja nakładów na rozwój technologiczny i badania naukowe. W praktyce oznaczało to, że zmniejszono liczbę miejsc na uczelniach technicznych i adekwatnie zmalała dostępność wykształcenia technicznego. Autor określa ten czas „poligonem doświadczalnym” dla społeczności studenckiej i władz uczelni, podejmujących próby utrzymania autonomii wobec rosnącego wpływu partii komunistycznej na jej organizację i kadry.

Z publikacji dowiadujemy się o specyficznej roli Komitetu Uczelnianego PZPR, który kontrolował i kierował życiem politycznym, wpływał na obsadę stanowisk i programy nauczania, kontrolował organizacje studenckie i naukowe, które z czasem ewoluowały w grupy opozycyjne i niepodległościowe, ograniczając ich swobodę słowa i działalności. W wyniku wydarzeń grudniowych '70 r. rola Komitetu Uczelnianego została podważona, a wraz z rozwojem ruchów opozycyjnych zaczęła tracić swoją pozycję i wpływy, by w latach 80. zupełnie zaniknąć.

W tym kontekście rangi nabiera rozdział poświęcony „enklawom wolności”, tj. różnym formom aktywności kulturalnej studentów w kontekście zmieniającej się sytuacji politycznej i społecznej na przestrzeni dekad. Omawiane są m.in. takie inicjatywy jak: Teatr Bib-Bom, zespół jazzowy „Flamingo”, klub „Kwadratowa”, Kronika Studencka, Studencka Agencja Radiowa i Dyskusyjny Klub Filmowy „Żak”. Autor porusza też kwestie socjalno-bytowe studentów: niewystarczające zaplecze lokalowe do celów dydaktycznych, niedostateczna liczba domów studenckich i niewystarczająca aprowizacja stołówek, które obok rosnącej ingerencji partii komunistycznej w życie uczelni wpłynęły na nastroje strajkowe studentów.

Książka zachęca do zgłębienia wielu zagadnień, prowokuje do polemiki z treścią oraz wnioskami i spostrzeżeniami autora. Można dyskutować na temat tego, czy brak oceny opisywanych wydarzeń ze strony autora jest zaletą, czy wadą. W mojej opinii, starał się on przedstawić fakty w sposób chronologiczny, nakreślić ważne procesy prowadzące do przełomowych wydarzeń oraz ich konsekwencje dla Politechniki Gdańskiej. Pole do dyskusji pozostawia zainteresowanym.

Zofia Jakóbczak

Piotr ABRYSZEŃSKI, **Politechnika Gdańska 1968–1980. Portret społeczno-polityczny**, Instytut Pamięci Narodowej, Gdańsk–Warszawa 2022.

Profesor jest, Nie-Profesora nie ma



Książka Artura Przybysławskiego powinna być zakazana dla wszystkich poniżej trzydziestego roku życia. Więcej, każdy doktorant przyłapany na samym jej posiadaniu powinien być bezwzględnie relegowany (i to z wilczym biletem) z wszelkiego rodzaju studiów i szkół doktorskich, gdyż młody umysł zdeprawowany tą lekturą nigdy już nie będzie potrafił odnaleźć się w życiu akademickim na dotychczasowych zasadach. Z tego samego powodu książka ta powinna być obowiązkowo wręczana każdemu samodzielnemu pracownikowi naukowemu

razem z dyplomem habilitacyjnym, a kolokwium sprawdzające znajomość jej treści powinno być częścią przewodu profesorskiego.

Nie jest to typowa powieść akademicka choćby dlatego, że właściwie nie ma w niej akcji, literacko bliżej jej do *Księgi snobów* Williama Makepeace'a niż do *Jima Szczęściarza* Kingsleya Amisa. Jest bezwzględna satyra, a jednocześnie trafną obserwacją socjologiczną środowiska akademickiego, przyjętych tam postaw i zachowań. Przedstawia wyjątkowo zjadliwy opis kariery akademickiej: „jest to ten rodzaj ruchu, który wykonuje nieruchomy człowiek na ruchomych schodach, a podpis pod umową o pracę jako magistra świeżo upieczonego był właśnie pierwszym na owe schody krokiem, prowadzącym powoli, ale nieuchronnie do profesora [...] z zachowaniem pozorów wielkiej pracy własnej – na mocy prawa powszechnego akademickiego i wskutek automatyzmu uniwersyteckiego”, jedynym warunkiem jest to, że „trzeba się trochę pochylić” dla utrzymania równowagi.

Przyznam się, że z rozbowieniem potakiwałem słusności tych spostrzeżeń, dopóki w akcie zgoda niepotrzebnej autorefleksji nie zacząłem się zastanawiać: komu lub czemu, a przede wszystkim – jak głęboko sam się kłaniałem.

Główne ostrze krytyki skierowane jest przeciw profesurze akademickiej, zachwyconej sobą i nietolerującej niczego, co nie jest hołdem dla jej wspaniałości. Bohater książki nazywa się Zenon Ela, ale nie to jest ważne, daleko bardziej istotne jest bycie Panem Profesorem, tytuł ten „wyparł Zenona z Zenona, umościwszy się w jego egzystencji, szczególnie wypełniając profesorem cały zasięg bytowy Zenona Eli”.

Książka zawiera też może już mniej okrutne, ale nie mniej trafne obserwacje obyczajowe – osobiście polecam „filozoficzną” analizę umeblowania mieszkania głównego bohatera. Zarówno autor, jak i bohater są filozofami, więc język (pseudo)filozoficzny jest obecny w całym dziele, będącym swobodną parafrazą traktatu filozoficznego. Niewątpliwie osoby bez przynajmniej elementarnej znajomości filozofii nie wyłapią wszystkich smaczków i aluzji, jednak i bez tego książka dostarcza zarówno dobrej rozrywki, jak i gorzkiej refleksji nad stanem akademickiej humanistyki (nie tylko polskiej).

Najsmutniejsze jednak jest to, że to satyra w dużej części spóźniona. Zenon Ela traktuje Uniwersytet i siebie samego jak kolejne wcielenia Prawdy, Dobra i Piękna. Zachwycony sobą i celebryjący własną pseudodoskonałość nieudacznik piszący teksty, o których sądzi, że otwierają nowe drogi myślenia, a które według narratora nic nie są warte, jest niewątpliwie postacią żalonną. Niemniej jego bufonada i snobizm są karykaturalnym, ale szczerym hołdem dla tego, czym powinien być Uniwersytet: przestrzenia, w której mądrzy ludzie mogą prowadzić wolne badania i pisać wartościowe teksty. Jednak dzisiaj coraz częściej karierę robią ci, którzy swoją chwałę widzą nie w aspirowaniu do Prawdy, Dobra i Piękna, lecz w Grantach, Punktach i Pieniędżach, a uniwersytet jest traktowany po prostu jako maszyna do wydobywania dotacji z Ministerstwa.

Jeszcze zatęsknimy za Profesorem Elą.

Stanisław Gałkowski

Artur PRZYBYSŁAWSKI, **Pan Profesor, czyli wielce przeraźliwe dzieje Zenona Eli pełne heroicznego czynów, rzeceń i myśli jego, które złożyły się na akademika karierę, dla przyszłych pokoleń wiernie spisane, aby pamięć o nich nie zaginęła w mroku mniej przeraźliwych dziejów**,

Wydawnictwo w Podwórku, Gdańsk 2020.

Totalitaryzm i jego genealogia



Totalitaryzm jest swoistym symptomem bankructwa ludzkości. Takie przeświadczenie sugeruje, że problemem powinien się zająć specjalista od skarbowości, by nie dopuścić do kataklizmu ludzkiego. I nie jest to wcale irracjonalne, ale ma coś z realności. Otóż w spuściźnie naukowej i publicystycznej Ignacego Czumy (1891-1963) – właśnie prawnika i specjalisty od skarbowości, który chlubnie i trwale zapisał się nie tylko w dziejach nauki polskiej – odnajdujemy krytyczną analizę szerzącego się na jego oczach totalitaryzmu

w postaci bolszewizmu i nazizmu. Dzięki wydaniu wyboru prac I. Czumy z tego zakresu w 6. tomie serii Polskie Studia nad Totalitaryzmem zostały one ochronione przed zniknięciem w mroku zapomnienia. Tom zawiera wyselekcjonowane prace z okresu 1920-1945 zamieszczone w porządku chronologicznym, co tworzy zgrab tematyczny. A ponieważ autor pisał dosadnie i na temat, to same tytuły prac trafnie informują o prezentowanej treści. Oto ich spis: *Kwestia agrarna w Rosji; Konstytucja Rosji Sowieckiej; Prymitywizm gospodarczy rewolucji sowieckiej; Zatrucie Rosji owocami Zachodu; Bolszewicka dialektyka moralności; Dzisiejsza filozofia sowieckiego prawa a romantyzm prawniczy; Filozoficzne punkty styeczne zachodu z bolszewizmem; Recenzja Myśli w obcęgach Cata-Mackiewicza; Mobilizacja duszy niemieckiej; Bezskuteczność socjalizmu i bolszewizmu; Polska a Niemcy; Totalność państwa; Państwo sowieckie; Polityka ludnościowa III Rzeszy; Duchowe przygotowania armii III Rzeszy; Niemcy – naród bez młodzieży; Wolność narodu w państwie; Polska i Sowiety; Moralny koszt współczesnej wojny.*

Eksplicakcja tak istotnych zagadnień społecznych, politycznych, gospodarczych etc. skutkowałą nie tylko awansem i renomą wysokiej klasy uczonego, ale także więzieniem. Stało się to, gdy Polska utraciła wolność i znalazła się pod butem nazizmu, a potem bolszewizmu – za takie prace groził kryminal. Głębiej tę kwestię przedstawia B. Szlachta w prologu zatytułowanym: *Ignacy Czuma – analityk i więzień dwóch reżimów totalitarnych.*

Wbrew pozorom praca ma nie tylko historyczne znaczenie, ale dzięki przenikliwości umysłu autora i szczeremu dążeniu do uchronienia ludzkości przed pogrzebaniem przyszłości wyróżnia się aktualizmem poznawczym. Ma to szczególne znaczenie i nabiera doniosłości zwłaszcza teraz, gdy świat się zmienia, a człowiek traci rozeznanie między tym co może, a tym co mu wolno. Brak tego rozeznania poprzez stopień kondycji moralnej człowieka jest głównym zagrożeniem dla przyszłości świata. Dlatego sięganie do myśli odślaniającej mechanizm progresji nazizmu i bolszewizmu może uchronić przed nieszczęściem, jeśli w porę dostrzeżone zostaną niebezpieczeństwo i podjęte będą środki zaradcze. Dla przykładowego zobrazowania aktualizmu niech posłuży jedno zdanie, będące konkluzją myśli o państwie sowieckim, a opublikowane w 1938 r. Zdanie to wciąż stanowi ostrzeżenie i jest jasnym komunikatem, że bolszewizm „nie był rewolucją terytorialną, lokalną, lecz był i jest rewolucją wszechświatową, która ma się realizować etapami w całym świecie”.

Niezwykle ważna jest patriotyczna wymowa prac Czumy. Niezależnie od tego czy pisze o bolszewizmie, czy o nazizmie, przyświeca mu intencja chronienia Polski przed złem.

Jest jeszcze jeden walor książki, ale dostrzec go mogą osoby z akademickiego środowiska, którym Hubert Czuma SJ (1930-2019) w Lublinie duszpasterzował i krzewił wśród nich koncepcje swojego ojca, choć o tym nie wszyscy wiedzieli. Dlatego w książce odnaleźć można wiele idei, które w naszej młodości zaszczeplił o. Hubert, by wzmocnić moralną siłę narodu.

Jadwiga Michalczyk

Ignacy CZUMA, **O bolszewizmie i nazizmie. Wybór pism**, wyboru dokonał i wstępem opatrzył Bogdan Szlachta, Ośrodek Myśli Politycznej, Wydział Studiów Międzynarodowych i Politycznych UJ, Kraków 2020.

Czytać filmy i o filmach



Ceniony, ale mocno idiosynkratyczny brytyjski reżyser Peter Greenaway wielokrotnie powtarzał w wywiadach, że jego zdaniem większość współcześnie powstających filmów to tak naprawdę książki. Miał zapewne na myśli to, że ich twórcy z jego perspektywy nie wykazywali się myśleniem obrazem. On sam myśli nimi do tego stopnia, że niektóre bardziej hermetyczne pozycje z jego dorobku zamieniają się w ciągi nawiązań do klasyki malarstwa, przede wszystkim renesansowego i barokowego, zrozumiałe

już chyba tylko dla wąskiego grona specjalistów. W kinie modernistycznym – a do takiego zalicza się czechosłowacka Nowa Fala (Nová Vlna) – myślenie kinem (tak, jak rozumiał je Gilles Deleuze) płynnie łączyło się z kluczowym znaczeniem słowa i pozytywnie rozumianą przyliterackością filmu (w myśl koncepcji Bolesława W. Lewickiego). Mówiąc o sztuce i dyskursie publicznym w czasach ČSSR (*Československé socialistické republiky*), Pavel Juráček, reżyser *Przypadku dla początkującego kata (Případ pro začínajícího kata, 1970)*, powiedział, iż najważniejszym problemem było, że „řeč ztratil(a) smysl”. To krótkie sformułowanie można przełożyć na kilka sposobów: mowa/język utracił(a) sens/znaczenie/cel. Reżyserzy czechosłowackiej Nowej Fali chcieli stworzyć nowy język, w tym język kina, posługujący się w równej mierze słowem i obrazem, realistyczny i surrealistyczny jednocześnie.

Książka Grażyny Świętochowskiej to przykład pracy filmoznawczej dość tradycyjnej w kontekście współczesnych tendencji w tej dziedzinie humanistyki, zalecających raczej badanie praktyk dystrybucyjnych i odbiorczych, a także funkcjonowanie kina (włączając w to także serie) w szerszym kontekście kulturowym, społecznym i ekonomicznym. Autorka analizuje część wybranego zestawu filmów scena po scenie, a momentami wręcz ujęcie po ujęciu, rozbierając na czynniki pierwsze najbardziej podstawowy język kina, czyli operowanie: 1) zawartością kadru, 2) ruchem kamery i 3) montażem wewnątrzkadrowym i ciętym. Taki filmoznawczy odpowiednik close reading, wprowadzonego w krytyce literackiej przez szkołę New Criticism, jest szczególnie ważny w dobie nadpodaży jakościowych seriali, gdzie wysokiej jakości twórczość często jest raczej powierzchownie konsumowana niż naprawdę odbierana.

Świętochowska określa ramy czasowe i tematyczne czeskiej i słowackiej Nowej Fali, wskazuje na uwarunkowania polityczne lat 1963–1970 w Czechosłowacji, które najpierw umożliwiły narodziny i rozkwit tego ruchu, a potem go zdusiły, a następnie – i to uważam za najważniejszy rozdział publikacji – rozważa, do jakiego stopnia filmy powstałe w ramach tego nurtu przynależą do europejskiego kina modernistycznego lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, które do dziś jest często traktowane jako wręcz symbol autorskiego kina artystycznego (najważniejsze obrazy Bergmana, Antonioniego czy Bressona). Wreszcie szczegółowo analizuje sześć filmów; co ważne, tylko dwa spośród nich – wzmiankowany już *Przypadek... oraz Diamenty nocy (Démanty noci, 1964)* Jana Němca – zaliczane są do trzonu dorobku nowej fali, razem z filmami Jiříego Menzla czy *Intymnym oświetleniem* Ivana Passera. Pozwala to zarówno wskazać na artystyczną maestrię również mniej znanych dokonania nurtu, jak i podkreślić jego dwunarodowy charakter – nie bez powodu w podtytule mowa jest o czeskiej i słowackiej Nowej Fali (jednym z nielicznych trwałych osiągnięć Praskiej Wiosny była federalizacja Czechosłowacji). Wśród omawianych twórców pojawia się zatem Dušan Hanák, późniejszy twórca wybitnego dokumentu *Obrazy starego świata (Obrazy starého sveta, 1972)*. Książka pozwala zobaczyć Nową Vlnę szerzej i nauczyć się ją głębiej, uważniej czytać – na pewno nie jako kolejny przejaw rzekomo typowej czeskiej lekkości, melancholii i dystansu.

Marek Misiak

Grażyna ŚWIĘTOCHOWSKA, **Kino mniejsze. W kręgu filmów czeskiej i słowackiej Nowej Fali**, Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 2022.

Norblin o wiele bliższy



Autorzy piszący biografie lub omówienia twórczości postaci historycznych muszą realizować rozmaite cele, podstawowym jest niewątpliwie rzetelne opisanie postaci i jej życia, jak również wykazanie jej znaczenia w historii lub przynajmniej w dziedzinie, którą się zajmowała. Kolejnym jest ukazanie epoki, w jakiej żył bohater pracy, nie tylko jako tła, ale także jako wyjaśnienia wielu elementów jego życiorysu. Z całą pewnością te oba podstawowe cele biografii wypełnia książka Konrada Niemiry *Bazgracz*. Ale spełnia

ona jeszcze jedną rolę, wykorzystując swobodną formę eseju (co w żaden sposób nie podważa rzetelności i merytoryczności tekstów), autor postanowił „przybliżyć” czytelnikom postać jednego z najciekawszych, a zarazem – co wydaje się nieco paradoksalne – mało znanych postaci w polskiej sztuce.

Nie chodzi bynajmniej o banalizację opowieści czy wymyślanie niestworzonych historii, które miałyby zwiększyć zainteresowanie czytelników. Nie ma także w książce Niemiry szukania sensacji. Chodzi bowiem o nieco odmienne podejście do prezentowanych zagadnień. Wstępem do opisanego najwcześniejszego okresu twórczości malarza oraz jego edukacji artystycznej jest kwestia fryzury. Pytanie zadane w tytule pierwszego eseju: *Czy Norblin cesał się z przedziałkiem?*, jest wstępem do arcycekwanych informacji o kulturze XVII-wiecznej Francji, edukacji artystów tego czasu oraz o arcyważnej instytucji Akademii i pozwala autorowi na wytlumaczenie, a czytelnikowi na zrozumienie, jaka była rola społeczna Norblina i wedle jakich wzorców rozwijała się jego kariera.

Filuterny tytuł drugiego eseju, czyli *Figle w parku*, znowu sugeruje swobodne podejście do tematu. Podobne wrażenie daje nam początek tego rozdziału, bowiem autor zastanawia się, czemu badacze „nie zauważyli” postaci nędzarza, przedstawionej na obrazie *Towarzystwo na wycieczce nad jeziorem*. Wychodząc od tego pytania, autor prezentuje nie tylko przebieg kariery malarskiej Norblina w Polsce, ale także opisuje z niezwykłym rozmachem odbiorców jego twórczości. To nie były czasy obrażonych na świat „artystów przeklętych”, malarz musiał malować tak, jak oczekiwali od niego zamożni kupcy. Dlatego pytanie o żebraka na norblinowskim obrazie pozwoliło autorowi na zapoznanie nas ze światem, w którym i dla którego tworzył Piotr Norblin. A rozważania zaprowadziły autora aż do krótkiego wykładu o poglądach estetycznych epoki i ówczesnej krytyce artystycznej.

Szkic trzeci, korzystając z „żebraczej” tematyki, ukazuje, w jaki sposób artysta wykorzystywał w swojej twórczości motyw biedy i na ile było to zgodne z ówczesnym myśleniem. Ale ponieważ jednym z celów książki jest przybliżenie czytelnikowi postaci Norblina, to nic dziwnego, że autor wyciąga także wnioski na temat tego, jak ten motyw prezentował i definiował tożsamość samego malarza.

Wreszcie króciutki tekst końcowy, pozornie dany zamiast podsumowania imponującej rozmiarami książki, czyli omówienie obrazu *Taniec pisków*. Zdaniem Niemiry, życia i twórczości Norblina nie można ująć w prosty szablon. Artysta odgrywał zbyt wiele ról w odmiennych kręgach kulturowych, by można było go łatwo zasufladkować. Nie tylko jako artystę, ale także w życiu prywatnym. Czy właśnie ta wielostronność osoby malarza i różnorodność jego twórczości nie powodują, że jest on naprawdę interesującym obiektem badań?

Niech czytelnika nie zwiedzie lekkość książki napisanej doskonałym językiem, pobudzającym czytelnika do zainteresowania się, do poznawania za jej pośrednictwem postaci Norblina, co chyba najlepiej wyjaśnia, czym jest przybliżanie bohatera biografii czytelnikowi. W jakimś sensie jest to swoboda pozorna. Książka jest efektem długiej i żmudnej pracy, o czym świadczy chociażby bibliografia, zawierająca nie tylko prace drukowane, ale także rękopisy z archiwów. Widać w niej znajomość epoki oraz wielką erudycję.

Juliusz Gałkowski

Konrad NIEMIRA, *Bazgracz. Trzy eseje o Norblinie*, Fundacja Terytoria Książki, Gdańsk 2022.

Media z dostawą na miejsce



Dziś, żeby oglądać programy telewizyjne, nie trzeba już zasiadać przed odbiornikiem, dzierżąc w ręku pilota. Dzięki tabletom czy smartfonom widz może śledzić ulubione pozycje w każdych warunkach. Jak pisze Aleksandra Powierska w książce *Polajkować TV*, media stały się „towarzyszem dnia codziennego, możemy oglądać je nawet w środkach komunikacji miejskiej – nie tylko za pośrednictwem telefonów, ale także dzięki ekranom umieszczonym w autobusach czy tramwajach”. Autorka uważnie śledzi zmiany zachodzące na rynku środków masowego przekazu, skupiając się na analizie angażujących odbiorców strategii komunikacyjnych, które wykorzystywane są przez konkretnych nadawców. Dogłębnej analizie poddaje oficjalne profile dwóch różnych programów „Wiem, co jem i wiem, co kupuję” oraz „Dance Moms”. Na przykładzie intencjonalnie wybranych produkcji należących do kategorii lifestylowych wskazuje, że obecnie właśnie w nich w sposób szczególnie ujawnia się ta cecha telewizji, jaką jest interaktywność. Powodem takiego stanu rzeczy jest fakt, że widz może się utożsamić z występującymi bohaterami, a śledząc ich zachowania i dokonywane wybory, ma szansę odnaleźć elementy własnych, codziennych doświadczeń i zmagają.

Oczywiście, zaznacza autorka, interaktywność funkcjonowała na długo przed tym, zanim media społecznościowe stały się tak popularne. Różnica polega jednak na tym, że dawniej nie miała ona właściwie wpływu na strukturę programu. Dzisiaj wygląda to zgoła inaczej. Zgromadzenie ludzi, którzy dzięki Internetowi mogą się szybko ze sobą łączyć, by komentować w sieci obejrzone treści, powoduje, że opinie oglądających wymagają reakcji ze strony nadawcy. To już nie są dawne listy do redakcji, których sugestie można było pominąć, bo postulaty dotyczące zawartości emitowanych audycji poznawała tylko wąska grupa osób. W czasach, kiedy grupy odbiorców zyskały niezwykle silny mandat do wydawania werdyktów, a lajkowanie może doprowadzić do sukcesu i wzrostu oglądalności poszczególnych pozycji, trzeba dobrze rozpoznać wirtualny świat uczestników. Dlatego właśnie autorka docieka, jaki jest status wydających określone opinie i komentujących zachodzące zdarzenia. Sprawdza, czy są oni zagorzałymi fanami, czy może przypadkowo znaleźli się na danym profilu, ile spośród nich jest zaangażowanych w kreowanie nowych treści, a ile jest wyłącznie obserwujących.

Eksplokacja tego wszystkiego, co dzieje się w internetowej przestrzeni wokół konkretnych produkcji, jest o tyle ważna, że tak właśnie dzisiaj się tworzy środowisko telewizyjne. Obecnie treści nie muszą już bowiem znajdować się w oficjalnej ramówce, by zasłużyły na miano istotnych. Nie dziwi więc fakt, że autorkę zajmuje sprawa sposobów, w jaki administratorzy wybranych programów działają i jakich używają metod, by zachęcać widzów do podejmowania ciągłej interakcji. W kręgu jej zainteresowań znalazło się także zagadnienie wpływu różnorodnych czynników na obecnie dominujący kształt TV. „Sieciowość telewizji w nowomediowej przestrzeni polega na tym, że tekst telewizyjny ma potencjał do wytwarzania wielu powiązań, w których aktorzy pozaludscy odgrywają tak samo istotną rolę jak ludzie, a niekiedy nawet i ważniejszą, czego przykładem jest algorytm Facebooka”.

Dzięki naukowej dociekliwości Aleksandry Powierskiej można się przekonać, jak bardzo na przestrzeni ostatnich lat zmieniła się telewizja. Śledzenie zachodzących procesów ułatwia z pewnością język, którym operuje autorka. Pełni on bowiem rolę łącznika z prowadzoną narracją. Jego dynamiczna swoboda nie pozwala zamknąć badawczego wywodu w hermetycznym świecie słów zrozumiałych tylko dla wąskiego grona specjalistów. Dzięki temu eksplorowany obszar staje się areną dociekań dostępną dla wszystkich zainteresowanych.

Aneta Zawadzka

Aleksandra POWIERSKA, *Polajkować TV. Telewizja i media społecznościowe*,

Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2022.



Leszek Szaruga

Neandertalczyk

Zawsze mnie fascynowały dwie sprawy: nasze miejsce we wszechświecie oraz nasze pochodzenie. Kiedy się dowiedziałem, że współcześnie większość ludzkiej populacji jest spokrewniona z neandertalczykami, a być może także z innymi hominidami, śledzę w miarę uważnie w publikacjach popularnonaukowych doniesienia na temat tych naszych krewnych. Nic dziwnego, że w chwili, gdy wpadła mi do rąk książka Dimitra Papagianniego i Michaela A. Morse'a *Neandertalczyk odkryty na nowo*, w oryginalnej opublikowana przed dziesięć laty, co każe podejrzewać, że wiedza o tej gałęzi naszych przodków zapewne się do dziś wzbogaciła, rzuciłem się na nią łapczywie. Jak piszą autorzy: „Przez pierwszych pięć czy sześć milionów lat po oddzieleniu się od małp nasi przodkowie nie zdołali dotrzeć do Europy. Drzewo rodzinne człowieka obejmuje zaledwie trzy, może cztery gatunki małpopochodne zwane zbiorczo hominidami, które tam funkcjonowały. Neandertalczyk to jedyny gatunek – spośród mniej więcej 20 wyodrębnionych w ramach naszego rodowodu – co do którego można racjonalnie przyjąć, że ewoluował właśnie w Europie”. Byli to zatem pierwsi czelakopodobni mieszkańcy Europy. Wiadomo, że odziedziczyliśmy jakieś 2-3% ich genomu, co stało się efektem wędrówki homo sapiens z Afryki na inne kontynenty. Jedynie mieszkańcy Afryki Subsaharyjskiej pozbawieni są tej domieszki. I już tylko te ustalenia – a zakładam, że badacze je udostępniający raczej się nie mylą – pozwalają zachować zdrowy dystans wobec tych wszystkich, którzy wciąż jeszcze dzisiaj forsują jakieś mniemania o wyższości czy niższości poszczególnych ras ludzkich, nie mówiąc już o tych, którzy są przekonani, iż istnieje jakaś hierarchia narodów.

Swoją drogą interesujące wydają się powody, dla których homo sapiens zdecydował się opuścić Afrykę, która zresztą w owym czasie była chyba bardziej atrakcyjna i przyjazna życiu niż obecnie. O „przeludnieniu” w owych czasach raczej trudno mówić. Coś jednak pchało tych Afrykanów do poszukiwania nowych przestrzeni. Przypadek, zwykła ciekawość, zmiany klimatyczne? Nie sposób o tym wyrokować, dość, że napotkali w Europie neandertalczyka, zaś obecne badania ludzkiego genomu dowodzą, że nie było to spotkanie bezowocne: białe ubarwienie skóry i niebieskie oczy zdają się niezbywalnym dziedzictwem owych kontaktów. Czy to jednak jedyne dziedzictwo? Pytanie to tyle zasadne, że wzajemne relacje dwóch społeczności – a tak wszak działo się w tamtym okresie obejmującym jakieś 20 tysięcy lat – musiały prowadzić do wzajemnych oddziały-

wań. Z ustaleń poczynionych dotąd przez badaczy wynika, że neandertalczyk, podobnie jak przedstawiciele homo sapiens, posiadli zdolność mówienia, można zatem domniemywać, że relacje między tymi dwoma grupami nie ograniczały się jedynie do body language, lecz umożliwiały rozmowę. I już ten szczegół pozwala się zastanawiać nad tym, czy jest możliwe snucie przypuszczeń pozwalających domniemywać, że w jakimś języku współczesnym odnaleźć można korzenie sięgające któregoś – bo można założyć ich wielość – z języków neandertalskich.

Autorzy książki zwracają uwagę na specyfikę klimatycznych właściwości Półwyspu Iberyjskiego: „Jest to teren nieco oddzielony od reszty kontynentu, bo Pireneje działają jak bariera. Po stronie hiszpańskiej mamy rzekę Ebro, która historycznie pełniła funkcję ważnej granicy geopolitycznej. João Zilhão twierdzi, że »granica na Ebro« pokrywa się mniej więcej z linią, którą ludzie współcześni przekroczyli względnie niedawno, dzięki czemu półwysep mógłby być neandertalską redutą – niewykluczone, że ostatnią”. Jeśli tak było, wówczas warto zwrócić uwagę na pewną osobliwość owego półwyspu także współcześnie. Być może, choć to zapewne zaliczyć można do fantazji, właśnie tu można odnaleźć ślady języka neandertalczyków widoczne w osobliwości języka baskijskiego, który przez językoznawców uważany jest na ogół – podobnie jak koreański i japoński – jako język izolowany, a zatem niemający żadnych pokrewieństw wśród języków współcześnie używanych.

Tęgo typu zależności wykryć zazwyczaj trudno, a tym bardziej je zweryfikować. Swego czasu, czekając na przyjęcie w przychodni lekarskiej, przeglądałem wyłożone w poczekalni pisma medyczne. W jednym z nich znalazłem mapkę ukazującą zagęszczenie chorób kardiologicznych i zawałów w Polsce, którą po latach skojarzyłem z osadnictwem kresowiaków na obszarach poniemieckich. Doszedłem wówczas do przekonania, że jedną z przyczyn owego nasilenia sercowych niedomagań mogła być niemożność wyrażenia bólu związanego z utratą ziem rodzinnych. Być może nie mam racji, ale takie powiązanie faktów wydaje mi się interesujące. Podobnie rzecz ma się z zakorzenieniem współczesnego homo sapiens w relacji z neandertalczykiem. Coś z tego pozostało. Czy ma to dla nas dziś jakieś znaczenie? Nie wiadomo. Być może nie ma żadnego, ale może po latach okaże się, że – jeśli domniemania się potwierdzą – coś nam mówi o nas samych. Nie można wykluczyć, że nie będzie to miłe.

INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Rekordowe patenty	6
Czy walczymy w przegranej bitwie? – Arkadiusz Jasiński	7
Po indeks i medale – Mariusz Karwowski	8
Wyroki	10
Niekomfortowa punktacja – Maciej J. Nowak	27
Nowi profesorowie	41

KRAJOBRAZ PO EWALUACJI

Krajobraz bez cieni – ewaluacja 2022/23 – Piotr Kieraciński	11
Wszyscy wygraliśmy, wszyscy przegraliśmy – Izabela Święcicka	13
Ewaluacja to nie wyścig – Arkadiusz Wójs	16
Sztuka poszukiwana – Dorota Sankowska	18
Ewaluacja w nowych rękach	19

ROZMOWA FORUM

Środowisko naukowe broni slotów – rozmowa z prof. Błażem Skoczeniem, przewodniczącym KEN w latach 2019-2023	20
Trzeba się uczyć od najlepszych – rozmowa z prof. Krzysztofem Górskim, astronomem, sekretarzem generalnym Akademii Kopernikańskiej	25

ŻYCIE NAUKOWE

Czy wzmocnienie pozycji polskiej nauki jest realne? – Wit Grzesik	28
O parametrycznej i eksperckiej ocenie pracy naukowej – Zbigniew Zembaty, Tomasz Lewiński	32
„Wszystko jest najlepsze w tym najlepszym ze światów” – Wojciech Czakon, Ewa Bogacz-Wojtanowska	36
Samokrytycyzm w nauce – Zbigniew Drozdowicz	39

Z archiwum nieuczciwości naukowej (197)

Plagiatowe wykopalisko w Toruniu – Marek Wroński	42
---	----

ŻYCIE AKADEMICKIE

Absolwencki ranking uczelni KRASP – Marek Rocki	46
„A” jak akademia – rozmowa z Błażem Ostoją Lniskim, rektorem ASP w Warszawie	50

Czytelnia czasopism – Aneta Zawadzka	53
---	----

Publikuj lub giń

Nie każdemu, nie wszystko, nie zawsze – Marek Misiak	54
---	----

Z LABORATORIÓW

O architekturze Pomorza Zachodniego w średniowieczu – Jarosław Jarzewicz	57
Wojna na Ukrainie – Grzegorz Tokarz	63
Uchem i okiem – rozmowa z dr hab. Moniką Płużyczką, prof. UW z Instytutu Komunikacji Specjalistycznej i Interkulturowej UW	67

W STRONĘ HISTORII

Portrety nauki polskiej	
Noblista z Wilna – Marcelina Smużewska	71
Pro publico bono (7)	
Wśród ludzi systemu – Piotr Hübner	74

OKOLICE NAUKI

Książki	
Senat ufa swojej młodzieży – Zofia Jakóbczak	77
Profesor jest, Nie-Profesora nie ma – Stanisław Gałkowski	77
Totalitaryzm i jego genealogia – Jadwiga Michalczuk	78
Czytać filmy i o filmach – Marek Misiak	78
Norblin o wiele bliższy – Juliusz Gałkowski	79
Media z dostawą na miejsce – Aneta Zawadzka	79

FELIETONY

Szkiełko w oku	
No fault – co to takiego i po co – Piotr Müldner-Nieckowski	76

Na marginesach nauki

Neandertalczyk – Leszek Szaruga	80
Projekt okładki – Sławomir Makal	

NOWY CYKL WYWIADÓW

Nauka przez duże K



Spoglądamy na badania i naukę kobiecym okiem

Aneta Zawadzka rozmawia z polskimi badaczkami o realizowanych przez nie projektach oraz systemowych rozwiązaniach, z którymi muszą się mierzyć w codziennej pracy.

Wśród rozmówczyń m.in.:

- **prof. Joanna Kargul**
(Centrum Nowych Technologii Uniwersytetu Warszawskiego)
- **dr hab. Urszula Zajązkowska**
(Wydział Leśny Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego)
- **dr Agata Kołodziejczyk**
(Centrum Technologii Kosmicznych Akademii Górniczo-Hutniczej)

Więcej: www.forumakademickie.pl/nauka_przez_duze_k

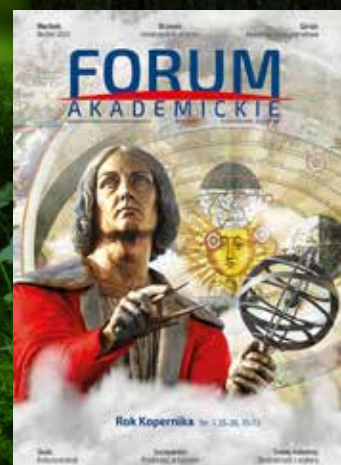
Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2023 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”,
Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2023 roku.

Roczna prenumerata dla instytucji kosztuje 230 zł.

Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę,
w związku z czym koszt prenumeraty wynosi 166 za cały rok.

Redakcja





Uniwersytet Rzeszowski
Instytut Sztuk Pięknych